

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

WYDANIE INTERNETOWE 23-29 MARCA 2020

CENA 4,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RADZIMY,
CO WARTO
OBEJRZEĆ
NA NETFLIXIE
I HBO GO



Jak dziennikarz „Do Rzeczy”
wraciał z Portugalii

Początek XX w.
epidemia hiszpanki

ODPORNIE NA LĘK?

Czy współczesna cywilizacja jest gotowa
mierzyć się z tym, co nieoczekiwane

Początek XXI w.
epidemia koronawirusa



**Dziękujemy naszym
franczyzobiorcom, pracownikom
sklepów i centrów logistycznych
za ich pracę w obecnych, pełnych
wyzwań warunkach.**

Niezależnie od zmian, które
wdrażamy dla zapewnienia
bezpieczeństwa klientów
i pracowników to dzięki Waszemu
zaangażowaniu Polacy mają
niezakłóconą możliwość
dokonywania codziennych
zakupów.

Cieszymy się, że cała branża handlowa tak
solidarnie i odpowiedzialnie podeszła do sytuacji
i dba o bezpieczeństwo osób pracujących
w sklepach oraz klientów. Sieci handlowe,
na co dzień konkurujące ze sobą, stanęły
wspólnie wobec zagrożenia spowodowanego
koronawirusem. Jesteśmy wdzięczni wszystkim
Koleżankom i Kolegom z innych firm za działania
w duchu wzajemnego wspierania się.

Wyrażamy najwyższy szacunek
dla wszystkich służb i osób zaangażowanych
w walkę z zagrożeniem epidemicznym
i jego skutkami.

**W imieniu Żabka Polska
deklarujemy natychmiastową
pomoc w wysokości**

4 500 000 złotych,

**którą oddajemy w całości do
dyspozycji Ministerstwa Zdrowia
i wskazanych przez nie instytucji.**

W tym trudnym dla nas wszystkich czasie
przypominamy, jak ważna jest troska o siebie
nawzajem i przestrzeganie zasad higieny.

Wybierając się na zakupy, pamiętajmy o
myciu i dezynfekcji rąk, wybierajmy płatności
bezigotówkowe i zachowujmy bezpieczny dystans
od innych. Zaproponujmy starszym sąsiadom,
że wybierzemy się za nich do sklepu, a jeśli sami
czujemy się źle – zostanmy w domu. Dbajmy także
o zdrowie tych, dzięki którym nadal możemy
swobodnie robić zakupy.

**Pozostańmy solidarni
w tym trudnym czasie.**

Z poważaniem,
Zespół Żabka Polska



Zamiast postępu kwarantanna



PAWEŁ LISICKI

Jeszcze niedawno trudno było przewidzieć, jaka będzie skala obecnego zagrożenia. Puste, wymarłe ulice miast, ludzie kryjący się w domach, zmiana obyczajów przy powitaniu, wszędzie czający się strach – epidemia zmieniła w ciągu kilku dni wszystkie nasze codzienne przyzwyczajenia. Wydaje się, że strategia obrona przez polski rząd – jej twarzą i symbolem stał się minister zdrowia Łukasz Szumowski – jest słuszna. Szybko podjęte środki zaradcze, zamknięcie granic, wyznaczenie osobnych szpitali, zamknięcie szkół, klubów, centrów handlowych – wszystko to sprawia, że w porównaniu z innymi państwami w Polsce pandemia rozwija się wolniej. Przynosi też, na szczęście, mniej ofiar. Duża tu zresztą zasługa samych Polaków – w tej trudnej chwili pokazują ogromną dyscyplinę. Jednak – trzeba to też jasno powiedzieć – jest to strategia bardzo kosztowna. Polska gospodarka znalazła się w stanie hibernacji. Radykalnie zmniejszyła się ludzka aktywność.

Całkiem niedawno na lotniskach wielu europejskich miast wśród bestsellerów królowały rozważania pewnego izraelskiego filozofa, który twierdził, że obecnie

ludzkość przezwyciężyła wszystkie stare bolączki, wojny, zarazy, katastrofy, że czeka nas niepowstrzymany postęp. Jedyną kwestią – pisał ówże uznany powszechnie za wielkiego myśliciela mędrzec – pozostaje to, kiedy całkiem uda się wyeliminować śmierć. To bowiem, że z każdym rokiem średni wiek życia będzie się wydłużał, nie podlegało wątpliwości. Nowa epoka ludzkości miała pociągać za sobą koniec wszelkiego ryzyka, rozwój i bezpieczeństwo. Yuval Noah Harari stał się dla wielu prawdziwym guru. Jak bowiem ocenić inaczej to, że jego książki sprzedawały się w milionowych nakładach? Okazało się – jak już to często bywało w przeszłości – że wizje te to tylko zapis ludzkiej pychy. Przekonania, że nowoczesność daje całkowitą kontrolę nad światem. Szerząca się pandemia koronawirusa sprawia, że te opowieści czytane z dzisiejszej perspektywy brzmią jak ponury żart. Dzisiaj już nie ma chętnych do powtarzania takich tez. Dominuje całkiem inna retoryka. Kanclerz Angela Merkel mówi o największym wyzwaniu od czasów drugiej wojny światowej – i wcale nie jest to przesada. Każdy musi temu wyzwaniu stawić czoła na swój sposób.

Dla nas, dla redakcji tygodnika „Do Rzeczy”, kluczową rzeczą jest możliwość docierania do naszych Czytelników. Do ludzi, którzy konsekwentnie od 2013 r. są z nami. Kupują nasz tygodnik, lubią go, chociaż nie bezkrytycznie. Niekiedy czerpią z niego inspirację, innym razem spierają się z nim. Tym razem, w tej szczególnej sytuacji, tygodnik ukazuje się wyłącznie w wersji internetowej. Znajdą w nim Państwo jednak wszystkich swoich ulubionych autorów. Jedyną różnicą polega na tym, że zamiast brać jak zwykle tygodnik do ręki, teksty trzeba będzie przeczytać na ekranie – albo tabletu, albo komputera, albo telefonu komórkowego. Co się tyczy treści – nic się nie zmieniło. Z czystym sumieniem mogę powtórzyć to, co pisałem siedem lat temu w pierwszym komentarzu do „Do Rzeczy”, zachęcając wówczas Państwa, drodzy Czytelnicy, do jego kupna: „Dzięki temu [że zostało założone nasze pismo] w przestrzeni publicznej będzie brzmiał donośnie głos konserwatywno-liberalny. Głos broniący tradycji chrześcijańskiej, polskości, pamięci narodowej, ale zarazem głos broniący wolności debaty politycznej i przedsiębiorczości. Głos wyrazisty i mocny, ale też rozsądny i suwerenny”. Pisałem to kilka tygodni po faktycznym upadku „Uważam Rze”, po tym, jak zdecydowaliśmy się – grupa publicystów i dziennikarzy – powołać w jego miejsce właśnie „Do Rzeczy”.

Dziś, w tej nowej sytuacji, w której tyłu naszych Czytelników musi zostać w domach, zapraszam jak zwykle – a jednocześnie niezwykle – do czytania całego numeru i tych, którzy są z nami od początku, i tych, którzy są nowymi fanami „Do Rzeczy”. Obiecuję, że czas z „Do Rzeczy” na pewno nie będzie dla Państwa stracony. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
**CO W NAS ZOSTANIE
PO KORONAWIRUSIE?**
Powinien przyjść czas na refleksję

20 PIOTR SEMKA
DWA PARADOKSY EPOKI ZARAŻY

24 ŁUKASZ WARZECHA
RESTRYKCJE TO RYZYKO

26 ŁUKASZ ZBORALSKI
IZOLACJA DAJE SZANSĘ

KRAJ

28 KAMILA BARANOWSKA
JAK DZIAŁA SZTAB ANTYKRYZYSOWY
Test sprawności administracji

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KAMPANIA W CZASACH ZARAŻY

35 MACIEJ PIECZYŃSKI
**KORONAWIRUS – BROŃ DO WALKI
Z KOŚCIOŁEM**

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BAŃKA PEŁNA FRUSTRACJI

40 KATARZYNA PINKOSZ
WOJNA Z COVID-19

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
EGZAMIN Z EMPATII

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK
A NA NAS WSZYSTKICH ZARAŻA...
Kino końca świata

50 WITOLD REPETOWICZ
SUBTELNA PROPAGANDA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 ROZMOWA Z GRÉGOREM PUPPINCKIEM
KRYZYS W STRASBURGU?
Raport o europejskich sędziach

HISTORIA

62 MACIEJ ROSAŁAK
GROZA OSPY. WROCŁAW '63
Epidemia w PRL

66 ANNA POPEK
PÓŁSIEROTA HRABINĄ

70 RADOŚLAŃ PETERMAN
ŚMIERĆ ZA MELODIĘ

ŚWIAT

74 OLIVIER BAULT
**UNIA OBLAŁA TEST
Z KORONAWIRUSA**
Kryzys może doprowadzić
do wzrostu eurosceptycyzmu

78 ROZMOWA Z AMBASADOREM POLSKI
W WIELKIEJ BRYTANII
POWRÓT Z EMIGRACJI

80 ROZMOWA Z DYREKTOREM
FUNDACJI ODRODZENIA
DEMOGRAFICZNEGO

**TO OSTATNI MOMENT
PRZED
KATASTROFĄ**

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z CEZARYM KAŻMIERCZAKIEM
**SKŁADKI ZUS POWINNY
ZOSTAĆ ZAWIESZONE**
Prezes Związku Przedsiębiorców
i Pracodawców m.in. o pakietach pomocowych
w związku z pandemią koronawirusa

87 JACEK PRZYBYLSKI
TURYSTYKA NA OIOM-IE
Jak dziennikarz „Do Rzeczy”
wracał z Portugalii

STYL

92 JOANNA BOJAŃCZYK
MAJTKI OPADŁY
Brzydki sekret Victorii

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (90), KOMUDA (94), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), ROSZKOWSKI (98), ŁYSIAK (99)

TYGODNIK LISKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gódek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięcki**

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenckiewicz**, **Wiesław Chmielnik**,
Dominka Cosić (*Bruxela*), **Tomasz Culiernik**, **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*),
Jakub Kowalski, **Grzegorz Kucharczyk**, **Tomasz Leniewicz**, **Piotr Litka**,
Ewa Łosińska, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**, **Monika Małkowska**,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, **Gabriel Michalik**, **Filip Memches**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkos**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Joanna Siedlecka, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Toralski, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Jakub Woźniak, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL, redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**,
Anna M. Piotrowska, **Małgorzata Puzry**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**,
Jan Fiedorczuk, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Mazena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **Keystone/Getty Images**, **Carlos Ortega/EFE/Forum**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

w tym tygodniu naszą rubrykę zdo-
minował jeden temat. Zachęcamy do
przesyłania listów (nie tylko o pandemii
koronawirusa), korespondencję elektro-
niczną kierując na adres:
listy@dorzeczy.pl.

Komentarz z Hiszpanii

Mimo że 8 marca w Madrycie było już
500 zakażonych koronawirusem, odbyła
się demonstracja lewicowych kobiet.
Inne partie też chciały solidaryzować się
z nimi, ale np. kobiety z Vox wyrzucono
z demonstracji. Chyba powinny być zado-
wolone, bo niejaka Irene Maria Montero
Gil, minister ds. równouprawnienia, była
zarażona wirusem i brała udział w ma-
nifestacji. Współpracujący z nią Pablo
Iglesias jest już w kwarantannie. Oby-

Miasteczko Wilanów. Panią
Poważne kłopoty z dostawą
sojowego latte...



C E Z A T Y E T Y J Z T O N D

dwoje przewodzą partii Podemos, a Pablo
Iglesias jest wicepremierem rządu Pedro
Sánchez, socjalisty z PSOE (Podemos
to staliści odpowiadający polskiemu
Razem). Koleżanka z manifestacji Irene
Montero, minister polityki terytorialnej
i służb publicznych, jest już chora.

Ale, ale, Irene następnego dnia spo-
tkała się z królową Letycją. Na powita-
nie dały sobie buzi, jak zwykle to bywa
w Hiszpanii.

Następnego dnia król i królowa
polecili do Paryża, gdzie spędzili całe
popołudnie i kolację w Pałacu Elizejskim.
Buzi sobie nie dawali, ale byli zdecydowa-
nie blisko siebie. [...]

A Sánchez nie zrobił nic, aby zapobiec
rozszerezeniu się wirusa. Jest bardzo kryty-
kowany [...]. Województwa biorą inicjatywę
w swoje ręce, zamykają szkoły itd.

Anders Emich

Panu Bogu święcę i epidemii ogarek

Jeśli już ograniczać liczbę wiernych na
mszy św., to uzależnić ją od powierzchni
kościół, tak by nie było sytuacji, że w naj-
większej na świecie ceglanej świątyni
– w bazylice Mariackiej w Gdańsku, która
może pomieścić nawet 20 tys. wiernych,
i w wiejskim kościółku na mszy św. będzie
po 50 osób.

Może zastosować prosty przelicznik,
np. jeden wierny na 10 mkw. lub na
16 mkw. powierzchni kościoła?

Szczęść Boże

Marek Zawadzki

Panie ministrze, do łóżka!

Szanowna Redakcjo!

Nie możemy już patrzeć na total-
nie wyczerpaną twarz ministra
Szumowskiego! Przecież jednym
z najważniejszych środków uod-
parniających przeciw wirusom
jest sen i odpoczynek. [...] Jeśli
męskie poczucie odpowiedzialno-
ści przeszkadza mu w spotkaniu
z instynktem samozachowaw-
czym, to trzeba napuścić na niego
jego żonę. To jest bardzo skutecz-
ne narzędzie nacisku :)

Najlepiej, jakby go spektaku-
larnie wyprowadziła ze studia
albo z jakiejś konferencji pra-
sowej: „Do łóżka! Skończysz z pań-
stwem, jak odespiesz!”

Pozdrawiamy!

Ryszard Maciejewski z żoną
żoną (z Pszczewa, woj. lubuskie)

PS Jak to w takich czasach jaśniejsza
staje się etymologia słowa „pozdrawiamy”.

„Kulisy »Trylogii«”

Pan Sławomir Koper w „DRz” nr 12/2020
błędnie przypisuje reżyserię serialu
„Przygody pana Michała” Jerzemu Hof-
fmanowi. Trzynastcie odcinków „Przygód”
wyreżyserował zmarły w 2011 r. Paweł
Komorowski.

Pozdrawiam serdecznie
Czesława Scheffs

Za pomyłkę przepraszamy.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pożegnanie mistrza

Nie żyje aktor Emil Karewicz. Wiem, że kurtuazyjnie byłoby wspomnieć z tej okazji jego różne role filmowe – te mistrzowskie, jak Tadek „Warszawiak” w „Bazie ludzi umarłych”, czy te dostojne, jak króla Władysława Jagiełły w ekranizacji „Krzyżaków”. Ale nic nie poradzę, że większość Polaków zapamiętała go jako Sturmbannführera Hermanna Brunnera w serialu „Stawka większa niż życie”. I tej właśnie roli z okazji odejścia jej twórcy chciałbym dziś oddać hołd.

W serialu wcielił się w oficera gestapo średniej rangi (Sturmbannführer był odpowiednikiem majora). Ale była to jedna z najtrafniejszych prób przedstawienia psychiki nazistów. Gdyby podobną kreację stworzył ktoś z Hollywood, byłaby dziś klasykiem historii kina.

Gdy tylko zdarzy mi się pochwalić „Stawkę większą niż życie”, zawsze wypominane mi są komunistyczne realia powstawania serialu. To fakt, że ani duet scenarzystów Zbigniew Safjan-Andrzej Szypulski, ani duet reżyserski Andrzej Konic-Janusz Morgenstern, którzy stworzyli „Stawkę...” to nie są postacie świetlane. Raczej cynicy

doskonale radzący sobie w świecie PRL. Razem zrealizowali jednak serial utrwalający wiele obserwacji dotyczących sposobu myślenia i działania Niemców w czasie wojny, których próżno by szukać w kinematografiach Zachodu i Wschodu.

Polacy z racji swego statusu niekwestionowanej ofiary drugiej wojny światowej mogli sobie w latach 60. pozwolić na większe zniuansowanie postaci Niemców z lat konfliktu niż inni. Pokolenie Safjana, Morgensterna i Karewicza przypatrywało się Niemcom w czasie wojny uważnie. Od trafnego odgadnięcia, jak się zachowają, bardzo często zależało ocalenie.

Zarówno w angielskich czy amerykańskich, jak i czeskich czy jugosłowiańskich filmach gestapowcy to blond bestie – okrutne, antypatyczne, ale i sztamkowe. Sowiecki Stirlitz to z kolei małomówny sztywniak.

A Brunner zagrany przez Karewicza był postacią i straszną, i w przedziwny sposób groteskową, ale i bardzo typową dla aparatu III Rzeszy. Z takich kółeczek składał się ten mechanizm zębatkowy terroru i inwigilacji.

Oficer gestapo dbający o luksus. Posiadacz sporych zapasów najlepszego koniaku i amator drogich cygar. Pies gończy ścigający wrogów Rzeszy, a jednocześnie ktoś, kto zamordował niemieckiego Kreisleitera, aby przejąć jego skarby zrabowane Żydom. Co ciekawe, w żadnym z odcinków serialu nie demonstruje jakiegokolwiek nienawiści do Polaków. Ba, sam chętnie chadza na zakrapiane wieczorki z polską spekulanką panią Irminą Kobusową. Jego kwestie żyją swoim własnym życiem. „Popatrz Hans, jak to człowiekowi robota wchodzi w krew”, „Ja w gruncie rzeczy nikomu nie wierzę” czy „Nie mogę patrzeć na bitego człowieka – jeśli bije ktoś inny”. Te wszystkie kwestie scenarzyści pisali, aby serial był wartki i błyskotliwy. Ale w oczach historyka to także rejestracja wielu cech nazistów, które dzisiejsza poprawność polityczna próbuje wygładzić. Ot, choćby starając się odseparować nazizm od niemieckości.

Bez genialnej inteligencji aktorskiej Emila Karewicza ta rola nie była tak trafna. I za to dziś pochylmy głowę przed genialnym aktorem. © ©

POLACY ZOSTALI W DOMACH

Polacy odpowiedzieli na apele o pozostanie w domach, by ograniczyć rozprzestrzenianie się koronawirusa w społeczeństwie. Zdarzały się wyjątki i spotkania, głównie młodzieży, ale większość ulic miast opustoszała (na zdjęciu centrum stolicy). Wiele firm zmieniło system pracy i tam, gdzie to było możliwe, oddelegowało pracowników do pracy zdalnej. Dzieci, młodzież i studenci przestali uczęszczać na zajęcia. Takie obrazy dają nadzieję na to, że pandemię w kraju uda się nam spowolnić. (luz) © ©



FOT. KUBA SZEŹYŃSKI / FORUM

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Pożytki z kwarantanny

Ze wszystkich problemów związanych ze „stanem zagrożenia epidemiologicznego” największym wydaje się dla niektórych konieczność pozostawania w domu. Na dodatek z rodziną. Tak przynajmniej można sądzić z tonu mediów, głównie tych kierujących swój przekaz do tzw. młodych, wykształconych, z większych ośrodków.

Daleki jestem od chwaleń sytuacji, w której się znaleźliśmy, ale trzeba jak w piosence patrzeć na jasną stronę życia

W mediach społecznościowych pojawiły się rozmaite memy, w rodzaju poniższej ankiety: „kwarantannę skończę jako: a) dziesięć kilo grubsza b) rozwódka c) alkoholiczka d) w ciąży e) wszystko naraz”. A w telewizji psychoterapeuci na

zmianę z celebrytami doradzają, jak nie zwariować, czym się zająć i jak rozmawiać z najbliższymi. To ostatnie zastanowiło mnie szczególnie – w końcu, jeśli w takich sprawach trzeba udzielać specjalnych porad, to niedługo już doczekamy się fachowych poradników, jak chodzić (najpierw stawiasz lewą nogę przed prawą, potem prawą przed lewą, potem... itd.).

Aprzecież to tylko możliwość – nie konieczność, tylko właśnie możliwość, tak na to spójrzmy – zatrzymania na chwilę tego kołowrotu, w którym współczesny człowiek biega niczym laboratoryjny chomik. To akurat typowe „szczęście w nieszczęściu”. Można usiąść przy stole – wspólne jedzenie, w ogóle przygotowywanie posiłku w domu, zamiast jedzenia „na mieście”, samo w sobie wydaje się atrakcją – i nadrobić zaległości we wzajemnym darzeniu się uwagą. Opowiedzieć sobie to, czego nie

było czasu opowiedzieć, wyjaśnić to i owo, zanim drobne nieporozumienia obrosną w rozmaite pretensje i wzajemne żale. Można, zamiast siedzieć po próżnicy samemu, wrócić na czas epidemii do rodziców albo spotkać się kimś, z kim się dawno nie miało czasu spotkać. Nie chcę podpowiadać konkretnych pomysłów, których są setki. Naprawdę, można na nie wpaść bez podpowiedzi psychoanalityka.

Daleki jestem od chwaleń sytuacji, w której się znaleźliśmy, ale trzeba przecież, jak w sławnej piosence grupy Monty Python, patrzeć na jasną stronę życia. Mówiąc słowami z „Misia” – korzystajmy z okazji, bo w końcu epidemia też jest jakąś okazją. Może nawet uznamy za jakiś czas, że Opatrzność chciała nam przez to przykre zdarzenie coś powiedzieć i pokierować nas w lepszym niż dotąd kierunku? ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Solidarność i patoplebs

To miał być felieton o ludzkiej solidarności. O tym, jak bardzo zmieniło się polskie społeczeństwo od czasów komuny i jak wiele wzajemnej życzliwości wyzwoliło się wśród Polaków w czasach obecnej zarazy. Jednak odpaliłem na moment media społecznościowe i zgroza; zostały zalane falą hejtu i agresji wobec zakażonych wirusem, tych z nielewomyślniej strony sceny politycznej. I mniejsza o anonimowych trolli produkujących się na forach internetowych, gorzej, gdy taka satysfakcja wylewa się z ludzi o znanych nazwiskach. Ot, weźmy na przykład taką panią Klementynę

Suchanow, nie tak dawno szturmującą Sejm z hasłami wolności i praw człowieka na ustach. „[...] Czekam na więcej dobrych wieści ten moment, kiedy odczuwam przyjemność z wredności :) (nie, wcale mi nie wstyd)” – stwierdziła na wieść, że jeden z członków KRS jest zarażony wirusem. Wpis polubiło kilkaset osób. Ot, taki patoplebs intelektualny i mentalny.

No dobra, będzie o solidarności. Bo dobrych ludzi jest jednak więcej. Z każdego regionu Polski, z każdej strony sceny politycznej, dobiegają sygnały o lokalnych aktywistach organizujących pomoc dla potrze-

bujących. Kibice Lecha Poznań zorganizowali zbiórkę wody i energetyków dla lekarzy i ratowników medycznych, posłowie (m.in. Łukasz Kohut, Krzysztof Śmiszek i Bartosz Wróblewski) stworzyli sieć wsparcia dla osób starszych i samotnych. Codzienną życzliwość widać wśród ludzi w sklepowych kolejkach, wśród sąsiadów.

I kiedy cieszysz się z tych dobrych, codziennych gestów Polaków, wychodzi Donald Tusk cały na białą i sieje polityczny hejt, bo członkowie rządu przebadali się na koronawirusa. Pisałem już o patoplebsie? ©©



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Koronawirus mąci umysł

Koronawirus atakuje również organ intelektualny Włochów. Nie wierzycie?

Poczytajcie.

Przoduje Carla Bruni, żona byłego prezydenta Sarkozy'ego. Jako pierwsza dama Francji broniła morderców Czerwonych Brygad przed ekstradycją do Włoch. Swoją drogą niezbadane są wyroki Pana. Ulitował się nad Włochami, uwalniając kraj od kobiety, ale pokarał nią Francuzów. Niedawno na pokazie mody w Paryżu namawiała, żeby się nie bać koronawirusa i całować, i ścisnąć do woli. Dała osobisty przykład, a potem, udając kaszel, kpiła z tych, którzy na tę chorobę cierpią i umierają. Cała Italia zatrzęsa się z oburzenia. Jednak Carla przynajmniej zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń. Gdy spadła na nią fala krytyki, przyznała, że jest kretynką. Trudno z tym polemizować.

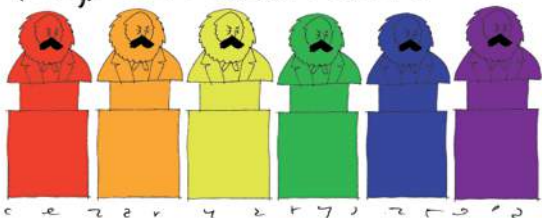
Gorzej, gdy na głupotę cierpią ludzie posiadający władzę, a więc wpływ na ludzkie losy i zdrowie. 3 marca, gdy na północy Italii już szalała zaraza, włoski rząd z ministrem kultury na czele w geście godnym Stefka Burczyrmuchy („Nie kapituluj-

jemy przed koronawirusem!”) na powrót otworzył muzea i galerie. Bóg jeden wie, ilu ludzi się przez to zaraziło. Pięć dni później wszystko z hukiem zamknęli, a premier, ogłaszając o tym w przemówieniu telewizyjnym, nie krył przed narodem, że uważa się za dalekowzrocznego geniusza. Włosi dali mu na drugie „Winston”.

A co powiecie na szefa lewicowej Partii Demokratycznej i gubernatora regionu Lacjum ze stolicą w Rzymie, Nicolę Zingaretti'ego? Bałwan w licznych wywiadach tłumaczył, że koronawirusem nie ma się co przejmować, siał paniki i zmieniać stylu życia. Pan Bóg drugi raz zlitował się nad Italią. Zingaretti zaraził się koronawirusem i przechodzi teraz kwarantannę, więc nie można go spotkać na ulicy ani w studiu telewizyjnym. Ale przechodzi chorobę lekko i z odosobnienia rozsyła robione smartfonem filmiki, które natychmiast trawiają do włoskich telewizji. Namawia, żeby z powodu śmiertelności wirusa siedzieć w domu. Cała Italia tarza się ze śmiechu. Zingaretti jest teraz bohaterem memów i ofiarą szyderców. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

W brukselskich świątyniach
krzys wiary. Stwierdzą pominieli
Markowski, a on i tak zostal
plaga koronawirusa...



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Mutujące narracje

Kolejny tydzień kwarantanny uświadcza nam, że polityczne narracje – podobnie jak wirusy – potrafią szybko mutować. Ot, choćby niedawna dyskusja o przekazaniu dofinansowania dla mediów publicznych na onkologię, dzisiaj jest już passé. „Za 2 miliardy przekazane TVP można by zrobić testy na #koronawirus dla 7 mln Polaków!” – stwierdził Sławomir Neumann.

Podobnego zdania była również kandydatka

KO na prezydenta. „Apeluję do rządu o uruchomienie programu powszechnego dostępu do testów na #koronawirus. Naszym obywatelskim prawem jest wiedza o swoim stanie zdrowia. Polacy chcą mieć pewność, że nie są zarażeni i nie stanowią zagrożenia dla innych” – napisała Małgorzata Kidawa-Błońska. I tutaj – nowość – w ramach głosu rozsądku wystąpił poseł Lewicy. „A ja proszę o konsultowanie swoich pomysłów ze specjalistami. Przed włączeniem Twittera. My, politycy, mamy ten przywilej, że nasze słowa docierają do milionów ludzi. Warto korzystać z niego odpowiedzialnie. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Zwłaszcza kandydując na ten urząd” – zauważył przytomnie Adrian Zandberg.

Pewne rzeczy pozostają jednak niezmiennie.

„Zachwyt nad ministrem Szumowskim to dowód dramatycznego obniżenia naszych oczekiwań. Wystarczy, że przedstawiciel tej władzy nie wygląda na aroganckiego, kłamliwego buca, i euforia” – wylał nieco żółci Tomasz Lis. I tutaj kolejne pozytywne zaskoczenie: „Chłopcze, daj spokój. Chociaż na kilka dni. Idź zagraj w jakąś planszówkę, polecieć możemy kilkadziesiąt tytułów” – odpisała dziennikarzowi partia Razem.

Na koniec, ponieważ czasy trudne, akcent

humorystyczny. „Moja reakcja na zamknięcie Polski jest natychmiastowa. Wylatuję, nim odbiorą nam paszporty. Wolę odbywać kwarantannę na Kanarach lub Seszelach niż w Nędzy czy w Katowicach” – wyznał Marek Migalski. „Po trzech dniach na Teneryfie miałem jutro przepłynąć promem na Gran Canarię, ale obawiam się, że mógłbym nie móc wrócić i straciłbym ostatnią szansę na powrót do kraju, którą daje mi lot czarterem za kilka dni...” – przyznał, gdy jego wizje rozminęły się z rzeczywistością. Czyli szykuje się kwarantanna w Nędzy. Jesteśmy z panem, panie Marku. ©©

Szukaj na prenumerata.dorzeczy.pl

MOŻESZ CZYTAĆ, NIE WYCHODZĄC Z DOMU – WYDANIE SPECJALNE



Hity

„Do Rzeczy” z 2013 r.

10 najlepszych tekstów

- **Semka** rozmawia z Václavem Klausem
- **Krasnodębski** o niemieckim centrum Europy
- **Lisicki**: „Kto zabił Jezusa”
- **Ziemkiewicz** o zagadce Adama Michnika
- **Gmyz** o polskim donosicielu w Watykanie
- **Cenckiewicz** o rodzinnej historii Kaczyńskich
- **Terlikowski** ostro spiera się z Hołownią
- **Wildstein** rozmawia z Jarosławem Kaczyńskim
- **Zychowicz** z Suworowem o Rosji
- **Magierowski** krytycznie o Sikorskim

ODKLEJONA OD RZECZYWISTOŚCI

Na temat swojej walki z koronawirusem postanowiła wypowiedzieć się niezawodna Małgorzata Rozenek-Majdan. O zdanie zapytał ją również niezawodny TVN. – To jest taki moment, który może być potraktowany jako kłopot – przyznała, dodając jednak optymistycznie, że można też podejść do tego inaczej. – To jest czas dany w prezencie. Można przeczytać książki, które odkładaliśmy na później, zrobić porządki, które na wiosnę się przydadzą, ale przede wszystkim należy spędzić go razem i potraktować jako czas do refleksji – stwierdziła. Dlatego też Perfekcyjna Małgosia wraz z rodziną zaszyła się na Mazurach, gdzie spaceruje, odpoczywa i zbiera siły przed czekającym ją w czerwcu porodem. Codziennie też wrzuca radosne i pięknie wystylizowane zdjęcia do Internetu. I bardzo się dziwi, że ludzie nie dzielą jej radości. Przecież zamiast narzekać, też powinni wyjechać na parę tygodni do jakiegoś luksusowego zakątka na Mazurach. Bo kto im broni. Prawda?

SKIBA PRAWDĘ CI POWIE

Maryla Rodowicz narzeka, że koronawirus mocno uderzył ją po kieszeni, bo musiała odwołać masę koncertów, a rachunki same się nie popłacą. „Przykro mi z powodu odwołanych koncertów z powodu koronawirusa. Mam nadzieję, że to prawda, że tylko przełożone na inny termin. Drodzy koledzy z branży, też mam problem z rachunkami. Najważniejsze, żebyśmy zdrowi byli” – napisała na Facebooku.

Pośrednio Maryli i wszystkim innym gwiazdom narzekającym na swoją sytuację odpowiedział Krzysztof Skiba, lider zespołu Big Cyc. „Już nie mogę czytać tego utyskiwania moich koleżanek i kolegów z branży artystycznej. Jęczę jak stare baby u lekarza, że odwołano im koncerty czy spektakle. Stęskają jak dziady kościelne, że tracą pieniądze. No trudno wszyscy (oprócz producentów maszek ochronnych i płynów dezynfekujących) stracą” – napisał Skiba. „Nie tylko artyści są w tej trudnej sytuacji. Podstawowa przyczyną jest to, że w ciężkich czasach nie myśleć tylko o sobie. Wielu innym jest i będzie o wiele gorzej. Wy po prostu zarobicie w tym roku mniej kasy” – stwierdził. Nic dodać, nic ująć. No może tylko to, że dziwnym trafem pani Maryla bardzo szybko swój wpis skasowała.



FOT. PAMEŁA GRONOWA

PANDEMIA? JAKA PANDEMIA?

Jak grzyby po deszczu wyrastają nam kolejni domorośli eksperci od koronawirusa. Niestety także wśród celebrytów. Na czoło wysunęła się była modelka Viola Kołakowska, która jest oburzona tym, że jednym z objawów zakażenia może być podwyższona temperatura. I postanowiła zapolemizować z tym faktem. „Prawda jest taka, że nie ma testów na koronawirusa. Jak można zamknąć miasta, mierzyć temperaturę i wszystkich, którzy mają podwyższoną, zgarniać? Przecież temperaturę można mieć podwyższoną nawet z powodu miesiączki, i co wtedy? Nie będę miała ze swoimi dziećmi kontaktu z powodu miesiączki? To jakiś absurd!” – oburzała się na Instagramie. Nie podoba jej się także fakt, że Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła pandemię koronawirusa. Modelka znalazła bowiem w Internecie opinię niemieckiego lekarza, który podważa sens użycia tego słowa w kontekście koronawirusa. I Violę to przekonało. „Obudźmy się wszyscy!” – zaapelowała.

My życzymy jej zdrowia i tego, by nie doświadczyła pandemii na własnej skórze. Pobudka może być bolesna.

CHILL W CZASACH ZARAŻY

Tymczasem blogerka modowa Maffashion, która zachęcała swoich fanów do akcji #zostańwdomu, sama postanowiła z domu wyjść w sprawie absolutnie niezbędnej. Otóż z grupą znajomych wybrała się do sklepu AGD po patelnię. Jak nic, rzecz pierwszej potrzeby. Wy tłumaczyła też, że wszystkie patelnie ma już przypalone, ponieważ „nikt w tym domu nie umie gotować, dlatego idziemy kupić kolejne”. – Przyszliśmy po patelnię, a chyba wyjdziemy z grillem – relacjonowała ze sklepu. Wyjaśniła też, dlaczego kupować patelnię poszła ze znajomymi. – Mamy kwarantannę w cztery osoby, dwie pary. Zamknęliśmy się w domu, wszyscy zdrowi, bez objawów i tak dalej, po konsultacji z lekarzem. [...] Nie byliśmy dzisiaj w żadnej galerii, tylko w osiedlowym sklepie i nie jesteśmy żadną dużą grupą, nie kumulujemy się. Pięć dni siedzę już w zamknięciu, to było jedno wyjście – tłumaczyła się. – Mamy zapas jedzenia, mamy taras, więc chcieliśmy sobie zrobić grilla, ale okazało się, że patelni nie mamy, więc trzeba było po nią wyjść. Ludzie, chill! – zaapelowała. To taki chill w czasach zarazy. I czego nie rozumiecie, ludzie? ☺☺

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, ta cała praca zdalna jest przereklamowana. Myśleliśmy, iż po prostu posiedzimy w domu i od czasu do czasu odpowiemy na jakiś e-mail – i tyle. A poza tym to chill, Netflix, może jakieś zakupy i spanko do południa. Niestety, nic z tych rzeczy.

Nasz podkarpacki supervisor Nowy z Tarnowa (choć on po staroświecku woli, iżby mówić do niego: kierowniku) postanowił bowiem urządzić nam co godzinę telekonferencje, i to w dodatku od dziewiętej rano. Nie można się więc wyspać. Poza tym oczekuje od nas wyników, realizacji targetów i planów sprzedażowych, więc w związku z tym jesteśmy zmuszeni do wykonywania swoich obowiązków.

Jak zapewne bardzo dobrze wiecie, mało co budzi w nas gorsze emocje niż słowo „obowiązek”. Byliśmy przekonani, iż praca zdalna pozwoli nam odpocząć, a tu trzeba robić.

Mieliśmy ostatnio poważne wątpliwości co do etyczności stosowania płynów i żeli dezynfekcyjnych. Otóż, jak się dowiedzieliśmy z pilnej lektury Internetu, wirusy nie są uważane za organizmy żywe – w przeciwieństwie do bakterii.

Taki płyn dezynfekcyjny zabija jednak i wirusy, i bakterie, a zatem można założyć, iż zabijając bakterie,



może być w radykalnym ujęciu uznawany za niewęgański.

Postanowiliśmy więc w naszym kolektywie, aby do minimum zredukować stosowanie tego rodzaju substancji. Jednocześnie apelujemy do państwowych spółek o zaprzestanie produkcji preparatów, które mogą służyć do zabijania organizmów żywych!

W związku z epidemią koronawirusa UEFA zdecydowała się odwołać tegoroczne mistrzostwa Europy państw narodowych w piłce nożnej, a my odetchnęliśmy z ulgą.

Znów bowiem czekałoby nas kilka tygodni wymachiwania biało-czerwonymi proporczykami,

flagi zatknięte na antenach starych kopających diesli, wszechobecne narodowe wzmożenie i nic innego niż mecze w telewizji.

Jak wiadomo, tego typu okazje wyjątkowo sprzyjają rozbudzeniu ksenofobicznego demona patriotyzmu, który jest jednym z największych zagrożeń współczesnego świata. Dlatego też apelujemy do UEFA, iżby co roku przenosiła mistrzostwa na kolejny rok. Tak, aby janusze się jakoś przesadnie nie zbuntowali i myślały, że mają na co czekać xD @@

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zapłaciłeś?

Rafał, może byś jednak rozważył zniesienie opłat za parkowanie? Wiesz, trochę to nam zaczyna wizerunkowo ciążyć. Jeżdżę po mieście, to widzę, że miejsca są... Nie ma mowy, Borys!

Ale czemu? Pokażesz się jako elastyczny, odpowiedzialny, a ludzie będą bezpieczniejsi... Nie!

Za bardzo słuchasz tych aktywistów. Ja rozumiem, dla nich walka z autami to misja życiowa, ale myślałem, że dla ciebie... Nie!

Kto cię tak nastawił? Ten Mencwel cały? On ma na tym punkcie obsesję, ja z nim kiedyś gadałem. Ale ty przecież chyba nie masz... Nie! A w ogóle to jak ty tu przyjechałeś?

No – jak to jak? Autem. Teraz się świetnie jeździ, pustki kompletne... Gdzie zaparkowałeś?

Normalnie, na ulicy tu niedaleko. Zapłaciłeś?

Tak, ale muszę chyba dorzucić, bo myślałem, że nam szybciej pójdzie... A nie, nie, czekaj. Możesz mi tu napisać swój numer rejestracyjny, markę i kolor?

No... mogę, ale po co? Proszę. Dzięki. Halo? Pani Basiu, pani przekazuje służbie parkingowej, żeby wystawili mandat za nieopłacone parkowanie, tu, niedaleko ratusza, podaję numer auta... @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Łatwiejszy i szybszy dostęp do testów dla ludzi władzy niż dla chorych i lekarzy to obłany test z przyzwoitości i demokracji”.

DONALD TUSK, były premier, na Twitterze

Wstyd przyznać, nie znamy się za bardzo na epidemiach ani wirusach. W szkole mieliśmy z biologii tróję. Jesteśmy jednak pewni, że dobra zmiana nieźle daje sobie radę z kryzysem. Nasze przekonanie umacniające jest każdego dnia przez wypowiedzi niejakiego Złego Donalda, niegdyś z Brukseli, obecnie w sumie znikąd. Pamiętamy bowiem dobrze osiągnięcia Złego Donalda i wiemy, że jeśli z jakiegoś powodu kogoś/coś mocno hejtuje, to znaczy, że naprawdę słuszne jest to i sprawiedliwe.

Tymczasem w prokuraturze pojawił się nowy dowcip branżowy. „Nie chcesz mieć korony, nie gadaj z prokuratorem”. Dla niekumatych korona to w prokuratorskim żargonie status świadka koronnego, o który występuje nie kto inny, ale właśnie prokurator.

Przy okazji koronawirusa wszyscy bawią się w trawestację tytułu powieści Márqueza „Miłość w czasach zarazy”. Niedługo będą trawestować „Trąd w pałacu sprawiedliwości” (taka znana sztuka Ugo Bettiego). Rzecz w tym, że zaraz od leśnika minister Michał Woś ożenił jednym z prokuratorów.

Apropos dramatu Bettiego: jego „fabuła zręcznie łączy wątek kryminalny z wnikliwymi obserwacjami psychologicznymi oraz refleksją na temat etyki władzy”. To tak jak nasza rubryka.

Po tym, gdy gruchnęła wieść o wirusie Wosia, zrobiło się naprawdę gorąco. Do tego stopnia, że ciupasem całą Radę Ministrów wysłano na testy. Nie wszyscy wiedzą dokąd. My wiemy: na ulicę Alpejską w Aninie. Ministrowie mieli wynik ujemny. Nie znaczy to jednak, że wynik się utrzyma. Wirus ma bowiem tzw. okres wylegania, a tego testy nie widzą. Innymi słowy,

dziś masz minusa, jutro możesz mieć plusa.

Infekcja Wosia sprawiła również, że zawrzało w mediach, które minister odwiedzał między spotkaniem z osobnikiem, który go zaraził, a wykryciem obecności korony. I nie były to media wrogie dobrej zmianie, lecz wręcz przeciwnie. Testy u dziennikarzy, o których wiemy, wyszły na razie na minus, ale przecież – tak, trudno w to uwierzyć – my nie wszystko wiemy.

Wszystko to błędnie w obliczu tego, że trzeba będzie uchwaląć rządowe ustawy antykryzysowe, będzie więc musiał zebrać się Sejm.

dwaj panowie **g**

Europosłowie dostali karty. Niestety, nie są to karty kredytowe, by przeciwdziałać kryzysowi. Chodzi o karty do głosowania – zdalnego

Zawsze mówiliśmy, że to niezbyt zdrowe miejsce, ale teraz naprawdę się martwimy. Nie tylko z powodu cymbałów w rodzaju posła PiS Grzegorza Woźniaka, który w dniach koronawirusa zorganizował imprezę na 250 osób.

Jeśli ktoś myśli, że tylko aktualni parlamentarzyści zachowują się jak cymbały, to mamy dowód na to, że nie. Otóż dostaliśmy e-mailem niedawno zaproszenie na „konferencję prasową kandydata na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej prof. dr. hab. Mirosława Mariusza Piotrowskiego przed spotkaniem z przedstawicielami rolniczych związków zawodowych i mieszkańcami powiatu wysokomazowieckiego”. Nasłuchujcie zatem wieści z miejscowości Kruszewo-Wypychy, gmina Sokoły, województwo podlaskie.

Tymczasem europosłowie dostali karty. Niestety, nie są to karty kredytowe, by wzmoczoną konsumpcją przeciwdziałać kryzysowi. Chodzi o karty do głosowania – zdalnego. Tak się bowiem składa, że zapowiedziane na 25 marca posiedzenie europarlamentu nie tylko zostało skrócone do jednego dnia (drugi raz w historii, po poprzednim), lecz także rozważane jest prowadzenie go w trybie zamieszkowym.

Apropos pracy zdalnej. Słyszeliśmy, że jeden z czołowych publicystów dobrej zmiany postanowił podjąć daleko idące środki i buduje w domu własne studio radiowe, a może



FOT. ROBERTO CARDINALE

i telewizyjne. Będzie mógł stamtąd nadawać do końca świata i jeden dzień dłużej. Popieramy i rozszerzamy ten koncept – każdemu prowadzącemu należy się dziupla służbowa w domu, żeby nie wychodząc z niego, był w pracy, i nie wychodząc z pracy – był w domu.

Zabawnie i przerażająco było przez chwilę na Woronicza, gdy gruchnęła tam wieść, że do jednego z budynków produkcyjnych przylazła korona. A właściwie przyleciała z Włoch, gdzie była na nartach jedna z realizatorek, którą zabrano z pracy z temperaturą 39 st. C. Lud zaczął się burzyć, że ma dalej pracować, a najfajniejsze zdanie, które padło na korytarzach, brzmiało: „Przecież my tu jesteśmy, k... jedna wielka impreza masowa!”. Sprawa rozwiązała się sama, kiedy TVP zawiesiła nagrania niemal wszystkich.

Jakub Kumoch, Piotr Skwieciński i Krzysztof Karwowski. Ujawniamy, że nie jest to ostatni transfer medialny na szefa placówki. Będzie następny. Możemy jedynie zdradzić, że kandydat ma takie same inicjały jak jeden z wyżej wymienionych.

Dodatkowo ujawniamy, że na placówkę wyjedzie również facet, który ma już doświadczenie w rzecznikowaniu i prawdziwie rzymskie imię. Nie jedzie jednak do Rzymu i w obecnej sytuacji mu się nie dziwimy. Pojedzie do stolicy innego starożytnego imperium.

Korona przynosi zmiany, zmiany, zmiany, bo zdziwilibyście się, jaki popyt aktualnie panuje w instytucjach państwowych na kamery termowizyjne. Chodzi o to, by od razu było widać, czy delikwent wchodzący ma gorączkę. Traktujemy te czynności jako

dzi przez PiS już jest stan wyjątkowy, to znaczy koniec demokracji, autorytaryzm, Hitler ze Stalinem i Erdoğan z Putinem. Nie rozumiemy więc, jak mogą domagać się stanu jeszcze bardziej wyjątkowego.

Jest jedno wytłumaczenie powyższego fenomenu. Otóż są to środowiska wyczekujące jak kania dżdżu wszelakiego męczeństwa, którego okrutny reżim kaczyzostowski uparcie im odmawia. Być może więc, nie zaznawszy dotąd pałowania oraz polewania, żywią nadzieję, że wreszcie zostaną dopieszczeni po ogłoszeniu stanu wyjątkowo wyjątkowego.

Co jeszcze w Warszawie? Rafcio Trzaskowski był bardzo zmęczony i musiał odpocząć, gdyż rządzenie stolicą bardzo go osłabiło. Nie dziwimy się, my też czujemy się bardzo osłabieni za każdym razem, kiedy widzimy Rafcia. Po tygodniu wrócił do pracy i odkrył, że za wszystko odpowiedzialny jest rząd. Ciekawe słowa w ustach osobnika przekonującego dotąd wraz z resztą PeŁo, że rząd jest niepotrzebny, bo najważniejszy jest samorząd.

Przy okazji – nie lubimy obcego terminu „fake news”. Wolimy polski, tradycyjny: „ordynarne łgarstwo”

Tymczasem jak donoszą media, radny od zarządzania kryzysowego z PeŁo w Kołobrzegu wykorzysta sytuację kryzysową, żeby polecieć na wakacje do Egiptu. Nie będziemy go krytykować, bo nie wiemy jeszcze, co zrobi później. Może na przykład zrobić najrozsądniejszą rzecz na świecie, to znaczy polecieć do Izraela. Od pewnego czasu podpowiadamy to rozwiązanie. Dwa tygodnie ścisłej kwarantanny w Izraelu – czy w tych trudnych dniach może być bezpieczniejsze miejsce na świecie?

Nie wszyscy są na wakacjach. Ktoś pracować musi. Monika Luft została rzecznikiem MSZ. Nas to cieszy, bo lubimy Monikę, a jeden z panów G. studiował nawet z Krzysiem Dużyńskim, który jest jej mężem. Facet ma to do siebie, że ludzie go lubią. Może dlatego, że bez przerwy jest uśmiechnięty.

Nowa posada Moniki to kolejny transfer ze świata mediów do świata dyplomacji. Przypomnijmy – dziennikarze, którzy już szefują placówkom, to: Marek Magierowski,

wymierzone w opozycję. Ci nieustannie rozgorączkowani od pięciu lat ludzie nie będą teraz mogli nigdzie wchodzić.

Mamy ważną wiadomość dla pracowników „Wyborczej”. Otóż czasem zdarza się, że prezydent Andrzej Sebastian przyjeżdża gdzieś i są tam np. żołnierze. Uwaga! Uwaga, Czerska! Są oni przebrani za żołnierzy, gdyż są naprawdę żołnierzami. To samo dotyczy innych profesji. Widzieliśmy nawet ludzi przebranych za ministrów i wojewodów z ważnego powodu – otóż są oni naprawdę ministrami i wojewodami. Tak, to taka uwaga na marginesie „fake newsa” „GazWybu” o przebranym lekarzu-radnym PiS z Garwolina. Przy okazji – nie lubimy obcego terminu „fake news”. Wolimy polski, tradycyjny: „ordynarne łgarstwo”.

Tymczasem pod pałacem prezydenta Andrzeja Sebastiana UB-ywatele RP domagają się wprowadzenia stanu wyjątkowego, co niezmiernie nas zdziwiło. Są to bowiem osobnicy, którzy głoszą, że w Polsce od czasu objęcia wła-

Rafcio zapowiedział, że poprosi firmę od rowerów w Warszawie, żeby je odkaziła. Czujemy się więc bezpieczni, zwłaszcza że i tak nie korzystamy. Mamy jednak wrażenie, że pilniej należałoby zdezynfekować profile rozmaitych miglanców z Eine Totalopposition w mediach społecznościowych.

Ana koniec wyobraźcie sobie wszyscy, że epidemia koronawirusa wydarzyła się w czasach Ewki Kopacz, Barta Simpsona Sienkiewicza, Radka Sknerusa Sikorskiego, Jana vel Jacka vel Vincenta Rostowskiego i innych wybitnych specjalistów od zarządzania kryzysowego. Strach się bać i słowa na ustach zamierają, w związku z czym zamykamy niniejsze wydanie rubryki.

Postscriptum. Bo akurat życie najlepszym nauczycielem jest. Gdzie teraz znajduje się wicemarszałek Senatu, lekarz, Stanisław Karczewski? W szpitalu, w Nowym Mieście nad Pilicą, gdzie sytuacja jest krytyczna. Gdzie są lekarze Bartosz Arłukowicz, Tomasz Grodzki i Władysław Kosiniak-Kamysz? No właśnie. ©©



Z prof. Ryszardem Legutką,
filozofem, publicystą i europosem PiS
rozmawia Marcin Makowski



Co w nas zostanie po koronawirusie?

MARCIN MAKOWSKI: Zapomnijmy na chwilę, że jest pan politykiem. Pytam filozofa: Czy jako społeczeństwo jesteśmy gotowi na pandemię?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Myślę, że Polacy tak. Jesteśmy doświadczeni przez historię i nie zdążyliśmy się tak przyzwyczaić do bezpiecznego życia, by obecny stan niebezpieczeństwa spowodował paraliżujący szok. Znamy to z niedawnej historii: zagrożenie życia, godzina polityczna, ograniczenie możliwości poruszania się i komunikowania. Jeśli nawet młodsze pokolenie tego nie przeżyło, to dostało przekaz od starszych. Nie mam pewności, czy tak jest w innych krajach Zachodu, które od końca wojny żyły w ustabilizowanym komforcie. To, jak sądzę, tłumaczy, dlaczego tak długo nie traktowano tam wystarczająco poważnie zbliżającej się epidemii.

Z czego to wynikało?

Z poczucia, że jako ludzie cywilizowani jesteśmy zarówno instytucjonalnie, jak i technologicznie zabezpieczeni przed rzeczą tak banalną jak choroby wirusowe. Jeśli pojawi się problem, to się go rozwiąże, poda lekarstwo, przeczeka. Ale żeby nagle miasta miały być wyludnione? Strach przed śmiercią uzewnętrzniony? Ruch lotniczy zamknięty? Kawa u ulubionego baristy niedostępna? Absurd – nas to ominie.

Odwolałam się do instytucji, w której pracuję, czyli do europarlamentu. Pierwsza reakcja, już po rozlaniu się koronawirusa na Włochy, była następująca: nie jedziemy na obrady do Strasburga, za duże ryzyko, spokojnie pracujemy w Brukseli. Wtedy przewodniczący powiedział, że musimy jechać, bo tak nam każą traktaty. W końcu nie pojechalśmy, lecz uważano, że to koniec perturbacji. Nie wyobrażano sobie wówczas, że parlament zostanie zamknięty, i to nie wiadomo na jak długo, i że posłowie nie będą mogli opuszczać swoich krajów, a transport nie będzie działał. Do tej pory niektórzy koledzy nie wierzą w realność tej sytuacji.

Pana zdaniem Europa straciła instynkt samozachowawczy? A jeśli tak, to kiedy się to zaczęło?

O przetrąconym kręgosłupie Europy mówi się od początku XX w. Wtedy triumfujący dotąd Stary Kontynent popadł w zwątpienie i serię kryzysów, które trwają do tej pory. Europa nadal odczuwa traumę po kolonializmie. To tu wybuchły dwie wojny światowe.

Europa zrodziła rozmaite szalone ideologie, które później przejął cały świat, a następnie dała impuls innym szalonym ideologiom, które miały tam tym przeciwdziałać i również zostały wyeksportowane. Mimo buńczucznej retoryki unijnych polityków w Europie panuje duch zwątpienia. Mechanizmy decydujące o kierunku, w którym pójdzie świat, znajdują się poza Europą, a ta już nie ma na nie wpływu. Jest zadziwiające, jak europejskie poczucie winy miesza się z chęcią odkupienia i zbawienia. Europa, chcąc odkupić swoje grzechy i zbawić świat, angażuje się w rozmaite ideologiczne krucjaty, z klimatyczną na czele.

W jakim sensie?

Europa czuje się odpowiedzialna za zarażenie świata ideą bezwzględnego rozwoju, który okazał się niszczyielski dla środowiska, a teraz chce stać się pionierem w jego ratowaniu. I choć przeciw środowisku Europa grzeszy znacznie mniej niż inni, to chce dać od siebie nie-

Europa zrodziła rozmaite szalone ideologie, które potem przejął cały świat, a następnie dała impuls innym szalonym ideologiom

porównanie więcej, by stać się wzorem dla świata, a nawet być ekologicznym odkupicielem. Jest to też próba gorączkowego szukania sprawczości. Walka ze zmianami klimatu jest dla Europy polityczną protezą po utracie wpływów, bo przecież wiadomo, że nie przewodniczymy już światu militarnie i gospodarczo. Zastanawiam się dzisiaj, jaki będzie wpływ obecnej sytuacji epidemicznej na ducha owej „moralnej krucjaty”.

Myśli pan, że straci swój impet?

Myślę, że częściowo tak, bo kryzys ekonomiczny mocno uszczuplił nasze finanse, a Zielony Ład był i tak skrojony o wiele ponad nasze przedepidemiczne możliwości finansowe. Było to „mierzenie sił na zamiary, a nie zamiarów podług sił”. Teraz już nie będzie można tak sobie finansowo pohasać. Nie wierzę jednak, by zdrowy rozsądek powrócił na długo do Unii Europejskiej. Walka

o środowisko – oprócz aborcji i homomałżeństw – jest ostatnią i główną quasi-religią w Unii. Dopóki Unia nie znajdzie innego surogatu religii, dopóty będzie się trzymać starej.

Szukając przyczyn obecnego lęku, chciałbym wrócić do początków myśli europejskiej. Czy pana zdaniem utraciliśmy cnotę męstwa, którą Rzymianie określali mianem „virtus”, a Grecy „arete”? Zaprzepaściliśmy coś, co było motorem napędowym imperiów i stanowiło uodpornienie na brutalność świata?

Już dość dawno świat zachodni zarzucił pogląd, że wychowanie powinno opierać się na cnotach. Oczywiście dawniej ludzie nie byli święci, również ci uchodzący za cnotliwych, co można sprawdzić, czytając „Żywoty” Plutarcha, ale samo pojęcie cnoty wypadło z obiegu.

Dlaczego?

Po pierwsze, dlatego że cnota wiąże się z powinnością, a my żyjemy w świecie, w którym prawa są ważniejsze od powinności. Jeżeli wtłacza się nam od przedszkola, że mamy prawa podstawowe, wtórne, fundamentalne i jeszcze jakieś, że mamy karty praw ucznia, pasażera, pacjenta, petenta – to gdzie znajdzie się miejsce na obowiązki? One są już niemożliwe i uznane za autorytarne. Zabrano się nawet za „niedemokratyczne” harcerstwo, a dzwonki w szkołach określa się mianem „pruskiego drylu”. Nastąpiła hipertrofia uprawnień. Szkoły nie wychowują, bo się boją uprawnień do wszystkiego uczniów. Nauczyciele wolą cierpieć zniewagi uczniów, niż ich wychowywać. Wiedzą, że to jest dla nich bezpieczniejsze. W dobrym tonie jest natomiast kontestowanie norm – nawet jeśli jest ono głupie i stadne.

Z jakimi konsekwencjami?

To jest właśnie druga sprawa. Aby być cnotliwym, trzeba być dobrze uformowanym i zdeterminowanym do działania. Grecy dla określenia tej osobowej energii używali słowa „thymos”. Francis Fukuyama w swojej książce „Koniec historii i ostatni człowiek” odwołał się do tego pojęcia. Twierdził, że Friedrichem Nietzsche, że współczesny człowiek, zwany „ostatnim”, jest „thymosu” pozbawiony, że człowiek ten uległ spłaszczeniu i że bardziej interesuje go zabawa i konsumpcja niż własna energia do osiągnięcia wielkich celów. Na koniec

Widzimy dzisiaj wielu ludzi męźnych, lekarzy, ratowników, pracowników szpitali

Fukuyama starał się jednak – w przeciwieństwie do Nietzschego – dowieść, że z „człowiekiem ostatnim” nie jest tak źle, bo jego dusza pożądliva, ta, która go skłania do osiągania sukcesu na wolnym rynku, może mu ten „thymos” zastąpić.

Fukuyama nie miał racji. Cały problem dobrej formacji człowieka polega na zharmonizowaniu jego różnych cech i skłonności. Dobrze to opisali Sokrates i Platon, dowodząc, że człowiek powinien być wewnętrznie sprawiedliwy, a więc, że nasze pożądlivości, nasz „thymos”, a także nasz rozum powinny być odpowiednio – zgodnie ze sprawiedliwością – zharmonizowane. Człowiek współczesny taką koncepcję odrzucił, stąd ma on nieustanny problem z równowagą wewnętrzną: poddaje się łatwo wpływom, stracił odporność na przeciwności losu, ucieka w rozrywkę i fikcję, a jednocześnie popada w pesymizm, wątpi w swoją tożsamość, nie pojmuje sensu życia i ulega ciągłym lękom.

Stąd – upraszczając – kolejni po papier toaletowy w sklepach, fałszywe fake newsy, a niejednokrotnie również paniki? Choroba duszy współczesnego człowieka, który niczego nie jest pewien do końca?

Muszę przyznać, że gdy to widzę, odczuwam schadenfreude. Pamiętam, jak patrzono z politowaniem na nas, żyjących w komunistycznym systemie niedoboru, gdy rzucaliśmy się na sklepy, stając w kolejkach po wszystko. Tymczasem okazuje się, że nie tylko my – ludzie z peryferii cywilizacji – mamy podobne instynkty, lecz także samo cywilizowane centrum. W kluczowym momencie zaczęło wielu ludziom brakować rozsądku i opanowania, a górę wzięły zachowania histeryczne.

Boi się pan rozprzestrzenienia takiej choroby? Niedawno polskie media obiegrała informacja, że część studentów medycyny nie chce pracować z potencjalnie chorymi na koronawirusa. Kto w takim razie będzie nas leczyć, jeśli przyszłe pokolenie lekarzy zaczyna kalkulować?

Bardzo mnie ta informacja zasmuciła. Myślałem, że w Polsce, gdzie żywa jest tradycja ofiarności, takiego skutku nie będzie. Chciałbym wierzyć, że to tylko chwilowe, wynikające ze wstępnej dezorientacji. Człowiek jest istotą słabą, a w sytuacjach ekstremalnych ta cecha zawsze się nasila. Tym bardziej potrzebujemy dzisiaj szukać nielicznych, u których w momencie próby cnota zwycięża i to oni inspirują innych do walki.

Jednym słowem, zwłaszcza w czasach pandemii, potrzebujemy autorytetów.

Tak. Tak jak potrzebujemy ich w czasie wojny, klęsk żywiołowych czy innych nieszczęść.

Mam wrażenie, że modelowym przykładem jest w takich chwilach cesarz Marek Aureliusz. Stoik piszący „Rozmyślenia” o życiu zgodnie z rozumem, równocześnie odpierający nieustanne najazdy na granice Imperium Romanum.

Marek Aureliusz może być dzisiaj wzorem dla Europejczyków, stawiąc idealne połączenie człowieka czynu z człowiekiem głębokiej refleksji. Żadnemu filozofowi nie udało się zająć tak wysoko, praktycznie na samym szczycie politycznej hierarchii. Żadnemu politykowi nie udało się nigdy osiągnąć takich szczytów w dziedzinie filozofii. Dzisiaj on może być dla nas ważny jako ten, który uzasadniał postawę mężnej niewzruszoności wobec zmiennych kolei losu. Potrzebujemy wewnętrznego męstwa zarówno po to, by zmierzyć się z zagrożeniami, jak i po to, by zwalczyć tkwiące w nas słabości charakteru. Widzimy zresztą dzisiaj wielu ludzi męźnych, lekarzy, ratowników, pracowników szpitali. Mam jednak takie wrażenie, że praca takich ludzi nie tyle jest niedoceniana, ile że jej etyczny wymiar gdzieś nam umyka. Patrzymy na nich jak na dobrych fachowców, a ignorujemy lekcję moralności, którą z ich postawy możemy dla siebie wyciągnąć.

Czy pana zdaniem za ten stan rzeczy odpowiada również kryzys chrześcijaństwa? Przecież jedną z czterech cnot kardynalnych – oprócz roztropności, sprawiedliwości i umiarkowania – było właśnie męstwo.

Pamiętajmy, że chrześcijaństwo zacerpnięło pojęcie cnoty z wcześniejszej myśli greckiej, od Sokratesa, Platona, Arystotelesa i innych. Przetworzywszy nieco przekaz starożytnych mędrców, stało się na

prawie dwa tysiące lat najważniejszą siłą formującą człowieka Zachodu. Antychrystianizm, który się w pewnym momencie pojawił i zaczął rozwijać, aż zdominował Europę dzisiejszą, przekreślił nauczanie chrześcijańskie, lecz tym samym odrzucił także myśl grecką i rzymską, która w to nauczanie była wprzęgnięta. Stąd „ostatni człowiek” oderwany od starożytnych i od chrześcijaństwa nabrał pewnych cech barbarzyńskich. Stąd też może nie dostrzega on wielu ważnych rzeczy, na przykład metafizycznych i etycznych konsekwencji skrajnych doświadczeń ludzkich, takich jak obecna pandemia.

Epidemia dżumy przyczyniła się w XIV-wiecznej Europie do śmierci ponad połowy ówczesnej populacji, ale była też wstrząsem religijnym oraz kulturowym. Osłabiła rolę Kościoła, zwiększyła się prześladowania mniejszości społecznych, w literaturze i sztuce pojawiły się gorzko ironiczne obrazy „tańca śmierci”, Boccaccio napisał pełen rubasznych historyjek „Dekameron”. Co w sferze ducha zostanie w naszej cywilizacji po koronawirusie?

Wśród wielu scenariuszy jest i taki, że w wyniku pandemii pójdziemy w drugą stronę. Przecież nie w kierunku „życia chwilą” kultywowanego do tej pory. Powinien nadejść w naszym społeczeństwie czas na refleksję, że jeżeli życie jest tak kruche i łatwo przemijalne, a poczucie bezpieczeństwa złudne, to trzeba nim tak pokierować, aby pozostało coś trwałego. Szukać w życiu wymiaru wykraczającego poza istnienie jednostkowe zgodnie z frazą Horacego: „Non omnis moriar”.

A nie boi się pan, że zamiast głębszej refleksji pozostaną po prostu memy?

Może być i tak. Ludzkość niejednokrotnie udawadniała, że nie uczy się na błędach i doświadczeniach. Po horrorze pierwszej wojny światowej mieliśmy rychło jeszcze większy horror drugiej wojny. Atak terrorystyczny z 11 września miał Amerykę zmienić na lepsze, a zmienił na gorsze. Nie wykluczam, że w wymiarze kulturowym po koronawirusie nie zostanie wiele więcej niż memy. Wszystko zależy od tego, czy „ostatni człowiek” się obudzi, czy też będzie nadal trwał w swoim sterylnym zabawowo-smutnym kokonie, miotając się między coraz bardziej bezmyślną rozrywką a coraz bardziej pozbawioną nadziei rozpaczą.

Czy również od strony filozoficznej da się rozstrzygnąć spór między sacrum a profanum, który rozgorzał w tle dyskusji o zamykaniu kościołów ze względu na rozprzestrzenianie się wirusa?

Nie wiem, czy potrzebna jest tutaj filozofia. Na szczęście w Polsce kościoły pozostały otwarte i to jest dobra wiadomość. Nie wyobrażam sobie, by w tak trudnych czasach świątynie miały zamknąć drzwi przed wiernymi. Jest to czas wielkiej potrzeby religijnej. Kościół nie może odmówić zaspokajania tej potrzeby. Oczywiście w sytuacji epidemii obowiązuje racjonalność zachowań i stąd biorą się niektóre restrykcje, przyjmowane zresztą przez wiernych ze zrozumieniem. Myślę, że w Polsce ten problem rozwiązano dobrze.

Jednak spotyka się on z powszechną krytyką środowisk lewicowo-liberalnych.

Jest w Polsce spora liczba ludzi cierpiących na antykatolicką obsesję o charakterze patologicznym, która ujawnia się przy każdej okazji i nie zna miary. Nierzadko pokrywane jest to retoryką troski. Mamy tysiące dziennikarzy, polityków, celebrytów i przedstawicieli innych zawodów, którzy Kościoła wściekle nienawidzą, ale twierdzą, że troszczą się o niego, o wiernych, o księży, o losy chrześcijaństwa. Gdyby hierarchowie zdecydowali się pozamykać kościoły, wówczas podnieśliby rwestes: „Księża stchórzyli, boją się o siebie i mają w nosie swoje trzody”. Kij zawsze się znajdzie, a więc tych ogarniętych wścieklicą krzykaczy należy ignorować, bo oni życzą Kościołowi i chrześcijanom jak najgorzej. Jak powiedziałem, dobrze,

wyjdziemy z tej próby? Umocnieni czy wręcz przeciwnie?

Tak, to jest eksperyment, ale nie wiemy, co on wykaże. Może nagle wielu z nas odkryje uroki życia domowego, rozmów z najbliższymi, intensywnych i ciepłych kontaktów. Albo i nie. Znowu stajemy przed wyborem dobrego lub złego scenariusza. Myślę, że wiele zależy od tego, jak dalece przekaz pozytywny dotrze do świadomości ludzi. Lubimy bowiem, by nasze doświadczenia były nazwane i docenione. Jeśli informacja o umocnieniu i wzbogaceniu życia prywatnego z bliskimi osobami wejdą w przestrzeń publiczną, to mogą dobre zmiany utrwalić. Jeśli informacja będzie inna – nie ma koronawirusa, wreszcie możemy pójść w miasto i hulaj dusza – to dobre zmiany się nie utrwalą.

Czy rodzina może być na powrót ostoją wartości w Europie? Docenimy jej wartość?

To, co powiedziałem, ma oczywiście przełożenie na postrzeganie rodziny, choć tutaj byłbym bardziej ostrożny. Podważanie rodziny jest od pewnego czasu ważną częścią dzisiejszej ideologii, również w Unii Europejskiej. Dla kogoś takiego jak ja, znającego realia Unii, zwrot ku rodzinie wydaje się trudno wyobrażalny. Pandemia to jeszcze mało, by osłabić tę zapalczywość ideologiczną, którą w Europie obserwuję.

Nie chciałbym zakończyć zupełnie pesymistycznie, dlatego zapytam o coś praktycznego. Co w tym momencie napawa pana optymizmem? Co pan czyta, gdzie szuka wskazówek?

Ja swojego życia specjalnie nie zmieniałem, poza tym, że siedzę w domu i nie płaczę się po europarlamencie ani studiach telewizyjnych. Dla mnie to dodatkowy czas na czytanie i pisanie. Intellektualnie niewiele zmieniałem – nie zanurzam się w pismach mistyków ani nie szukam eskapistycznej rozrywki.

Ktoś, kto nie jest zaangażowany w działania bezpośrednie, powinien w takim okresie starać się silniej odczuć i głębiej przemyśleć powagę istnienia. Jeśli tyle w nas zostanie po koronawirusie, to będzie sukces. Jeśli natomiast otrzepiemy się po pandemii niczym pies wychodzący z wody i pobiegniemy dalej, to zmarnujemy ogromną szansę choćby na cząstkową odpowiedź na pytanie: Po co my w ogóle na tym świecie jesteśmy?

**Jeśli po pandemii pobiegniemy dalej, to zmarnujemy szansę na odpowiedź na pytanie:
Po co my w ogóle na tym świecie jesteśmy?**

że w ramach racjonalnych ograniczeń kościoły pozostały otwarte i działają, tak jak wiele innych miejsc, instytucji i usług.

Koronawirus to w pewnym sensie również globalny eksperyment społeczny: jak człowiek poradzi sobie w odosobnieniu, w domu, sam na sam z rodziną, bliskimi. Jak pan sądzi, jacy

Dwa paradoksy epoki zarazy



Piotr Semka

Czas pandemii wyostrza spojrzenie na rzeczy ostateczne – wiarę, życie i śmierć. Być może będziemy datować ludzkie reakcje na te kwestie na czas przed koronawirusem i po nim. Jednak już dziś widać, że sytuacja zachęca do ponownej analizy dwóch zjawisk, które towarzyszą nam od dawna: eutanazji i stosunków w krajach Zachodu między zlaicyzowanymi społeczeństwami a wierzącą mniejszością

Dokładnie 26 lutego, czyli w momencie, gdy w RFN zanotowano już 13 przypadków koronawirusa, niemiecki Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe wydał znamieny werdykt. Sędziowie uchylili zakaz komercyjnej pomocy w samobójstwie. Przewodniczący Trybunału w Karlsruhe, Andreas Vosskuhle, ogłosił, że zakaz narusza wolność wyboru co do odebrania sobie życia. „Zadanie sobie śmierci na podstawie samodzielnej decyzji pacjenta jest częścią prawa jednostki do decydowania o sobie” – można było przeczytać w uzasadnieniu wyroku.

Komentarze najważniejszych dzienników niemieckich były zasadniczo pozytywne. Powoływano się na sondaż mówiący, że 81 proc. Niemców uznaje po-

moc przy samobójstwie za uzasadnione prawo obywatelskie. Publicysta „Süddeutsche Zeitung” Wolfgang Janich w komentarzu „Wolność aż do śmierci” z uznaniem pisał: „Karlsruhe nie oddało państwu, ale obywatelom kontrolę nad swą śmiercią”.

WYRAŹNY KONTRAST

Jedyny problem dla komentatorów stanowiły złe skojarzenia z nazistowskimi akcjami eutanazji. Jednak i tu wskazywano, że nie może być porównania między dramatami z lat rządów Hitlera i obecnym werdyktem. Jak wskazywali publicyści – tym razem śmierć nie jest narzucana przez represyjne państwo, lecz na odwrót: dowartościowana zostaje pełna wolność obywatela, przesunięta nawet do prawa

do decyzji o zakończeniu swego życia. Odwrotnie do nazizmu, który ingerował w życie obywatela na każdym kroku.

Sędziowie w dość swobodny sposób powołali się na art. 2, pkt 1 Ustawy zasadniczej RFN, który stanowi: „Każdy ma prawo do swobodnego rozwoju swojej osobowości, o ile nie narusza praw innych i nie wykracza przeciwko porządkowi konstytucyjnemu lub nakazom moralnym”.

Uznano, że nie jest to sprzeczne z pkt 2, który głosi: „Każdy ma prawo do życia i nietykliwości cielesnej. Wolność osobista jest nienaruszalna”.

Kluczowe było uznanie za nieistotne wskazówki, że „każdy ma prawo do swobodnego rozwoju swojej osobowości” –



FOT. LUKASZ DEMAROWICZ/FORUM

tylko komercyjną pomoc w uśmiercaniu pacjentów. Zaostrzając przepisy w tej sprawie w 2015 r., ustawodawca argumentował, że żaden nieuleczalnie chory człowiek nie powinien znaleźć się pod presją, aby skończyć z życiem. A reklamy firm „pomocy przy śmierci” w naturalny sposób są nakierowane na podjęcie przez chorego decyzji o śmierci, a nie na walkę o życie.

Teraz Trybunał w Karlsruhe unieważnił i to ograniczenie, powołując się na swobodę korzystania z usług. Tak jakby pomoc w zakończeniu życia nie różniła się od usług pralni czy czyszczenia dywanów.

O dechrystianizacji społeczeństwa RFN świadczy brak większego zainteresowania mediów wspólnym protestem wobec tego werdyktu ze strony Kościołów katolickiego i ewangelickiego. „Ten wyrok stanowi cezurę dla naszej kultury nastawionej na aprobację i wspieranie życia” – ostrzegły Konferencja Episkopatu Niemiec i Rada Kościoła Ewangelickiego.

Pięć dni wcześniej, 21 lutego, parlament Portugalii zagłosował za legalizacją eutanazji i wspomaganego samobójstwa dla osób nieuleczalnie chorych. Projekt ustawy przeforsowała koalicja socjalistów: Partia Socjalistyczna, Blok Lewicy, Partia Ekologiczna – Zieloni oraz partia Ludzie-Zwierzęta-Przyroda.

Przepisy zaproponowane przez lewicę i ekologów określają, że eutanazji mogą się poddać pacjenci powyżej 18. roku życia „w sytuacji ekstremalnego cierpienia, z nieuleczalnym urazem lub śmiertelną i nieuleczalną chorobą”. Prośbę o przeprowadzenie eutanazji będzie musiało podpisać dwóch lekarzy, z których przynajmniej jeden musi być specjalistą w zakresie choroby, na którą cierpi pacjent. Pozwolenie będzie musiał także wyrazić psychiatra. Prośba zostanie później rozpatrzona przez specjalną komisję.

Jeśli prezydent Portugalii Marcelo Rebelo de Sousa podpisze ustawę, to kraj ten będzie po Szwajcarii, Holandii, Luksemburgu i Belgii piątym państwem legalizującym eutanazję. W RFN pewna forma eutanazji ukryta jest za parawanem „Sterbehilfe”, czyli pomocy w umieraniu.

Otwartość na odbieranie życia chorym i znajdującym się w depresji – zazwyczaj osobom starszym – stanowi kontrast do deklarowanej w dobie obecnej zarazy troski o seniorów, jako grupy najbardziej narażonej.

Błyskawiczne tempo rozwoju koronawirusa, u starszych osób powodujące szybkie zgony, nie prowadzi do zjawiska

wlekącego się latami cierpienia wiodącego do myśli o śmierci. Co jednak będzie, jeśli zdarzać się będą mutacje wirusa powodujące długi i bolesny stan wegetatywny? Czy nie pojawi się wówczas tendencja, by przyspieszać zgony? I co, jeśli liczba chorych urośnie do gigantycznych rozmiarów? Czy na szerszą skalę nie pojawi się myślenie, by machnąć ręką na leczenie seniorów?

19 marca dziennik „Rzeczpospolita” tak pisał o rozwoju wydarzeń we Włoszech: „Już w zeszłym tygodniu Włoski Związek Anestezjologów wydał instrukcję, kogo próbować ocalić, a kogo uznać za straconego. O tym ma decydować wiek, historia przebytych chorób, ale także to, czy osoba ma rodzinę – kogoś, kto pomoże jej w okresie rekonwalescencji”.

Na naszych oczach dochodzi więc do zamknięcia się pewnej społecznej pętli. Społeczeństwa liberalne przez ostatnie 50 lat lansowały samorealizację jednostki kosztem tradycyjnych więzi społecznych, a teraz brak kochających dzieci i wnuków może oznaczać dla starszej osoby we Włoszech zepchnięcie na sam koniec listy pacjentów mających szansę na całonocne leczenie.

Szczególnie gdy depresje starszych ludzi typowe są dla społeczeństw hedonistycznych, które spychają seniorów w samotność i brak kontaktu z rodziną. Wtedy pojawia się poczucie bycia ciężarem i śmierć może jawić się jako próba zachowania własnej godności.

Jeśli rozwój ideologii prymatu stanowienia o sobie samym już otworzył drogę eutanazji, także tej komercyjnej, to masowa pandemia może tylko wzmocnić niepokojące tendencje.

KOŚCIÓŁ ROZCHWIANY

Zdjęcie papieża Franciszka spoglądającego w niedzielę 15 marca w momencie tradycyjnej modlitwy „Anioł Pański” na pusty plac św. Piotra obiegło prasę światową. Nie było jasne, dlaczego papież Franciszek stanął w oknie, skoro plac był pusty, a policja nie wpuszczała na niego nikogo. Być może miała to być dodatkowa demonstracja słuszności decyzji o odgrodzeniu placu, zamknięciu bazyliki św. Piotra i wsparcie dla decyzji biskupów włoskich o zamknięciu kościołów do końca marca. Rzecz w tym, że papież zmieniał co rusz linię. Po paru dniach ogłoszono otwarcie kościołów. Sam pontifex udał się do rzymskiego kościoła św. Marcina, by modlić się przed cudownym krucyfiksem, który niesiony w procesji w 1522 r. przyniósł Wiecznemu Miastu kres zarazy.

o ile nie wykracza to „przeciwko nakazom moralnym”.

Jeszcze całkiem niedawno za „nakaz moralny” uważano odrzucenie uśmiercania chorych – szczególnie po strasznych doświadczeniach z nazistowską eutanazją. Teraz sędziowie – wyłącznie na podstawie swoich odczuć – uznali, że nakaz moralny ratowania życia tak długi, jak tylko się da, jest nieistotny.

Trybunał uznał za niekonstytucyjny wprowadzony pięć lat temu do kodeksu karnego paragraf 217, który skupił się na zwalczaniu komercyjnej pomocy w samobójstwie „noszącej znamiona działalności gospodarczej”. Już wtedy karze nie podlegała najbliższa rodzina ciężko chorych, która udzieliłaby takiej pomocy. Zwalczano



Papież Franciszek udziela błogosławieństwa w kierunku opustoszałego placu św. Piotra

FOT. VATICAN MEDIA/AFP/EAST NEWS

Skąd tak demonstracyjne wyrzeczenie się roli wspólnotowej modlitwy i eucharystii w chwili zarazy? Franciszek, podobnie jak włoscy biskupi, uznał takie rygory za coś oczywistego i niepodlegające dyskusji. Była to reakcja na ofensywę lewicy, która uznała zamknięcie kościołów za coś nieporównanie bardziej niecierpiącego zwłoki niż zamykanie supermarketów, restauracji czy kawiarni.

Taką samą taktykę moralnego szantażu próbowała w Polsce stosować nie tylko lewica (np. Maciej Gdula), ale i politycy pozujący na katolików jak Władysław Kosiniak-Kamysz czy Szymon Hołownia, którzy apelowali o zamknięcie świątyń. Na szczęście polski episkopat zareagował roztropnie, z jednej strony ograniczając liczbę wiernych na mszach do 50 osób, a z drugiej strony zwiększając liczbę nabożeństw i pozostawiając kościoły otwarte. Jednak polskie doświadczenia nie wpłynęły już np. na rozwój wydarzeń w Niemczech. 16 marca Angela Merkel poinformowała, że kościoły powinny zrezygnować z mszy. I już większość niemieckich biskupów deklaruje, że podda się tym rygorom.

Jak zwykle w takich wypadkach, liberalne media wynajdują sobie księży postępówców, którzy z surowymi minami grmą na tych, którzy mają wątpliwości co do zamykania kościołów.

Zupełnie inne myślenie zaprezentował ktoś, kto bardzo odbiega od wzoru idealnego chrześcijanina – Donald Trump. Amerykański prezydent natychmiast ogłosił, że w obliczu pandemii narodowy dzień modlitwy zostaje przeniesiony z maja na 15 marca. „Jesteśmy krajem, który w całej

swojej historii szukał u Boga ochrony i siły” – pisał na Twitterze gospodarz Białego Domu. „Bez względu na to, gdzie jesteś, zachęcam cię, abyś w akcie wiary zwrócił się do modlitwy”. Podobnych deklaracji nie złożył nikt z europejskich przywódców.

Jeden jedyny burmistrz Wenecji Luigi Brugnaro, ubrany w trójkolorową szarfę we włoskich barwach narodowych, odczytał w kościele Santa Maria della Salute akt zawierzenia, napisany przez patriarchę Wenecji abp. Francesco Moraglie. Jednak już inicjatywy włoskich księży, by z krucyfiksem obchodzić ulice miasteczek, piętnowano jako skrajną nieodpowiedzialność.

W Polsce przeciw czynieniu z wirusa bożka, który unieważnia obowiązki katolików wobec Boga, zaprotestował jedynie arcybiskup szczeciński Andrzej Dzięga. Jednak już dominikanie na warszawskim Służewcu zrezygnowali do odwołania ze wszystkich publicznych mszy pod mało wiarygodnym argumentem, że nie są w stanie kontrolować, czy do kościoła nie wejdzie ponad 50 osób.

ANTYKATOLICYZM W KOSTIUMIE TROSKI

Jest faktem, że Kościół w chwili kryzysu epidemiologicznego nie chce zwiększać zamieszania, kwestionując zalecenia władz. Jednak w tym kryzysie zderzyliśmy się wprost z żądaniami lewicy, aby urzędowo wymuszać zakaz odprawiania mszy z wiernymi. Takie żądanie wyrażała np. Agata Diduszek-Zyglewska, która oburzając się na podawanie komunii do ust, pisała na łamach „Krytyki Politycznej”: „Czy da się zaradzić takiej sytuacji? Po-

wiem coś dla niektórych szokującego: tak, zamykając kościoły, wzorem innych krajów i wszystkich instytucji organizujących masowe zgromadzenia w Polsce – do czasu zakończenia pandemii. I nie jest to lewicowy radykalizm”. To, jak skuteczny będzie taki antykatolicyzm ubrany w kostium racjonalnej troski o ograniczenie pandemii, powie nam, jak bardzo zlaicyzowały się katolickie kościoły europejskie.

I wreszcie ostatnia kwestia, w której wracamy do problemu eutanazji. Dla ilu starszych ludzi nakaz pozostawania w domu jest racjonalny. Jednak są i wierni seniorzy, dla których odcięcie od kontaktu z eucharystią może być poważnym ciosem. Argument lewicy, że przecież mszę można oglądać w telewizji, tak jak mecz, pokazuje tylko, jak osoby niewierzące nie są w stanie zrozumieć potrzeb osób zakorzenionych w wierze.

Gdzie jest rozsądna granica między respektowaniem reguł mających zmniejszyć zakres pandemii a odsuwaniem się od czynnego kontaktu z Bogiem? To nie jest łatwe pytanie dla hierarchów. Jednak katolicy winni być świadomi, że naciski na Kościół mają też na celu wypchniecie go z przestrzeni publicznej. Ten rys w ostatnim tygodniu był widoczny niezwykle mocno.

W nowym opakowaniu wraca stary spór ideologiczny. Spór, którego stawką jest zakres praw ludzi wierzących i autonomia Kościoła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**O UDERZENIU LEWICY W KOŚCIÓŁ
TAKŻE NA STRONIE 35**



NAGRODA NOBLA ZA IMMUNOTERAPIĘ W ONKOLOGII POTWIERDZENIEM PRZEŁOMU W LECZENIU NOWOTWORÓW

James P. Allison i Tasuku Honjo

zostali docenieni za

ODKRYCIE TERAPII PRZECIWNOWOTWOROWEJ

poprzez hamowanie negatywnej
regulacji immunologicznej



James P. Allison

dyrektor oddziału immunoterapii
w MD Anderson Cancer Center.

Opracował przeciwciało anty-CTLA-4.



Tasuku Honjo

immunolog z Uniwersytetu
w Kioto.

Odkrył funkcję receptora PD-1.



Bristol-Myers Squibb



Immuno-Onkologia



Łukasz Warzecha

Ograniczanie możliwości aktywności obywateli powinno być dozowane z większą elastycznością, bo ludzie przestaną wytrzymywać, gdy będzie to najbardziej potrzebne

Odświeżyłem sobie leciwy, ale wciąż dobry film Wolfganga Petersena „Epidemia” z 1995 r. z Dustinem Hoffmanem, Rene Russo, Donaldem Sutherlandem i Kevinem Spaceym. W thrillerze wirus jest co prawda znacznie groźniejszy niż SARS-CoV-2, bo błyskawicznie wywołuje objawy podobne do eboli i zabija sto procent zakażonych, ale za to zasięg koniecznej kwarantanny jest o wiele mniejszy niż obecnie. Aby mordercza choroba nie zakaziła całych Stanów Zjednoczonych i potem całego świata, trzeba odciąć od świata jedno małe miasteczko – 2 tys. ludzi. Przybywa zatem wojsko, miejscina zostaje otoczona ścisłym kordonem. Mimo to dwie rodziny postanawiają się z niej wyrwać – jakkolwiek irracjonalne może się to wydawać. Dwoma potężnymi pick-upami przebijają tylną ścianę stodoły i ruszają przez pole w stronę lasu. Próba ucieczki kończy się smutno: gdy pojazdy nie zatrzymują się mimo wezwań z goniących je wojskowych hummerów i wiszącego naprzeciwko helikoptera, wojskowi otwierają ogień z maszyny. Jeden z samochodów staje w płomieniach. Wszyscy w środku giną.

Ta scena rozpaczliwej desperacji jest może mocno przesadzona, jeśli chodzi o naszą obecną sytuację, powinna jednak dać do myślenia. I nam, i rządzącym. Bardzo daleko idące restrykcje trwają już ponad tydzień i to jest tydzień w innej rzeczywistości, właśnie jak z filmów katastroficznych. Pierwszych kilka dni to była pewna ekscytacja, a także duma z tego, że Polacy tak wspaniale się zdyscyplinowali, że tak sobie pomagali, że tak karnie podporządkowali się zaleceniom. Celebryci podchwycili akcję #zostańwdomu, a osoby publiczne i mnóstwo znajomych dzieliły się w mediach społecznościowych zdjęciami dzieci pilnie słuchających nauczycieli mówiących do nich z ekranu komputera.



Wciąż czynne punkty gastronomiczne dokarmiały za symboliczne pieniądze pracowników medycznych, a na Facebooku chwalono się akcjami robienia seniorom zakupów w ramach sąsiedzkiej pomocy.

ZAROBKI UTRACONE

Tyle że trzeba być nie tylko absurdalnym optymistą, lecz także ignorantem w kwestii ludzkiej psychiki, aby uznać, że taki stan cukierkowej euforii utrzyma się długo. To efekty krótkotrwałe. I tu trzeba sobie zadać pytanie, czy wprowadzając bardzo daleko idące restrykcje pod dyktando ministra zdrowia, ktokolwiek wziął pod uwagę ludzką psychikę.

Gdy minie efekt szoku połączony z efektem nowości, zaczną się obawy, niepokoje, pojawi się chęć buntu przeciwko regulacjom. Pod dwóch tygodniach wiele osób zacznie mieć problem z dziećmi starszymi niż osiem lat (do tego wieku przysługuje zasiłek). Nie można, a przynajmniej nie powinno się prosić o pomoc dziadków, bo oni są najbardziej narażeni w razie zakażenia. Jednocześnie wymaga się od rodziców, żeby w jakiejś części przejęli rolę nauczycieli – nie wszyscy są na to gotowi. Życie rodzinne w takiej sytuacji słodko wygląda tylko w serialach. W rzeczywistości może się stać udręką.

Ogromna część Polaków siedzi w domu – nie dlatego, że tak pouczają

celebryci, ale dlatego, że ich biznes pozmykano. To rodzi frustrację i poczucie bezsilności, a także ogromną niepewność co do swojej przyszłości. Rozwiązania dotyczące kredytów, które proponują banki, są w dużej mierze pozorne i obliczone na krótki czas, a potem skutkowałyby większymi obciążeniami kredytobiorców. Nikt nie umorzył ani nie odroczył rachunków za prąd czy gaz. Nie zniósł obowiązku ubezpieczenia samochodu, horrendalnych opłat za śmieci. Za to wszystko trzeba zapłacić, tymczasem przynajmniej setki tysięcy ludzi dostaną już na koniec tego miesiąca mniejsze wypłaty lub nie dostaną ich wcale. Wszak samych sprzedawców sklepowych jest w Polsce ponad 430 tys. Dodajmy do tego pracowników branży hotelarskiej, turystycznej, transportowej, fryzjerów, kosmetyczki i dziesiątki innych zawodów, w których wynagrodzenie jest ściśle uzależnione od przepracowanego czasu i którzy oberwą jako pierwsi.

Jednocześnie zaczyna się wiosna. Zbliżają się Święta Wielkanocne, czyli czas rodzinnych spotkań. Łatwo przewidzieć, że świąteczne zakupy w tym roku będą dramatem, a do wielu wielkanocnych spotkań nie dojdzie. Kościół będzie miał problem, jak podejść nawet do święcenia pokarmów.

**dwugłos
DO RZECZY**

W Wielkiej Brytanii władze od początku pandemii nie zakazały m.in. zgromadzeń. Anglicy wypełniali puby. FOT. MATT DUNHAM/AP/EAST NEWS

Można założyć, że uruchomienie szkół po Wielkanocy jest mało prawdopodobne. Problem z opieką nad dziećmi będzie zatem jeszcze większy. Niedługo potem jest majowy weekend. Brak możliwości wyjazdu choćby na krótki odpoczynek po dobijających kilku tygodniach będzie dodatkowym czynnikiem frustracji. Jeszcze większym stanie się próba zaplanowania wyjazdu wakacyjnego. Na co zresztą ogromna część Polaków nie będzie miała już pieniędzy, bo do lata rozmiary gospodarczej katastrofy staną się widoczne.

Trwająca akcja #zostańwdomu ma zresztą ten zły walor, że zniechęca do wychodzenia w ogóle – w tym także na spacer. To ogromny błąd, choćby dlatego, że świeże powietrze i słońce są konieczne do budowania naturalnej odporności organizmu, a także do zachowania dobrej kondycji psychicznej.

CZY WSZYSTKO NALEŻAŁO ZAMYKAĆ?

Zastosowane środki są bezprecedensowe, bo bezprecedensowe jest zagrożenie. Tak trudnej sytuacji świat nie widział od epidemii znacznie bardziej śmiertelnej hiszpanki w 1918 r. Wszystkie środki powinno się jednak stosować z głową. Ludzkiej psychiki nie da się zmienić i oszukać. Należałoby sobie zadać pytanie, czy radykalna izolacja jest faktycznie

w każdym aspekcie potrzebna. Czy na przykład konieczne było zamykanie muzeów w sytuacji, gdy tam akurat bardzo łatwo wprowadzić limity zwiedzających i internetową rezerwację biletów? Czy restrykcje muszą obejmować miejsca takie jak park wokół pałacu w Wilanowie? Jaki to ma sens? Mówimy przecież o dużej otwartej przestrzeni. Czy konieczne było zamykanie restauracji? Dlaczego nie wprowadzono po prostu ostrzejszych zasad dotyczących liczby gości w lokalach? Dlaczego nie można rozkładać stolików na świeżym powietrzu?

W każdej ekstremalnej sytuacji ludzie muszą mieć poczucie choćby namiastki normalności poprzez utrzymanie przynajmniej części dawnych zwyczajów – inaczej zaczną wariować. Zdaje się, że nie wszyscy to rozumieją. Gdy w filmie „Most na rzece Kwai” ppłk Nicholson (w tej roli sir Alec Guinness) wprowadza do japońskiego obozu jenieckiego swój obdarty i wyczerpany oddział, robi to w absolutnym porządku, a żołnierze maszerują, gwizdząc słynną melodię. Zamknięci w obozie Amerykanie pukają się w czoło, ale jest w tym głęboka mądrość: dowódca daje swoim ludziom poczucie, że choć w części sprawy nadal toczą się normalnie. To samo próbowali osiągnąć oficerowie zamknięci podczas drugiej wojny światowej w niemieckich oflagach, prowadząc samokształceniowe zajęcia, studiując języki obce czy opowiadając sobie nawzajem treść książek.

Polacy oczywiście nadal mogą robić wiele rzeczy, które mogli robić miesiąc temu, ale też okoliczności nie są tak ekstremalne jak obóz jeniecki, więc i punkt odniesienia jest inny. Zamykając niemal wszystko i wymuszając na ludziach siedzenie w domu, nie dając im zarazem żadnego prawdopodobnego momentu zakończenia restrykcji, ryzykujemy, że w którymś momencie zaczną one być łamane, i to masowo. Może się pojawić przekonanie, że kolejne zachorowania oraz zgony – o ile te ostatnie nie pójdą w tysiące – nie są wystarczającym uzasadnieniem, aby podporządkowywać się daleko idącym ograniczeniom, nie wiadomo jak długo. Gdybym miał dzisiaj prognozować, stawiałbym, że narastające znużenie pojawi się już mniej więcej za tydzień, a pierwsze oznaki rozluźnienia dyscypliny – w okolicach świąt. Rosnąc będą oczekiwania wobec władzy, aby przedstawiła jakiś termin powrotu do normalności albo pozwoliła ludziom

zacząć układać sobie życie na nowo w zmienionych warunkach, z uwzględnieniem ryzyka zakażenia.

Jaka jest na to rada? Poszukiwali jej Brytyjczycy, choć nie jest całkiem jasne, czy ich motywacją była przede wszystkim koncepcja wytworzenia odporności populacyjnej, czy może troska o gospodarkę, czy też trzeźwe, acz brutalne założenie, że z pewną liczbą zgonów po prostu trzeba się pogodzić, bo ludzi nie da się trzymać w domach w nieskończoność. Londyn zaczął jednak w końcu to podejście modyfikować. Z jakiego dokładnie powodu – nie jest całkiem jasne. Według obecnych informacji wpływ mogły mieć podobno błędne założenia, dotyczące przepustowości systemu ochrony zdrowia, oraz presja opinii publicznej.

Najbliższe optimum rozwiązanie wydaje się natomiast mieć dzisiaj Korea Południowa, która z jednej strony za wszelką cenę starała się utrzymać normalne funkcjonowanie państwa, włącznie z działającymi szkołami, z drugiej zaś – wychwytywać na szeroką skalę i izolować wszystkie przypadki zakażenia. W dniu, gdy piszę tekst, statystyka dla tego kraju wygląda naprawdę nieźle – wzięwszy pod uwagę, do jakiego stopnia udało się tam zachować normalny tryb funkcjonowania. Zaczyna spadać liczba aktywnych przypadków choroby, liczba nowych zakażeń od kilku dni oscyluje w granicach 75–80 przypadków, podczas gdy na początku marca było ich ponad 800. Nowe wyleczenia wyraźnie przeważają nad nowymi zakażeniami. 16 marca było 264 do 84.

Polska nie może podążać tą drogą w pełni, bo nie jesteśmy w stanie przeprowadzać masowych testów ani nawet masowych kontroli temperatury. Mimo to ograniczanie możliwości aktywności obywateli powinno być dozwolane z większą elastycznością po to, aby zniechęcenie, znużenie i bunt przeciwko regulacjom nie nastąpiły właśnie w momencie, gdy dyscyplina będzie najbardziej potrzebna.

Nie ludźmy się: „narodowa kwarantanna” i stan hibernacji wszystkiego są nie do utrzymania dłużej niż kilka tygodni. Po tym czasie konieczne będą wiążące decyzje, jak państwo ma działać dalej. I być może będziemy się musieli zdecydować na pogodzenie z pewną liczbą ofiar, bo stawką będzie w miarę normalne funkcjonowanie państwa, ale też psychiczne zdrowie obywateli.



Łukasz Zboralski

Tylko restrykcje i izolacja społeczna dają szanse na normalne funkcjonowanie opieki zdrowotnej przy pandemii. To będzie kosztowne, ale rezygnacja z tego oznaczałaby machnięcie ręką na życie wielu ludzi

Okoronawirusie, mimo kilkumiesięcznych już z nim zmagania na świecie, wiemy wciąż relatywnie niewiele. Bardzo trudno było więc wybrać strategię postępowania w obliczu pandemii. Większość krajów wybrała drogę zalecaną przez ekspertów WHO – duże restrykcje dotyczące miejsc, w których mogą spotykać się ludzie, oraz włączanie społecznej odpowiedzialności, by tam, gdzie nie są niezbędne, ograniczyć kontakty z innymi.

Już wiadomo, że ustanie transportu, zamknięcie wielu miejsc dostępnych dla ludzi (kin, teatrów, supermarketów, sklepów itd.) oraz niezbędna kwarantanna unieruchamiająca inne zakłady pracy będą ogromnym kosztem dla gospodarki. Nikt nie ma złudzeń, że po pandemii będziemy ubożsi. Że gospodarkę czeka potężna recesja.

Dlatego w polskiej publicystyce pobrzmiewa tęsknota za innym podejściem. Takim, w którym bardziej liczy się „gospodarka”, a trochę mniej ludzkie życie. Można spotkać sugestię, że ostatecznie ok. 3 proc. (na razie) zmarłych w społeczeństwie – i to tych najsłabszych, bo starych oraz mniej odpornych – to nie jest tak wysoki koszt, jak ogólne zubożenie i straty gospodarcze całej społeczności. Trudno uniknąć wrażenia, że to dalekie echo schematu myślenia Janusza Korwin-Mikkego i jego zwolenników. Sam Korwin-Mikke niedawno na posiedzeniu sejmowej komisji wprost stwierdził, że jeśli na szybszym poruszaniu się samochodów w miastach gospodarka mogłaby zyskać (choć do wodów na ten zysk nie podał), to w imię tego można poświęcić trochę więcej ludzi zabitych w wypadkach drogowych. Z podobnymi opiniami stawiającymi „gospodarkę” – a w szczególności mniejsze od zakładanych zyski firm – nad zdro-



Izolacja daje szansę

wiem ludzi spotykaliśmy się również niedawno w obliczu dyskusji nad wprowadzeniem podatku cukrowego.

Ten sposób myślenia w obliczu pandemii jest podwójnie kłopotliwy. Po pierwsze dlatego, że stawianie „gospodarki” w kontrze do ludzkiego życia każe zadawać pytanie o sens wspólnoty i powód istnienia społeczeństwa, w którym dobre, wygodne życie ogółu może brać górę nad istnieniem najsłabszych jednostek. Po drugie – dlatego że w sprawie koronawirusa takie postępowanie ma luki w założeniach.

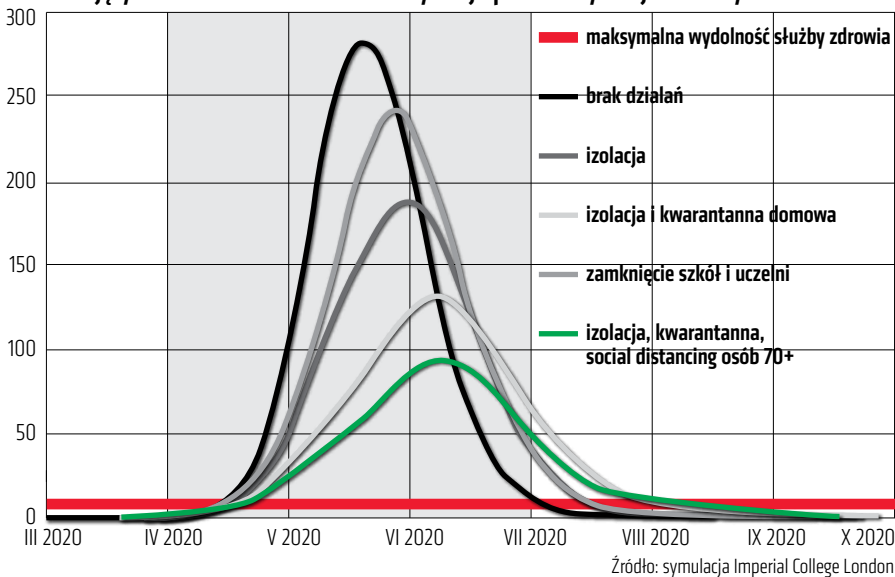
WŁOSKA KATASTROFA

Do tej pory tylko jeden kraj i tylko na chwilę próbował wyłamać się z trybu zakładającego ograniczanie działalności miejsc gromadzących ludzi, szkół czy zamykanie granic. Premier Wielkiej Brytanii powoływał się na doradców psychologicznych, którzy myśląc o dłuższej izolacji, proponowali rozpocząć ją później, by kres ludzkiej psychicznej odporności na tę sytuację nie trafił na najgorszy okres zachorowań w kraju. Był też inny powód tej strategii, który wyartykułowano. Rządzący Wielką Brytanią uznali, że najlepszym sposobem będzie nabycie tzw. odporności stadnej. Inaczej mówiąc – przechorowanie koronawirusa przez społeczeństwo, co miało by spowodować wykształcenie się odporności. To założenie miało dwie podstawowe wady. Jedną jest niewiadoma dotycząca odporności. O SARS-Cov-2 wiemy dopie-

ro jedynie na podstawie badań makaków, że małpy po przechorowaniu dalej się nie zarażają. Mamy nadzieję, że tak samo będzie u ludzi, ale na dowody będziemy musieli czekać (zdarzają się już na świecie ponowne zachorowania na koronawirusa wyleczonych z niego, na szczęście są to pojedyncze przypadki). Ekspertci przewidują jednak, że wirus ten zostanie z ludzkością na długo – tak samo jak grypa. Na nią wciąż chorujemy, choć po latach coraz lepiej potrafimy jej przeciwdziałać.

Najpoważniejszą wadą brytyjskiego planu był jednak problem, który wyliczono w kolejnych kalkulacjach dla tamtejszego rządu i na który zwróciło uwagę wielu ekspertów i lekarzy protestujących w oficjalnych pismach. Przy strategii „nie robimy nic” – czyli prezentowanej przez ostatni tydzień, kiedy Brytyjczycy wciąż chodzili do pracy i bawili się w pubach – koronawirusem zaraziłoby się w najbardziej pesymistycznej wersji 81 proc. społeczeństwa. Oznaczałoby to pogodzenie się ze śmiercią ponad pół miliona osób na Wyspach. A ofiar mogłoby być więcej, bo beztrudne transmitowanie wirusa w społeczeństwie musiałoby doprowadzić do takiego szczytu zachorowań, który przeciążyłby służbę zdrowia i uniemożliwił w ogóle próby ratunku części ciężkich przypadków.

Na to akurat dowodów dostarczyli już Włosi. To, do czego doprowadzili we własnym kraju, przeraża nie tylko

Liczba zajętych łóżek na oddziałach intensywnej opieki medycznej na 100 tys. mieszkańców

ich samych, przeraża wszystkie inne kraje zmagające się z pandemią. Włosi nie tylko za późno wprowadzili restrykcje, lecz także wykazali się społeczną nieodpowiedzialnością i nadal spotykali się w restauracjach, parkach. Nawet w obliczu rekordowych liczb zgonów na koronawirusa – sięgających w ubiegłym tygodniu już blisko 500 ludzi dziennie – nadal łamali zasady kwarantanny. Szacowano, że w Lombardii, gdzie sytuacja jest najtragiczniejsza, zasady te lekceważy 40 proc. mieszkańców! Samorządowcy z niektórych regionów oficjalnie domagali się interwencji wojska, by zmusić ludzi do nakazanej izolacji.

Efekt jest porażający. Włosi zmagają się z tak wielką liczbą chorych w jednym czasie, że oddziały intensywnej opieki medycznej tworzyli już na szpitalnych korytarzach. Do pomocy werbowano lekarzy będących od dawna na emeryturach, a stowarzyszenie weterynarzy zarządziło przegląd sprzętu, by sprawdzić, które z respiratorów dla zwierząt można wykorzystać do ratowania ludzi. Choroba przedostała się do domów opieki, gdzie czasem bezradni opiekunowie przyglądają się umierającym naraz 20 seniorom w jednym miejscu.

Doszło już nawet do tego, przed czym od tygodni ostrzegali włoscy lekarze. Ze względu na niewystarczającą liczbę sprzętów Włoskie Towarzystwo Anestezjologii, Analgezji, Reanimacji i Intensywnej Terapii (SIAARTI) wydało zalecenia etyczne. Uznało, że w przy-

padku ratowania życia nieodpowiednia jest zasada: kto pierwszy, ten lepszy. Uprzywilejowana będzie „większa długość życia”. To oznacza wyroki śmierci dla najstarszych chorych. Włoscy anestezjolodzy gorzko pytają, czy lepsze zarządzanie przez władze i zwrócenie uwagi na niedobór zasobów mogło do tego nie doprowadzić...

SCENARIUSZ WOBEC NIEWIADOMYCH

Premier Boris Johnson już w ubiegłym tygodniu zaczął rakiem wycofywać się z pierwotnych założeń i m.in. zapowiedział zamknięcie szkół w Wielkiej Brytanii. Pojawiła się zapowiedź zamknięcia Londynu (w którym jest najwięcej zakażeń w UK). Zaczął więc jednak postępować zgodnie z jedyną możliwą strategią. Zakłada ona ograniczanie kontaktów społecznych nie po to, by zatrzymać pandemię – jest już jasne, że to niemożliwe – ale by nie zatkać szpitali, rozkładając w czasie liczbę chorych, którzy będą do nich trafiać. W krajach demokratycznych strategia ta jest trudniejsza do wdrożenia w życie niż w Chinach (patrz: Włochy czy np. Belgia, której obywatele po zamknięciu restauracji jeździli tłumnie bawić się w pubach sąsiedniej Holandii), ale jako jedyna daje szansę na ocalenie jak największej liczby osób.

Najlepsi eksperci poproszeni przez rządy o stworzenie modeli dotyczących epidemii koronawirusa i wpływu różnych działań, odsuwali od siebie to zadanie,

dobrze wiedząc, że to szacunki ze zbyt wieloma niewiadomymi. Coś jednak założyć należało. Powstały więc scenariusze, wskazujące możliwe rozwoju choroby w społeczeństwach. Brytyjski rząd dostał takie symulacje od ekspertów Imperial College London (od zespołu, który od lat doradza m.in. WHO). Wynika z nich, że strategia „odporności stadnej” skutkowałaby szybkim szczytem zachorowań, przy którym liczba chorych wymagających intensywnej opieki medycznej o dziesiątki razy przekraczałaby liczbę takich miejsc w szpitalach. To czarny scenariusz. Zwłaszcza jeśli pamiętać o tym, że w trakcie pandemii ludzie nadal miewają zawały, udary, wypadki i również potrzebują ratunku.

Według symulacji Imperial College London narzędzia społecznego tłumienia rozprzestrzeniania się epidemii mogą pozwolić na zmniejszenie liczby zgonów nawet o połowę. Takie szanse daje zamknięcie szkół i uczelni, izolacja (czyli ograniczenie kontaktów między ludźmi), izolacja i kwarantanna domowa oraz odizolowanie od społeczeństwa w kwarantannach domowych ludzi najbardziej narażonych, czyli tych w wieku 70 lat i więcej.

Największą nadzieję na to, że ten model postępowania się sprawdzi, dają Chiny, które w ubiegłym tygodniu notowały już zachorowania na koronawirusa wyłącznie takie, które do kraju zostały zawleczone z zagranicy.

Polska jako jeden z nielicznych krajów najszybciej podjęła jedyną znaną i rokującą metodę ocalania ludzi – zamknięte szkoły, kina, baseny, teatry oraz zamknięte granice i kwarantanna dla wszystkich powracających do kraju. Jej efekt poznamy dopiero za kilka tygodni, może miesięcy. To na pewno i tak lepiej, niż gdyby Polacy – tak jak Brytyjczycy – mieli usłyszeć od swojego premiera zimne stwierdzenie, że będą się musieli przedwcześnie pożegnać z wieloma bliskimi w rodzinach.

Oczywiście wszyscy zdają sobie sprawę, że ten sposób spowalniania zachorowań nie może trwać w nieskończoność, a nawet, że nie może trwać bardzo długo. I tak system nie jest w pełni szczelny – ludzie muszą np. wychodzić po zakupy spożywcze. Nigdy też przecież nie przeznaczano wszystkich pieniędzy w państwach wyłącznie na ratowanie życia chorych. Na razie, wobec niewiadomej, musimy dać sobie czas m.in. także na znalezienie wyjścia z tej sytuacji.



Kamila Baranowska

Wszystkie działania państwa w ostatnich dniach skupiają się na walce z koronawirusem. Jak pracuje dziś rząd? I jak długo da się w ten sposób funkcjonować?

Minister zdrowia Łukasz Szumowski na pytanie dziennikarza Wirtualnej Polski, jak spędził ostatnią niedzielę, odpowiedział: – Fantastycznie. Mogłem zjeść śniadanie z rodziną i ją zobaczyć.

Rzeczywiście, przemęczona twarz i podkrążone oczy ministra zdrowia stały się symbolem tego, że państwo działa w sytuacji ekstraordynaryjnej i na taki tryb pracy musieli też przejść rządzący – prezydent, premier, ministrowie, z ministrem zdrowia w pierwszym szeregu, oraz cała administracja państwowa, z głównym inspektorem sanitarnym na czele.

– Zasadnicza różnica w funkcjonowaniu rządu, administracji państwowej i całej kancelarii premiera polega na tym, że teraz przez 90 proc. czasu zajmujemy się tematem koronawirusa we wszelkich tego aspektach: zdrowotnych, a także gospodarczych, społecznych, logistyczno-organizacyjnych. Liczba spraw, którymi trzeba się zająć „na już”, jest ogromna – mówi „Do Rzeczy” Piotr Müller, rzecznik rządu.

SZTAB KRYZYSOWY

Rządowy zespół zarządzania kryzysowego zbiera się codziennie, najczęściej między godz. 9 a 11. To tam powstaje wstępny plan działania i ustalane są priorytety walki z koronawirusem na najbliższe dni. Ów sztab kryzysowy zastępuje poniekąd cwortorkowe posiedzenia rządu.

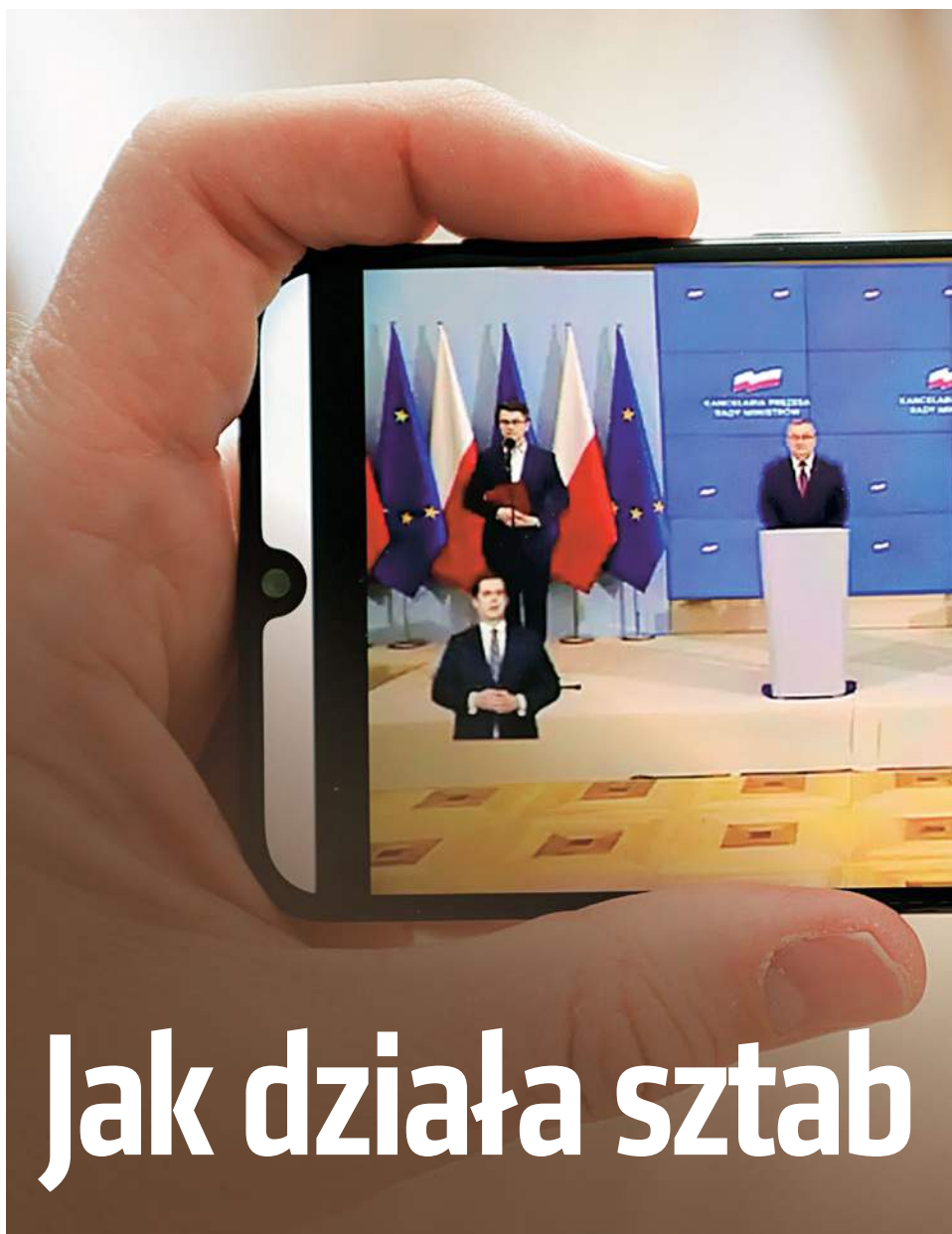
Początkowo zespół kryzysowy spotykał się normalnie w KPRM, ale od ubiegłego tygodnia spotkania te odbywają się już najczęściej zdalnie – głównie za pomocą wideokonferencji. Premier codziennie konsultuje się m.in. z ministrami zdrowia, spraw wewnętrznych i administracji, spraw zagranicznych, obrony narodowej, głównym inspektorem sanitarnym. W zależności od tego, czego dotyczą akurat podejmowane decyzje, dopraszani są kolejni ministrowie (np. edukacji narodowej, gdy

omawiana była kwestia zamknięcia szkół, czy rodziny, pracy i polityki społecznej, gdy przygotowywano tarczę antykryzysową). W spotkaniach uczestniczą także najbliżsi współpracownicy premiera z KPRM, z szefem kancelarii premiera Michałem Dworczykiem na czele.

Cała kancelaria premiera działa dziś zresztą jak jeden wielki sztab kryzysowy. Ponieważ sytuacja rozwija się bardzo dynamicznie, trzeba być przygotowanym na podejmowanie decyzji i zatwierdzanie kolejnych wytycznych o każdej porze dnia i nocy. I chodzi nie tylko o zmieniającą się niemal z godziny na godzinę liczbę zakażonych, lecz także o całą masę szczegółowych rozwiązań, które trzeba

na bieżąco uaktualniać i dostosowywać do zmieniającej się rzeczywistości. – Przy okazji każdej decyzji tworzymy komunikaty na zasadzie pytań, które mogą być zadawane, i odpowiedzi na nie. A i tak nie zawsze jesteśmy w stanie uwzględnić wszystko. Kiedy zapadła decyzja o zamknięciu szkół, przedszkoli i placówek edukacyjnych, trzeba było mnóstwo rzeczy doprecyzowywać na bieżąco, bo kolejni rodzice podnosili coraz to nowsze kwestie. I tak jest ze wszystkim – opowiada jeden z naszych rozmówców z okolic rządu.

Gdy rząd zdecydował o czasowym zamknięciu granic i ogłosił, że do kraju mogą wrócić przebywający za granicą



Jak działa sztab

Transmisja z konferencji prasowej premiera Mateusza Morawieckiego, ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka i ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza po posiedzeniu rządowego zespołu zarządzania kryzysowego, 16 marca FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP



możliwał szybkie reagowanie władzom niemieckim. Premier Morawiecki spotkał się także z prezydentami największych miast i marszałkami województw, by rozmawiać o wspólnych działaniach władz centralnych i samorządowych. „Zagrożenie koronawirusem to sprawa ponad wszelkimi podziałami – w tej chwili spory polityczne nie mają żadnego znaczenia i kategorycznie będę ucinął wszelkie tego typu narracje. W obliczu koronawirusa polskie społeczeństwo powinno być i jest jednością. Rząd czy samorząd, lewica czy prawica – wszyscy działamy wspólnie i w porozumieniu” – napisał po tym spotkaniu na swoim Facebooku.

WIDEOKONFERENCJE ZAMIAST SPOTKAN

Rząd ogranicza do minimum wszystkie spotkania i coraz chętniej korzysta z wideokonferencji. Zwłaszcza od momentu, w którym okazało się, że zakażony został jeden z członków rządu – minister środowiska Michał Woś. Koronawirusa złapał od jednego z pracowników Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych, z którym spotkał się w ramach obowiązków służbowych. – Wcześniej, gdy przychodziliśmy jeszcze osobiście na sztaby kryzysowe, przed wejściem każdy musiał myć ręce i je dezynfekować – słyszymy. – Minimalizujemy ryzyko, ale wiadomo, że dzisiaj każdy może się zarazić. I minister, i premier – dodaje nasz rozmówca.

Co wtedy? O to, czy kancelaria premiera bierze taki scenariusz pod uwagę, pytamy rzecznika rządu Piotra Müllera. – Nie będzie tak, że gdy zarazi się kolejny minister albo nawet sam premier, to nagle państwo stanie i wszystko przestanie funkcjonować. Mamy mnóstwo narzędzi komunikacji, z których już dziś korzystamy, a które często nie wymagają wychodzenia z domu. Wszystkim można dziś zarządzać zdalnie. A samo zarażenie nie musi wiązać się z komplikacjami i hospitalizacją, często można to przechorować w domu – odpowiada. Dodaje, że już dziś w większości resortów mniej więcej połowa personelu pracuje zdalnie z domu.

Zwołana przez prezydenta Andrzeja Dudę Rada Gabinetowa, na której omawiano założenia tarczy antykryzysowej, czyli stworzonego przez rząd pakietu pomocowego dla pracowników i przedsiębiorców, także po raz pierwszy odbyła

antykryzysowy

Polacy, ale nie tylko oni, szybko okazało się, że trzeba stworzyć szczegółowy katalog osób, które nie są co prawda obywatelami polskimi, ale muszą mieć prawo powrotu do Polski, i zrobić to tak, by nikogo nie pominąć. I znów trzeba było na bieżąco tę bazę uaktualniać w związku z pojawiającymi się pytaniami i wątpliwościami. Bo, jak słyszymy od jednego z ministrów, gdy działa się w dużym napięciu i pod dużą presją czasu, nie da się przewidzieć wszystkiego.

Z CENTRALI DO WOJEWODÓW

Decyzje, które zapadają na najwyższym, centralnym szczeblu, są później przekazywane lokalnym, wojewódzkim

sztabom kryzysowym, zarządzanym przez wojewodów. Z nimi regularnie kontaktuje się MSWiA. Dzięki temu możliwe jest centralne zarządzanie kryzysem, co powoduje, że wszystkie decyzje są wprowadzane w życie wszędzie jednocześnie.

Rząd chwali płynną współpracę z wojewodami, a nasi rozmówcy przypominają przy tej okazji niedawną dyskusję nad decentralizacją i odebraniem części kompetencji wojewodom, a nawet – bo i takie pomysły się pojawiały – nad likwidacją urzędów wojewódzkich. Dodają też, że właśnie kwestia landyżacji i dużej niezależności poszczególnych landów była problemem, który unie-

■ się za pośrednictwem wideokonferencji. Na miejscu znajdowali się tylko premier i prezydent ze współpracownikami. Reszta rządu była w tym czasie w swoich ministerstwach. Tego samego dnia w analogicznej formule wideokonferencji premier zwołał robocze posiedzenie rządu (także poświęcone tarczy antykryzysowej). Przy tej okazji Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera, informował na Twitterze, że „rząd dysponuje i używa systemu zapewniającego szyfrowaną łączność”, zarówno jeśli chodzi o ostatnie wideokonferencje krajowe, jak i np. posiedzenia Rady Europejskiej, także prowadzone w formie wideokonferencji.

CZARNE SCENARIUSZE

Minister zdrowia Łukasz Szumowski pytany w wywiadzie dla TVP o to, jaki scenariusz jest dziś najbardziej realny, odpowiedział, że on przygotowuje się na ten najgorszy. – Ja się przygotowuję na czarny scenariusz – stwierdził. – Za chwilę będziemy mieli 2 tys. osób zarażonych koronawirusem, a za chwilę będzie ich 8 tys. albo 10 tys. i po prostu musimy być na to przygotowani na tyle, na ile możemy – powiedział, dodając też, że obecnie żaden system ochrony zdrowia – czy to hiszpański, czy włoski, czy niemiecki – nie jest przygotowany na tak gwałtowną epidemię. Trwa więc walka z czasem.

W podobnym tonie wypowiadają się inni nasi rozmówcy z rządu, przy czym oni oprócz czarnego scenariusza zdrowotnego liczą się jeszcze z czarnym scenariuszem gospodarczym. Mówią, że walka dziś toczy się nie o to, by tego kryzysu nie było, bo będzie na pewno, ale by jego skutki były stosunkowo najmniejsze z możliwych. Czyli podobnie z samym rozprzestrzenianiem się koronawirusa. Wszyscy dziś przyjmują, że liczba zarażonych będzie rosła coraz szybciej, ale chodzi o to, by ten pik był jednak mniejszy niż w innych krajach, z których błędów nasi rządzący wyciągają dziś wnioski. – Na razie w szpitalach mamy przygotowanych więcej miejsc niż potrzeba, stosujemy wszystkie procedury zalecane przez WHO, robimy, co możemy, ale nie oszukujemy się – nie da się na epidemię na taką skalę przygotować w 100 proc. Cały świat ma dziś z tym problem – tłumaczy Piotr Müller.

– Zrobmy wszystko, żeby bezpiecznie ci najslabsi mogli tę infekcję przeżyć – podsumował w wywiadzie dla TVP minister zdrowia, apelując po raz kolejny,

by zostawać w domach, unikać dużych skupisk ludzkich i stosować się do zaleceń służb i rządu.

UNIKAĆ CHAOSU INFORMACYJNEGO

Wychodząc z założenia, że najskuteczniejszym sposobem walki z koronawirusem jest wielka narodowa kwarantanna, rząd dużo siły i energii inwestuje w kwestie komunikacyjne. Minister zdrowia mimo widocznego na twarzy zmęczenia udziela wywiadów niemal codziennie, podobnie jak niemal codziennie są organizowane konferencje Ministerstwa Zdrowia informujące o liczbie zakażonych, stanie przygotowań szpitali i ogólnej sytuacji związanej z pandemią.

Wszystkie komunikaty płynące z poszczególnych ministerstw muszą przechodzić przez KPRM i być przez nią zatwierdzane. Swobodę ma w tej kwestii jedynie Ministerstwo Zdrowia. Pozostali muszą się podporządkować. Chodzi o unikanie chaosu informacyjnego, bo

Z innego sondażu IBRIS dla Wirtualnej Polski wynika z kolei, że ponad 58 proc. oceniło decyzję rządu o zamknięciu szkół i przedszkoli „zdecydowanie dobrze”. Kolejne 26 proc. stwierdziło, że przyjmuje ją „raczej dobrze”. Co ciekawe, podobnie uważali zwolennicy wszystkich partii, także opozycyjnych. Duże jest także zaufanie Polaków do ministra zdrowia, który pozostaje na pierwszym froncie walki. Z badania IBRIS dla Onetu wynika, że Łukaszowi Szumowskiemu ufa ponad 41 proc. badanych wobec 16,9 proc. nieufnych i 26 proc. obojętnych. Z tego samego badania wynika, że minister zdrowia jest drugim po prezydencie Andrzej Dudzie politykiem, którego Polacy darzą największym zaufaniem.

Te korzystne dla rządu sondaże za chwilę mogą się jednak odwrócić. Sytuacja jest bardzo dynamiczna i nieprzewidywalna, może się pogorszyć z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę. Eksperci przewidują bowiem, że kul-

Pierwsze sondaże pokazały, że Polacy dobrze oceniają to, jak rząd radzi sobie z kryzysem spowodowanym epidemią koronawirusa

w momencie, gdy sytuacja zmienia się z godziny na godzinę, nietrudno o wpadkę, nieaktualną informację, która wprowadziłaby niepotrzebną dezorientację u ludzi. Na to kładziemy bardzo duży nacisk. Podobnie jak na szybkie wychwytywanie i dementowanie nieprawdziwych informacji powodujących panikę. Jak ta dotycząca zamykania granic województw, sklepów czy banków. Kiedy plotka na ten temat zaczęła żyć własnym życiem w mediach społecznościowych i poza nimi, kancelaria premiera nagrała szybkie wideo premiera Morawieckiego dementującego te rewelacje i od razu wrzuciła filmik na Facebooka.

SONDAŻE NIE WYSTARCZĄ

Pierwsze sondaże pokazały, że Polacy dobrze oceniają to, jak rząd radzi sobie z kryzysem spowodowanym epidemią koronawirusa. Z sondażu IBWP dla Wirtualnej Polski wynika, że takie zdanie ma 57 proc. Kolejne 25 proc. odpowiedziało, że „ani dobrze, ani źle”, a tylko 16 proc., że źle.

minacja choroby dopiero przed nami. Tymczasem już teraz zaczynają pojawiać się zdjęcia z gigantycznych kolejek na granicach, lotnisk z tłumami ściśniętych ludzi wracających do Polski, relacje lekarzy narzekających na brak sprzętu i personelu oraz doniesienia o Polakach, którzy korzystają chętnie z ładnej pogody, zamiast siedzieć w domach. Jeśli dodamy do tego coraz głośniejsze wyrażane obawy, co dalej z gospodarką, miejscami pracy, firmami małymi i dużymi, to widać, że potencjalnych zagrożeń, na których rząd i państwo mogą poleć, jest cała masa. Rację mają ci, którzy podkreślają, że czas epidemii koronawirusa to swego rodzaju test. Jednak nie tylko test przywództwa, rządzenia czy odpowiedzialności. To przede wszystkim test dla państwa, o którym od lat powtarzano, że jest z dykty i że działa tylko teoretycznie. Pytanie brzmi: Czy ta diagnoza ostatecznie się dziś potwierdzi, czy może jednak nie? Powinniśmy wszyscy trzymać kciuki za to drugie.

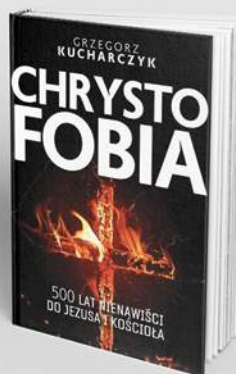
PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

GRZEGORZ KUCHARCZYK
„CHRYS TOFOBIA.
500 LAT NIENAWIŚCI
DO JEZUSA I KOŚCIOŁA”

~~347~~ zł



139,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
208 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Wojciech Wybranowski

Wszyscy kandydaci walczący o urząd prezydenta, którzy mówili o zawieszeniu bądź ograniczeniu kampanii wyborczych, w rzeczywistości starannie je prowadzą. Nowością jest hasło przełożenia terminu wyborów, co może pozwolić partiom opozycji na zwanie szyków, wyłonienie wspólnego kandydata i grę argumentem kryzysu ekonomicznego

Wtorek, późny wieczór. Kandydujący na fotel prezydenta Szymon Hołownia zamieszcza na Twitterze emocjonalne nagranie. Wzywa w nim premiera i prezydenta do zmiany terminu wyborów prezydenckich. – Panie Prezydencie, Panie Premierze, czy jesteście w stanie stanąć przed Polakami i powiedzieć im, że za kilka tygodni będziecie mogli bezpiecznie pójść i siedzieć kilkanaście godzin w komisjach wyborczych? – grzmi. Spot sprawia wrażenie amatorsko przygotowanego, na burym tle sam kandydat w rozchełstanej koszuli nie prezentuje się zbyt dobrze; nagranie nie zdobyło też uznania komentatorów. Część internautów uznała, że sprawiający wrażenie „nagranego komórka” film Hołowni obnaża słabość kampanii kandydata przeniesionej do mediów społecznościowych, choć ten miał zawojować właśnie ich młodych użytkowników. Inne nagranie – spot z wyrazami współczucia i wsparcia dla ofiar koronawirusa oraz ich rodzin opublikowała w Internecie także Małgorzata Kidawa-Błońska, kandydatka PO.

Chociaż większość kandydatów ogłosiła już, że zawiesza lub ogranicza kampanię wyborczą ze względu na sytuację epidemiczną w Polsce, to w rzeczywistości wyborczy wyścig trwa. – To oczywiście, że deklaracje rywali o zawieszeniu kampanii ze względu na koronawirusa były chwytem wyborczym. Ograniczono aktywność w terenie, zwiększając ją w Internecie przy użyciu nowoczesnych



Kampania w czasach zarazy

środków komunikacji. Widać zwiększoną aktywność Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, radzą sobie z tym ludzie Andrzeja Dudy, choć on też musi bywać w terenie – ocenia dr Jacek Kłoczowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej.

Profesor Rafał Chwedoruk z „Do Rzeczy” zwraca jednak uwagę, że internetowa aktywność kandydatów i ich sztabów, zauważalna w normalnych warunkach, dziś pozostaje w cieniu kryzysowej sytuacji w Polsce. – Polacy żyją zagrożeniem poważną epidemią, obawiają się zarazy, więc kampanię mało kto chce oglądać, w efekcie dotyczy ona głównie obrębów żelaznych elektoratów kandydatów – ocenia politolog. Eksperci, z którymi rozmawialiśmy, zwracają także uwagę, że nie bez znaczenia dla pozyskania grup

wyborców będą przekaz i działania, które podejmowali kandydaci w związku z epidemią koronawirusa.

WYJAZDY I PODJAZDY

Prezydent Andrzej Duda, dziś faworyt sondaży, oficjalnie zawiesił eskapady dudabusem, ale codziennie jest w terenie. Spotyka się z lekarzami, ratownikami medycznymi, funkcjonariuszami straży granicznej, pracownikami firm produkujących środki odkażające. Jest wszędzie tam, gdzie coś w związku z epidemią się wydarzyło. Tylko w ostatnich kilkunastu dniach był m.in. w zakładach Orlen Oil w Jedliczach, które przestawiły się z produkcji płynu do spryskiwaczy na płyn wirusobójczy, spotkał się z ratownikami medycznymi w Garwolinie, w Ciechano-



Prezydent Andrzej Duda zawiesił podróżę dudabusem do wyborców, teraz spotyka się z lekarzami, ratownikami

FOT. MATEUSZ SŁODKOWSKI/FOTONEWS/FORUM

wie zapowiadał pomoc żywnościową dla osób starszych, przekonywał podczas wielu spotkań, że państwo panuje nad sytuacją, że władze kontrolują przebieg wydarzeń. Przekaz z tych spotkań, zdjęcia, filmy, nagrania i komentarze współpracownicy Andrzeja Dudy skrupulatnie umieszczają w mediach społecznościowych, a zwolennicy kandydata wiralowo rozpowszechniają je dalej. Politycy opozycji i bliskie jej media uważają, że prezydent powinien pozostać w Warszawie, przekonują, że naraża siebie i otoczenie na ryzyko zarażenia wirusem.

– W każdy jego wyjazd zaangażowanych jest kilkadziesiąt osób. Z jednej strony rządzący promują akcję #zostanwdomu, a z drugiej kampania wyborcza Andrzeja Dudy w pełni – bulwersował

się na Twitterze Borys Budka, szef Platformy Obywatelskiej.

– Podróżuje po Polsce, nie wiadomo w jakim celu. Wizyty gospodarskie w dobie koronawirusa to realne zagrożenie – burzył się kandydujący na prezydenta z ramienia Lewicy Robert Biedroń, w rozmowie z portalem gazeta.pl. Apele do prezydenta Dudy o zaniechanie wyjazdów w teren podnosili w mediach społecznościowych politycy opozycji i dziennikarze „Gazety Wyborczej”. Tyle że takie wezwania to... też kampania.

– Gdyby tylko Andrzej Duda został w pałacu prezydenckim, komunikując się z ludźmi zaangażowanymi w walkę z koronawirusem za pomocą Skype’a czy Twittera, natychmiast jego rywale podjęliby narrację, że stchórzył, że

zawiodł, że zostawił ludzi samych sobie. To oczywiste, że prezydent musi być dziś w terenie, w trudnej chwili przekaz musi być jasny: „Władza jest wśród obywateli” – uważa prof. Maciej Drzonek, politolog z Uniwersytetu Szczecińskiego. – A że jest to element kampanii? Gdyby funkcję prezydenta pełniła pani Kidawa-Błońska czy pan Bosak, to dzisiaj zachowywaliby się tak samo – dodaje nasz rozmówca.

Według nieoficjalnych przecieków ze sztabów wyborczych m.in. PiS i PO to, że urzędujący prezydent nie został w pałacu, ale wyjeżdża w teren, miało mieć wpływ na prowadzone przez sztabowców wewnętrzne sondaże. Jeden z naszych rozmówców z PiS mówi nam, że w ostatnich dniach Andrzej Duda zbliżył się w nich mocno do granicy dzielącej go od zwycięstwa w pierwszej turze.

Jak zareagowali zwolennicy rywala Dudy? Serią fake newsów podważających wiarygodność terenowych spotkań Andrzeja Dudy ze zwolennikami. Jednym z najbardziej brutalnych był fake’owy artykuł „Gazety Wyborczej” podawany później przez działaczy i sympatyków PO w mediach społecznościowych.

„Wyborcza” skrytykowała prezydenta za jeżdżenie po kraju i zarzuciła mu „ustawkę”, którą miało być spotkanie z radnym PiS, rzekomo przebranym za ratownika medycznego. Szybko jednak się okazało, że radny rzeczywiście jest nie tylko ratownikiem, lecz także dyrektorem garwolińskiego szpitala, często też jeździ jako ratownik w karetce. „PAD przebiera działaczy PiS za ratowników medycznych po to, aby udawać, że spotyka się w sprawie koronawirusa? To jest dno” – pisał na Twitterze Roman Giertych.

W podobnym stylu sprawę komentowali też politycy PO, m.in. Iwona Hartwich. Kiedy okazało się, że rozpowszechniają nieprawdziwą informację, tylko niektórzy z nich skasowali wpisy. Z kolei poseł PO Michał Szczerba, także na Twitterze, przekonywał, że w Wojskowym Instytucie Medycznym istnieją „VIP-izolatki wyposażone w respiratory”, przygotowane z myślą o prezesie Kaczyńskim. Te doniesienia zostały szybko zdementowane, ale nieprawdziwa informacja została w tysiącach powieleń rozniesiona po mediach społecznościowych przez sympatyków PO.

Jednym z elementów kampanii prowadzonej przez zwolenników PO i kandydatki tej partii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej stał się przekaz, który

można streścić w słowach: „Państwo nie radzi sobie z walką z koronawirusem, szpitale są źle przygotowane, a państwowe władze zawodzą”.

– Obecna sytuacja to kolejny moment, w którym uwidacznia się strategicznie słaby punkt PO, wciąż nie potrafią wykorzystać słabości PiS. Część elektoratu oczekuje twardego antyrządowego stanowiska i taki słyszy ze strony polityków PO i współpracowników Małgorzaty Kidawy-Błońskiej – ocenia prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW. – Jednocześnie jednak ten przekaz to klęska, bo trafia tylko do stałych sympatyków, nie pozwala natomiast na nawiązanie kontaktu z umiarkowanymi, którzy w kryzysowej sytuacji oczekują współpracy ponad podziałami – dodaje nasz rozmówca.

Sztabowcy PO pandemię koronawirusa w Polsce wykorzystują jednak do celów wyborczych. Bartosz Arłukowicz zorganizował wideokonferencję z udziałem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, łącząc się z dyrektorem pomorskiego szpitala, którą przepytował o sytuację i potrzeby szpitala w sytuacji epidemicznego zagrożenia. Sztabowcy PO oraz ich kandydatka Małgorzata Kidawa-Błońska zaczęli też apelować do rządu o to, by umożliwiono przeprowadzenie testu na obecność koronawirusa każdemu Polakowi, który będzie chciał to zrobić.

– Apeluję do rządu o uruchomienie programu powszechnego dostępu do testów na koronawirusa. Naszym obywatelskim prawem jest wiedza o swoim stanie zdrowia. Polacy chcą mieć pewność, że nie są zarażeni i nie stanowią zagrożenia dla innych – wzywała Małgorzata Kidawa-Błońska. Pomysł polityków PO został jednak skrytykowany przez część ekspertów wskazujących, że przeprowadzenie testu na zbyt wczesnym etapie nie wykryje wirusa, a prowadzić może do zablokowania pracy laboratoriów.

Zdaniem ekspertów, z którymi rozmawialiśmy, znacznie lepiej niż główna rywalka Andrzeja Dudy – Małgorzata Kidawa-Błońska – w sytuacji kryzysowej radzą sobie politycy Lewicy, wspierający Roberta Biedronia, oraz Władysław Kosiniak-Kamysz, lider i kandydat PSL.

– Może wynika to z tego, że spora część działaczy dawnego SLD czy PSL ulokowana była w przeszłości w jakiś sposób w strukturach państwa, lepiej rozumie, jak musi funkcjonować władza państwowa w trudnej sytuacji i czego od polityków w takim momencie jak stan

Sztabowcy Platformy Obywatelskiej pandemię koronawirusa w Polsce wykorzystują do celów wyborczych

epidemiczny oczekują wyborcy – mówi prof. Chwedoruk.

Rzeczniczka Lewicy Anna Maria Żukowska chwaliła działania rządu ograniczające możliwość rozprzestrzeniania się koronawirusa, kandydat Lewicy na prezydenta Robert Biedroń, chwalać część z przedstawionego przez premiera Morawieckiego pakietu antykryzysowego, zresztą wskazał na własne projekty. Gotowość współpracy z rządem w zwalczaniu groźnego wirusa deklarował też Władysław Kosiniak-Kamysz.

GRA O TERMIN WYBORÓW

Istotnym elementem kampanii wyborczej w cieniu zarazy stały się polityczne apele o przeniesienie zaplanowanych na maj wyborów prezydenckich. Obok Szymona Hołowni zmiany terminu wyborów domagają się niemal wszyscy kandydaci opozycji.

– Epidemia wyklucza kampanię. Wniosek jest jeden: trzeba przełożyć wybory – nawoływał były premier Donald Tusk, wspierający Małgorzatę Kidawę-Błońską. Sama kandydatka PO na prezydenta jeszcze 1 marca przekonywała natomiast: – Na razie nie ma powodu, by wybory przesunąć. Ale to prawda: mój sztab zmienił formułę prowadzenia kampanii w związku z epidemią.

Z apelem do prezydenta i premiera o rozważenie możliwości odsunięcia wyborów w czasie zwrócił się także kandydat Konfederacji Krzysztof Bosak. Podobne oczekiwania ma również Robert Biedroń. – Nie ma co zwlekać, trzeba przełożyć wybory na jesień, to jest jedyna racjonalna decyzja, nie ze względów politycznych czy wyborczych – mówił w rozmowie z TVN24 Władysław Kosiniak-Kamysz. Na rzecz przeniesienia terminu wyborów prezydenckich przynajmniej o kilka miesięcy mocno lobbuje także wspierająca Małgorzatę Kidawę-Błońską „Gazeta Wyborcza”.

Politycy PiS do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” przekonywali, że o zmianie terminu wyborów nie może być mowy.

– Każdy wariant jest brany pod uwagę, ale dzisiaj nie ma podstaw ku takim działaniom. Wezwania opozycji traktuję jako próbę siania paniki i tym samym destabilizacji państwa – mówi nam jeden ze współpracowników prezydenta Andrzeja Dudy.

Z kolei politolodzy, z którymi rozmawialiśmy, uważają, że podobne apele należy traktować jako istotny element właśnie kampanii wyborczej. Dlaczego? Bo przeniesienie daty wyborów o kilka miesięcy spowoduje, że kampania toczyć się będzie w sytuacji pewnego kryzysu gospodarczego spowodowanego epidemią wirusa, a ta z kolei wywoła niezadowolone społeczeństwo.

– Odłożenie kampanii spowoduje także, że partie opozycyjne będą mogły zrobić nowe otwarcie, widząc słabość swoich kampanii. Nauczone doświadczeniem ostatnich miesięcy porozumieć się, co do wystawienia wspólnego kandydata, który będzie w stanie powalczyć z Andrzejem Dudą – twierdzi prof. Rafał Chwedoruk.

Również zdaniem dr. Jacka Kloczkowskiego sugestie, jakoby wybory powinny zostać przesunięte w czasie, bo – jak twierdzi opozycja – tylko prezydent Andrzej Duda może prowadzić kampanię w czasach zarazy, są całkowicie bezpodstawne. – Kampania trwa na całego. Biedroń, codzienne konferencje Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, zaangażowanie Grodzkiego, prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka itp. itd. Po prostu obóz władzy lepiej widać – mówi Kloczkowski. Profesor Maciej Drzonek uważa zaś, że wybory mogłyby być raczej nieco przyspieszone, by uniknąć większego zagrożenia epidemicznego. Takiego postulatu dzisiaj jednak politycy ani obozu władzy, ani opozycji nie podnoszą.

EKONOMICZNY FINISZ

O ile jednak termin wyborów z pewnością nie zostanie przełożony, o tyle w sytuacji koronawirusowego kryzysu gospodarczego finisz kampanii przebiegnie w stricte ekonomicznej rywalizacji. Swoje propozycje rozwiązań ekonomicznych, które mają pomóc przedsiębiorcom i pracownikom zrekompensować straty, wynikające np. z zamknięcia sklepów, restauracji czy klubów sportowych, przedstawili już Mateusz Morawiecki i Andrzej Duda, Małgorzata Kidawa-Błońska oraz Robert Biedroń.

© All rights reserved.

**O RZĄDOWYCH POMYSŁACH WSPARCIA
BIZNESU CZYTAJ TAKŻE NA STRONIE 84**

Kościół katolicki w Polsce nawet w czasie epidemii prowadzi krucjatę, intensywnie wspierany przez rząd PiS. Rezygnacja z tacy dla księży byłaby zbyt dużym wyzwaniem, a ten wątpliwy »szpital dla dusz« można z większym pożytkiem zastąpić lekturą np. »Biegunów« Tokarczuk – napisał na Twitterze Krzysztof Mieszkowski. Znany z antyklerykalizmu poseł Koalicji Obywatelskiej nawiązał ironicznie do wypowiedzi Jarosława Gowina. »Msze w kościołach powinny odbywać się normalnie, bo Kościół to jest szpital dla dusz« – stwierdził wicepremier.

Komentarz Mieszkowskiego to tylko jeden z wielu werbalnych ataków na Kościół w wykonaniu polityków i sympatyków szeroko rozumianego obozu lewicowo-liberalnego. Falę krytycznych komentarzy po tej stronie ideowej barykady wywołał apel przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski o zwiększenie liczby mszy świętych. Arcybiskup Stanisław Gądecki argumentował, że o ile »szpitale leczą choroby ciała«, to »kościół służy m.in. leczeniu chorób ducha«, dlatego też »jest niewyobrażalne, abyśmy nie modlili się w naszych kościołach«.

»Nie rozumiem działań polskiego Kościoła. Odwołujemy konferencje i imprezy masowe, kandydaci zawieszają spotkania, a KK w Polsce chce więcej mszy!« – komentowała Katarzyna Lubnauer. Swoje oburzenie tłumaczyła troską o osoby starsze. Z kolei Barbara Nowacka napisała: »Odwołane imprezy masowe, politycy odwołują spotkania [...], służby medyczne w stanie alertu, a biskupi apelują o więcej mszy...«. Do dyskusji włączyła się również Sylwia Spurek. Europosłanka Wiosny przypominała zasadę, co do której panuje zgoda ponad podziałami politycznymi: »W obliczu koronawirusa powinniśmy ograniczać przebywanie ludzi w jednym miejscu i chronić osoby starsze«. W tym kontekście zadała retoryczne pytanie, czy zwiększenie liczby mszy świętych jest »odpowiedzialnym zachowaniem«.

Jednak argumenty oburzonych posłanków wynikały albo z niezrozumienia, albo ze złej woli. Intencją abp. Gądeckiego było bowiem zwiększenie liczby mszy świętych, aby jednocześnie w świątyniach przebywało mniej wiernych. Celem było zatem bezpieczeństwo. Hierarcha wyraźnie zaznaczył, że chodzi o zwiększenie liczby mszy świętych po to, »aby jednorazowo w liturgiach mogła uczest-

niczyć liczba wiernych odpowiednia do wytycznych służb sanitarnych«.

POUCZANIE KOŚCIOŁA

»Kiedy wirus zbiera w Polsce pierwsze ofiary, nie można pozwolić, aby Kościół katolicki zmuszał do udziału w rekolekcjach i mszach. Wszystkie takie miejsca powinny być natychmiast zabezpieczone. Kościoły mogą stać się miejscami kwarantanny« – napisał na Twitterze

żenie koronawirusem. Z kolei w piątek 13 marca przewodniczący KEP polecił biskupom diecezjalnym, aby »podczas każdej mszy św. i nabożeństw wewnątrz kościoła mogło przebywać maksymalnie 50 osób«. Decyzja abp. Stanisława Gądeckiego była związana z wprowadzeniem przez rząd ograniczenia zgromadzeń, w tym także religijnych.

Zanim jeszcze została wprowadzona, do KEP trafił list otwarty, napisany

Koronawirus – broń do walki z Kościołem



Maciej Pieczyński

Obóz lewicowo-liberalny wykorzystuje szalejącą pandemię do ataków na swoich ideowych przeciwników. Pod pozorem troski o zdrowie wiernych uderza w Kościół

Dariusz Joński, były działacz SLD, obecnie poseł KO. Joński zasugerował ironicznie, że w organizacji kwarantanny mógłby pomóc Jarosław Gowin. Z kolei Radosław Sikorski, »jako obywatel i przedstawiciel wyborców«, zażądał publicznie zawieszenia mszy tak jak innych zgromadzeń. Swoją wpis zaadresował do Konferencji Episkopatu Polski. »To nie jest wasza prywatna sprawa. Możecie pozarażać siebie, wiernych, ich krewnych i całe społeczeństwo« – pouczał Sikorski. Dodał też: »Ochrona zdrowia jest domeną nauki, nie wiary«.

Wpisy polityków KO zostały opublikowane 12 marca. Tego samego dnia KEP wydała komunikat zachęcający biskupów do udzielenia dyspensy od obowiązku uczestnictwa w niedzielnej mszy świętej osobom szczególnie narażonym na zara-

żenie koronawirusem. Z kolei w piątek 13 marca przewodniczący KEP polecił biskupom diecezjalnym, aby »podczas każdej mszy św. i nabożeństw wewnątrz kościoła mogło przebywać maksymalnie 50 osób«. Decyzja abp. Stanisława Gądeckiego »o odwołanie dużych zgromadzeń również w kościołach«, bo »zagrożenie epidemiczne ma charakter uniwersalny, a koronawirus nie rozpozna charakteru spotkań«. Do debaty po stronie lewicy włączył się Szymon Hołownia. »Komunia powinna być wydawana tylko na rękę. Nie fakultatywnie, ale obowiązkowo« – taki komunikat powinna wydać KEP zdaniem liberalnego publicysty katolickiego, obecnie kandydata na prezydenta.

CO ROZWŚCIECZA LEWICĘ

»Specjaliści niech szukają w tej sprawie odpowiednich pomocy medycznych, »

■ a my trwajmy w modlitwie” – czytamy w liście pasterskim abp. Andrzeja Dzięgi. Metropolita szczecińsko-kamieński wystosował do wiernych jednoznaczny komunikat: „Chrystus nie roznosi zarazków ani wirusów. Chrystus rozdaje Świętą czystość i Życie, przywraca zdrowie”. List hierarchy został ostro skrytykowany nie tylko przez środowiska lewicowe, lecz także przez Piotra Sikorę z „Tygodnika Powszechnego”, który już w tytule swojego felietonu grzmi: „Słowa biskupa błędne i groźne”. „Podczas gdy wobec epidemii koronawirusa Episkopat zaleca dyspensę od niedzielnej mszy, abp Dzięga w liście pasterskim wyraźnie sugeruje, że nie można się zarazić przez wodę święconą ani przez komunię świętą do ust” – pisze Sikora. W jego ocenie są to twierdzenia „teologicznie błędne, empirycznie fałszywe i społecznie niebezpieczne”.

„Nie lękajcie się sięgać z wiarą po wodę święconą. Nie lękajcie się świętyń. Nie lękajcie się Kościoła” – te słowa metropolity wywołały falę krytyki. Lokalna, bardzo radykalna działaczka feministyczna Bogna Czałczyńska ubolewała: „Skrajnie nieodpowiedzialny. Tylko dlaczego Pomorze Zachodnie – najbardziej zlaicyzowany i przytomny rejon w Polsce – doświadcza takiego aintelektualnego, infantylnego i prymitywnego moralnie »nauczania«?”. Skrajnie lewicowy Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych zapowiedział nawet złożenie zawiadomienia do prokuratury. Do listu odnieśli się również kandydaci na prezydenta. Małgorzata Kidawa-Błońska oskarżyła abp. Dzięgę o „narażanie wiernych na niebezpieczeństwo”, a Szymon Hołownia określił zalecenia metropolity słowami: „niefrasobliwość”, „głupota”, „epidemiologia mistyczna”. Tymczasem abp. Dzięga wyraźnie zaznaczył, że „w razie potrzeby woda w kropielnicach jest wymieniana dosłownie każdego dnia”. Ponadto przypomniał, że woda święcona jest również przechowywana przez wiernych w domach.

– Ksiądz abp Dzięga nie namawia wiernych, by tłumnie ruszyli do kościołów, narażając własne zdrowie. Protestuje natomiast przeciwko odcięciu wiernych od sakramentów – mówi „Do Rzeczy” ks. Tomasz Kancelarczyk, przewodniczący Fundacji Bractwo Małych Stópek, organizator szczecińskiego Marszu dla Życia. – Gdy jesteśmy głodni,

idziemy do sklepu po chleb, i nikt nie ma prawa nam tego zabronić. Może jedynie wymagać od nas niezbędnych środków ostrożności. Właśnie to nam próbuje powiedzieć ks. abp Dzięga: trzeba na siebie duchowej stawy! – dodaje. Zdaniem ks. Kancelarczyka z całego listu abp. Dzięgi lewicę najbardziej rozwścieczył fragment, postulujący ochronę życia od momentu poczęcia do naturalnej śmierci.

– Arcybiskup Dzięga w swoim znakomitym liście upomniał się o podstawy ładu społecznego. Nic dziwnego, że akurat wzmianka o kropielnicach tak rozwścieczyła środowiska lewicowe. Powiedzenie „bać się jak diabeł święconej wody” najwyraźniej nie wzięło się znikąd – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Kaja Godek. Zdaniem szefowej Fundacji Życie i Rodzina Lewica, apelując o zamykanie kościołów, tak naprawdę bardziej troszczy się o własne interesy niż o zdrowie wiernych. – Pandemia koronawirusa sprawiła, że nasze życie w pewnym sensie zwolniło. Zamiast codziennej gonitwy możemy oddać się refleksji, a kto wie, może nawet nawrócić – mówi.

ODSTRASZANIE OD KOŚCIOŁA

Koronawirus wydaje się dla środowisk antyklerykalnych poręcznym narzędziem do walki z Kościołem. Zdaniem prof. Grzegorza Kucharczyka, historyka i publicysty, obecnie trwająca nagonka jest jedynie kontynuacją wielowiekowej tradycji.

– Już w czasach protestanckiej reformacji oskarżano katolików o szerzenie zarazy. W XIX w. w kręgach liberalnych insynuowano, że duchowni katolicycy poprzez swoje różnego rodzaju zaniedbania wywołują zagrożenie epidemiologiczne. Od samego początku chodziło o to, by skojarzyć Kościół z czymś niebezpiecznym, żeby odstraszyć wiernych – mówi „Do Rzeczy” prof. Kucharczyk. – Pamiętamy również, że Kościół zmienił się po Soborze Watykańskim II. Nie zmieniła się natomiast lewica. Jej celem jest to, co zawsze. Czyli atak na Kościół. Do tego celu lewica nie waha się wykorzystywać cudzego nie-szczęścia – dodaje.

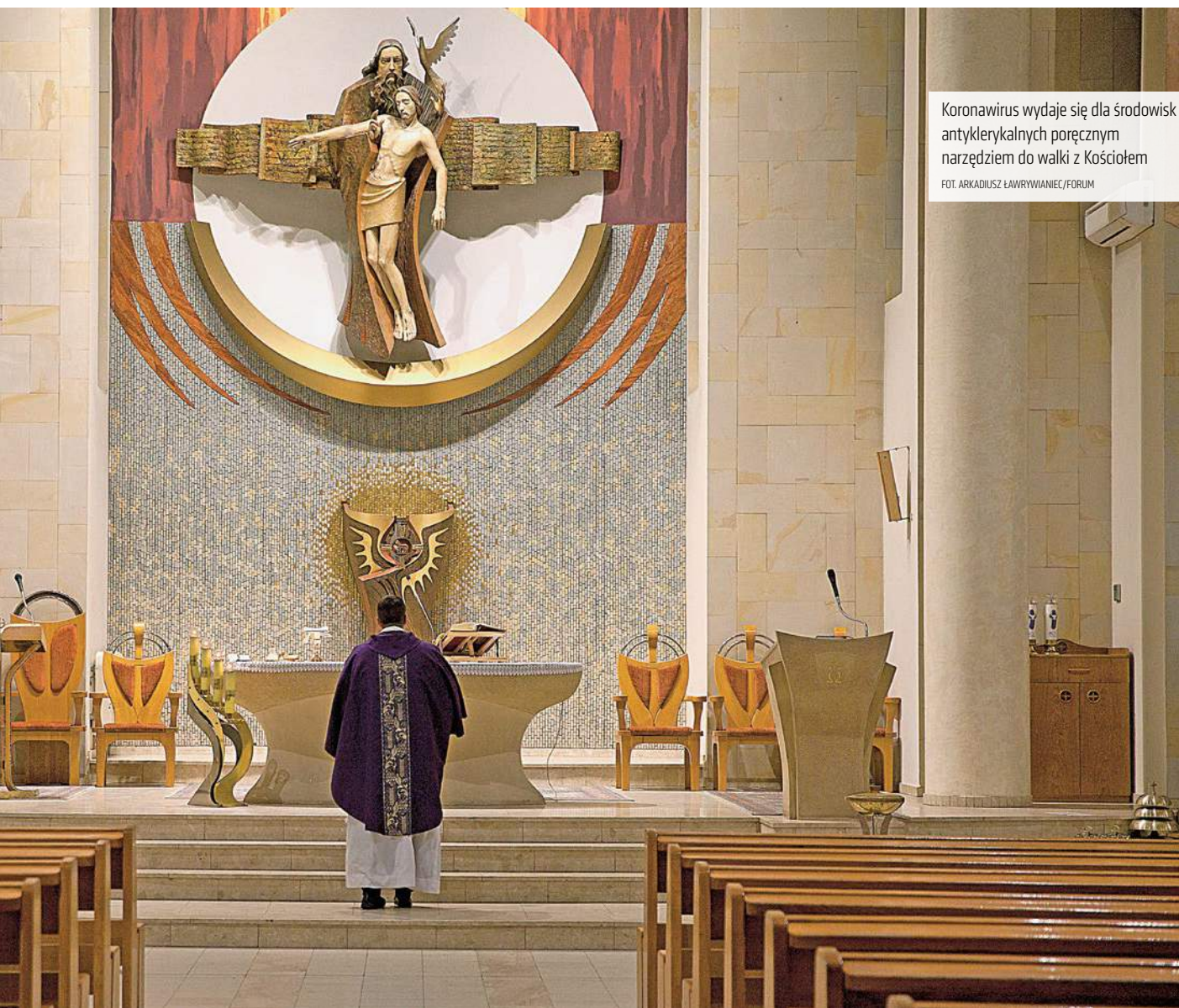
W atakach na Kościół powtarza się wątek „finansowy” – duchownym przypisuje się, że nie chcą zamykać świątyń w obawie przed utratą „dochodów z tacy”. – Ludzie, którzy przez lata sami nic nie wrzucili na tacę, teraz troszczą się o finanse Kościoła. Podobną hipokryzją jest troska o liczbę



wiernych na mszy, wyrażana przez ludzi, którzy prawie nigdy nie siadają w kościelnych ławach – mówi prof. Kucharczyk.

– To uderzające, że najbardziej atakują Kościół osoby, które do niego nie należą. Przychodzą z zewnątrz i chcą reformować instytucję, z którą się nie identyfikują. Tymczasem Kościół ma swoją określoną tożsamość i albo komuś to się podoba, albo nie. Nikt nikogo nie zmusza do uczestnictwa we mszy św. – zauważa Kaja Godek.

– Słuchając głosu lewicy, można odnieść wrażenie, że Kościół wręcz jest współodpowiedzialny za wybuch pandemii koronawirusa. To irracjonalny zarzut. Trudno się jednak dziwić, agresja bowiem rzadko ma racjonalne przyczyny – mówi „Do Rzeczy” ks. prof. Paweł Bortkiewicz, teolog, członek Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Andrzeju Dudzie. – Kościół dba o wiernych w horyzoncie integralnym, a więc



Koronawirus wydaje się dla środowisk antyklerykalnych poręcznym narzędziem do walki z Kościołem

FOT. ARKADIUSZ ŁAWRYWIANEC/FORUM

zarówno w wymiarze duchowym, jak i materialnym. Ten drugi wymiar wyraża się w trosce o ich zdrowie, bo tak przecież należy rozumieć dyspensę od nieobecności na mszy św., ograniczenie liczby wiernych czy umożliwienie zdalnego uczestnictwa w liturgii. Nawet medycyna dziś dostrzega konieczność integralnego spojrzenia na naturę człowieka. Coraz częściej akcentowany jest psychologiczny, a więc duchowy, niematerialny wymiar cielesnych chorób – dodaje. Zaznacza jednak, że najważniejszy jest wymiar duchowy, a Kościół nie może zrezygnować z udzielania sakramentów.

– Najważniejszy jest Ten, który jest obecny w tabernakulum podczas mszy św. Kościół powinien robić swoje, zamiast cieszyć się z niskiej frekwencji w świątyniach spowodowanej koronawirusem. Dbając o higienę doczesną, nie można zapominać o higienie duchowej.

Ksiądz prof. Bortkiewicz, podobnie jak prof. Kucharczyk, umieszcza falę antyklerykalizmu z koronawirusem w tle w szerszym kontekście. – To kolejna próba dezynfekcji życia publicznego z obecności Kościoła, który ma być zepchnięty wyłącznie do zakrystii. Każdy pretekst jest dobry – ocenia. Komentując złośliwość posta Mieszkowskiego, który zasugerował, by udział w niedzielnej mszy św. zastąpić lekturą Tokarczuk, ks. prof. Bortkiewicz stwierdza: – Nie znam twórczości tej pani. Znam natomiast Pismo Święte. Jego siła utrzymała się przez dwa tysiące lat.

POTRZEBUJEMY KOŚCIOŁA

Wielu komentatorów zauważa, że ci sami, którym w dobie epidemii przeszka-
dzają otwarte kościoły, nie postulowali w równym stopniu zamknięcia o wiele bardziej niż świątynie zatłoczonych

galerii handlowych. Ostatecznie ograniczenia dotknęły również tych ostatnich. Tak czy inaczej, jednak to Kościół znalazł się na cenzurowanym. – Nie byłoby całej dyskusji, gdyby msze św. odprawiano w Castoramie – ironizuje ks. Kancelarczyk. I dodaje, już zupełnie poważnie: – Kościół to naprawdę szpital dla dusz. Niedawno do prowadzonej przeze mnie fundacji zadzwoniła pewna kobieta, zatroskana obecną sytuacją. Mówi mi: „Jestem osobą wierzącą, dlatego nie boję się tego, co ma przyjsć, bo jest ze mną Jezus Chrystus”. Myślę, że żadna z osób tak zajadłe atakujących Kościół wobec realnego zagrożenia życia nie oceniłaby sytuacji z takim spokojem i z taką pogodą ducha jak ta pani. Dlatego nam, wierzącym, tak potrzebny jest dostęp do kościoła – mówi ks. Kancelarczyk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Władze oskarżano o beczynność, a potem prezydenta Andrzeja Dudę krytykowano m.in. za wizytowanie granic

FOT. MAREK SZANDURSKI/EAST NEWS

Bańka pełna frustracji



Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja i jej media w czasie pandemii najpierw próbowały atakować rząd, a gdy pokazał, że działa sprawnie, oskarżają go o polityczny zysk

Media „opozycji totalnej” i ich odbiorcy przywitani epidemią z wielkimi nadziejami – miała obnażyć słabość „państwa PiS”, doprowadzić do szybkiego chaosu, paniki i położyć w ten sposób kres znienawidzonym rządowi. Szybko jednak rozbuchane nadzieje przerosły się w depresję i we wściekłość, kiedy sondaże pokazały, że w sytuacji zagrożenia poparcie dla władzy jeszcze bardziej wzrosło. Taka dwufaktywna huśtawka zawsze powoduje emocjonalne problemy. W tym konkretnym wypadku wyrażają się one w sposób bardzo nieprzejrzysty.

„Jesteśmy na takim etapie, że pałowanie się koronawirusem w kontekście politycznym należy przełożyć na »po epidemii«. Wtedy się będziemy

rozliczać, kto jak przygotował i co zbagatelizowano/zrobiono. Teraz wszystkie ręce na pokład” – zaapelował popularny na Twitterze lekarz Jakub Kosikowski. Ten zdroworozsądkowy wpis spotkał się niemal natychmiast ze wściekłą kontrą publicysty Jerzego Skoczylasa (nie należy mylić go z satyrykiem popularnego kabaretu Elita – mówimy o autorze m.in. wspomnień gen. Kiszczaka i skandalizującej książki o Anastazji P.). „Jesteśmy na takim etapie, że najważniejszą sprawą jest odsunięcie PiS od władzy. Do tego niezbędne jest wygranie wyborów prezydenckich. Nawoływanie odłożenia tego na »po epidemii« jest popieraniem Dudy i PiS” – skarcił lekarza, dodatkowo opatrzył wpis hashtagem #Kidawa2020.

Może ktoś powiedzieć, że redaktor Skoczylas nie jest w obozie opozycji nikim ważnym, choć jego wypowiedzi często goszczą w antypisowskich mediach. Rzecz jednak w tym, że wypowiedzi utrzymywane w podobnym tonie pojawiają od pierwszych dni epidemii znacznie więcej.

LICZYLI NA POWTÓRKĘ Z KOPACZ?

Opozycja – trudno powiedzieć, na ile instynktownie, na ile opierając się na własnych doświadczeniach – założyła najwyraźniej, że PiS będzie reagował na koronawirusa w taki sam sposób

jak rząd PO-PSL w 2010 r. na epidemię świńskiej grypy, która przyniosła Polsce 180 prawie nieodnotowanych w ówczesnych mediach zgonów. To znaczy, że podobnie jak wówczas zrobiła premier Ewa Kopacz, Mateusz Morawiecki będzie się starał zagrożenie zbagatelizować, a liczbę dotkniętych nim pomniejszać albo wręcz ukrywać. Z tą różnicą, że Ewa Kopacz miała za sobą jednolity front masowych mediów, a dziś to właśnie wpływowe media grupy ITI, Ringier Axel Springer oraz Agory stanowią główną siłę opozycji i tym razem kunktatorstwo rządu miało zostać zdemaskowane.

Stąd strategią salonów było budzenie paniki, oskarżanie, że rząd ukrywa prawdę, narażając społeczeństwo na niewyobrażalne konsekwencje. Zwolennicy opozycji żyli apelem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej do premiera, aby „ujawnił prawdę” o liczbie zarażonych, oraz sensacjami byłego ministra Jacka Rostowskiego, że PiS trzyma pierwsze wypadki w tajemnicy, aby „przykryć” ich ogłoszeniem konwencji wyborczą kandydatki PO-KO – a gdy nic podobnego nie nastąpiło, oskarżeniami, że „gra” koronawirusem w celach politycznych. Wykpiwały oficjalne dane, że w Polsce jeszcze nie ma koronawirusa, jako niemożliwe, skoro we Włoszech czy w Niemczech zachorowania idą już w setki etc.

Późnym pogłosem tej strategii był upowszechniony przez Sławomira Nitrasa fejk o rzekomym przyznaniu się przez prezydenta Dudę do ukrywania pierwszych wypadków (w istocie prezydent, wspominając o „pierwszych zachorowaniach w styczniu”, mówił o Chinach, co było oczywiste w całym kontekście zdania).

Strategia siania paniki wyłożyła się jednak na całej linii w chwili, kiedy okazało się, że rząd podchodzi do sprawy bardzo poważnie, ogłaszając kolejne restrykcje i ograniczenia mające powstrzymać rozpowszechnianie się wirusa. Ludzi pokroju pana Skoczylasa wprowadziło to w autentyczną wściekłość – panikując i strasząc epidemią, opozycja, okazało się niechcący, wzmogła wiatr dmący w PiS-owskie żagle. Z punktu widzenia czysto PR-owskiego, gdyby od początku sięgnęła po „zdroworozsądkową” narrację w stylu Borysa Johnsona (nie przesadzajmy, kto ma zachorować i tak zachoruje, a przedwczesne i przesadne restrykcje tylko pogarszają sytuację), wyszłaby na tym znacznie lepiej.

ŚLEPY ATAK

Wściekłość jest fatalnym doradcą w każdej dziedzinie, marketing polityczny nie stanowi tu wyjątku. Opozycja zaczęła atakować PiS za wszystko – i wszystkich z PiS. Gdy Google ogłosił przekierowanie pytania o koronawirusa na specjalną stronę Ministerstwa Zdrowia, europosełanka PO Róża Thun zarzuciła szefowej polskiego oddziału koncernu Marcie Poślad lisusostwo, porównując ją z trenerem Jarząbkim z „Misia”. Gdy rząd zamknął granice, była minister Joanna Mucha ogłosiła: „Niedobrze mi się robi, gdy widzę, jak ta władza robi swoją politykę na koronawirusie: wczoraj dowiedzieliśmy się, że winna jest zagranica, UE i obcokrajowcy, którzy do nas przyjadą i nas zarażą”.

Oskarżenia o „robienie polityki” posypały się także na prezydenta Dudę za to, że spotyka się ze służbami zaangażowanymi w walkę z epidemią – skandaliczna publikacja „Gazety Wyborczej”, jakoby w Garwolinie prezydent spotkał się z „przebranym za lekarza radnym PiS” (w istocie spotkał się z lekarzami, z których jeden istotnie jest radnym PiS), stała się prawdziwym przebojem lewicowego Internetu. Między innymi za sprawą posłanki Hartwich, która uporczywie „agregowała” w mediach

społecznościowych wyrazy oburzenia rzekomą „ustawką”. Ta sama pani Hartwich wcześniej wygenerowała podobne oburzenie rozpowszechniając fejk o rzekomym przysypianiu prezydenta w Sejmie podczas specjalnego posiedzenia poświęconego walce z epidemią – a gdy spotkała się z wyrazami potępienia, zwyczajem przyjętym w swoim środowisku zaczęła odgrywać ofiarę „prawicowego hejtu”.

Prezydent został więc zaatakowany jednocześnie za to, że nie traktuje zagrożenia wystarczająco poważnie i przysypia, i za to, że „niepotrzebnie” jeździ po kraju. Tomasz Lis, poza podawaniem wszystkich fejków cudzych infekujący się własnymi, szczególnie głupimi i nienawistnymi wpisami, szydził ze spotkania prezydenta z harcerzami i wzywał go, żeby lepiej siedział w domu, a jednocześnie hejterski portal Sok z Buraka – którego szef jest jednym ze sztabowców Kidawy-Błońskiej – rozpowszechnił podawany przez tysiące zwolenników PO i Lewicy mem kpiący z Jarosława Kaczyńskiego, że „tchórz boi się” i „nigdzie nie pokazuje”.

„Burakowi” dzielnie wtórowali poseł Michał Szczęrba, rozgłaszając wyssaną z palca informację, jakoby z myślą o prezesie i innych liderach PiS przygotowano w wojskowym szpitalu przy ul. Szaserów luksusowe izolatki ze specjalnym wyposażeniem, oraz były minister Bartłomiej Sienkiewicz: „Ktoś, kogo nazywano Naczelnikiem Państwa, kto ma taką władzę polityczną, w sytuacji ekstremalnie kryzysowej – znika. Pytacie, co to za typ? Tchórz!”.

Leszek Jażdżewski, który raz już przegrał dla PO-KO wybory (do Parlamentu Europejskiego), poszedł jeszcze dalej, oskarżając prezydenta, że specjalnie chce się zarazić, bo wtedy „informacje o stanie jego gardła i »niepozowane« zdjęcia spod kocyka zdominowałyby serwisy”.

Żeby obraz był pełny, dodajmy, że na kolumnach sąsiadujących z krytyką Andrzeja Dudy za to, że jest aktywny i spotyka się z ratownikami, harcerzami oraz służbami granicznymi, zamieściła „Gazeta Wyborcza” zdjęcia prezydenta Francji Macrona w analogicznych sytuacjach – oczywiście w tym wypadku z aprobatą.

Z dala zagrzewa swych ludzi do ataków na PiS prawem i lewem ulegający coraz większej „wałęszacji” Donald Tusk. Pozbawiony, jak się zdaje, realnych wpływów i obowiązków, tweetuje, wspo-

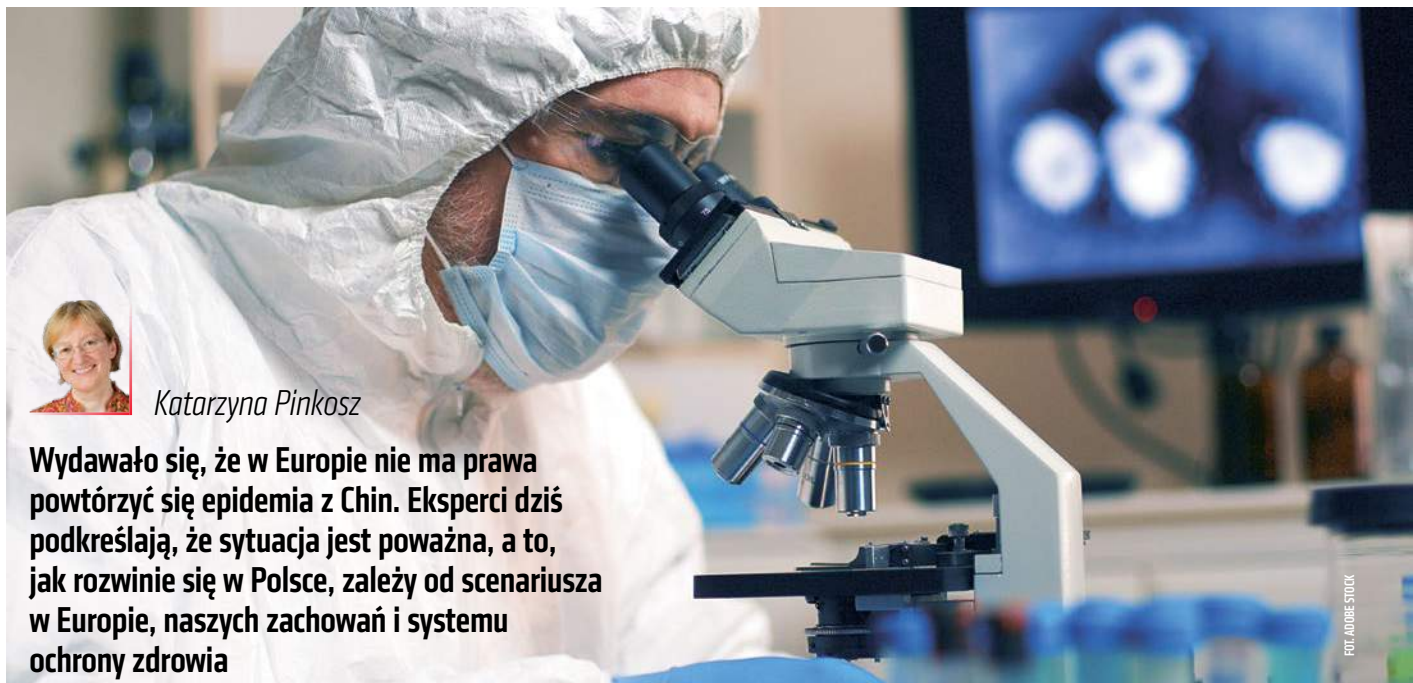
magając główne oskarżenia opozycji – a to sugerując, że rząd celowo wykonuje za mało testów na obecność wirusa, by zaniżyć liczbę zachorowań w ramach wyborczej propagandy, a to znowu atakuje rząd za rzekome przywileje, czyli wykonanie testów po stwierdzeniu zakażenia u jednego z ministrów – mimo że testy wykonano na takiej samej zasadzie jak każdemu innemu obywatelowi, który miał kontakt z zarażonym, a pierwszym wysokim urzędnikiem państwowym, który z nich skorzystał, był wszak, po krytyce jego włoskich wakacji, marszałek Senatu, Tomasz Grodzki.

EPIDEMIA „Z NIEBA”

W ciągu tygodnia propaganda opozycji zawróciła o 180 stopni. Teraz już nie oskarża PiS, że nie umie walczyć z epidemią, kompromituje się, że „państwo PiS” okazało się z dykty. Przeciwnie – że na epidemii korzysta, że „spadła mu ona z nieba” i wręcz, jak zauważyła publicystka „Wyborczej” Dominika Wielowieyska, gdyby jej nie było, PR PiS by ją musiał wymyślić.

Dosadniej ujął te same tezy aktywny w opozycji pułkownik Adam Mazgula: „To zbawienie dla władzy nie mogło przyjść w lepszym czasie! Dla pewności do grudnia utrzymywano w tajemnicy, że się zbliża, a od połowy stycznia ukrywano chorych... a minister zdrowia, który zawdzięcza swoją karierę praktyce u największej handlarki dziećmi Matki Teresy [! – przyp. R.A.Z.], specjalnie pojechał do Włoch po wirusa. Jest wirus, jest kryzys, jest szansa na kolejne partyjne zwycięstwo!”.

Ten tyleż bolesny, co obrzydliwy skowyt zbiegł się w czasie z informacjami o sondażach, w których popularność PO i jej kandydatki spaść miała poniżej 20 proc. Jedyną pociechą dla znękanych kibiców opozycji, gorliwie podających sobie wszystkie powyższe wpisy, memy i fake newsy, jest na razie wspomniane już zarażenie jednego z ministrów oraz jednego z sędziów KRS. Cytowanie tych wykwitów podłej radości, które wywołało to w znękanych prenumeratorach „Wyborczej” i u niektórych działaczy (m.in. Klementyny Suchanow), przekracza już jednak granice wrażliwości człowieka przyzwoitego, oszczędź więc tego czytelnikom. Miejmy tylko nadzieję i życzymy Polsce, żeby ci ludzie okazji do świętowania mieli jak najmniej.



Katarzyna Pinkosz

Wydawało się, że w Europie nie ma prawa powtórzyć się epidemia z Chin. Eksperci dziś podkreślają, że sytuacja jest poważna, a to, jak rozwinie się w Polsce, zależy od scenariusza w Europie, naszych zachowań i systemu ochrony zdrowia

Wirusolodzy mówią wprost: SARS-CoV-2 nie jest tak groźny jak inne odzwierzęce koronawirusy – SARS (śmiertelność 9,6 proc.) i MERS (34 proc.), jednak jest od nich dużo bardziej zakaźny. Nawet 80 proc. zakażeń przebiega lekko (najczęściej: gorączka, kaszel, zmęczenie). Bez testów nie sposób stwierdzić, kto jest zakażony, a ponieważ zakaża także osoba niemająca jeszcze objawów, dlatego tak trudno powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusa. Stąd coraz częstsze prośby lekarzy o powszechne noszenie maseczek ochronnych (także przez osoby zdrowe, niemające objawów, szczególnie w miejscach publicznych – choć oficjalnie takich zaleceń Ministerstwa Zdrowia i Głównego Inspektoratu Sanitarnego na razie nie ma). Każda maseczka, nawet najzwyklejsza, zmniejsza ryzyko, że zarazi innych. Nieco zmniejsza też ryzyko naszego zachorowania (choćby przez to, że uważamy z dotykiem oczu, nosa, ust, czyli wyłączamy te drogi zakażenia).

Powszechne noszenie maseczek to jedna ze strategii stosowanych w Chinach, którym na razie udało się opanować epidemię (przynajmniej w pierwszej jej fazie), a także w innych krajach azjatyckich.

ODPIERANIE EPIDEMII

Jeszcze na początku lutego mało kto wierzył, że wirus dotrze do Europy, a jeśli nawet, to że aż tak się rozprzestrzeni. Dlatego systemy ochrony zdrowia nastawione były na „wyłapywanie” pojedyn-

Wojna z COVID-19

czych przypadków z Chin i ich izolację. Sytuacja wymknęła się spod kontroli najpierw we Włoszech, a potem kilka innych krajów początkowo bagatelizowało „włoską lekcję”.

– Zamknięcie granic miało największy sens na początku epidemii, tak jak to zrobił Tajwan. Nasze działania są niestety nieco późniejsze. W Polsce mogła istnieć obawa o negatywne reakcje związane z decyzją o zamknięciu granic, gdy obywatele nie czuli jeszcze zagrożenia. Tajwan miał już wcześniejsze doświadczenia – mówi dr Paweł Grzesiowski, immunolog i ekspert ds. zakażeń.

Te doświadczenia to epidemia SARS w latach 2002–2003, też zapoczątkowana w Chinach, która zabiła 73 Tajwańczyków. Po tej „lekcji” wszczęto środki zabezpieczające przed powtórką i gdy tylko pojawiły się informacje o nowym koronawirusie, od razu zaczęto działać. Kontrolowano wszystkie osoby wracające z Chin oraz te, które się z nimi zetknę-

ły. Wszystkich poddano kwarantannie domowej nadzorowanej przez lekarzy. Każdą osobę ewakuowaną z Wuhan już z lotniska zawożono do domu specjalną taksówką, w maseczce, rękawiczkach. Poddawani kwarantannie byli monitorowani za pomocą specjalnej aplikacji w telefonie komórkowym. Powszechnie dostępne były maseczki i płyny do dezynfekcji. Efekt: do 18 marca na Tajwanie jest zaledwie 100 przypadków zakażeń.

– Pierwsza zawsze jest strategia niedopuszczenia: należy wyłapać wszystkie przypadki zakażenia. To da się zrobić, gdy ognisko epidemii jest daleko. Teraz jesteśmy w Polsce już na drugim etapie: zaczynamy odpieranie, próbujemy spowolnić proces zachorowań, żeby uniknąć kumulacji i paraliżu systemu ochrony zdrowia, a jednocześnie zabezpieczyć grupy ryzyka – mówi prof. Włodzimierz Gut, wirusolog.

O tym, że sytuację można kontrolować, nawet przy dużej liczbie zakażo-

nych, świadczy przykład Korei Południowej, która przez długi czas była na drugim miejscu pod względem liczby zachorowań. Do 18 marca zanotowano tam 8423 zakażonych, jednak dzienna liczba nowych przypadków nie przekracza setki. Sprawdziła się szybkość działania: burmistrz miasta, w którym odnotowano najwięcej zachorowań, zapelował do mieszkańców o pozostanie w domach i noszenie maseczek ochronnych zarówno w miejscach publicznych, jak w domach. Dostępne były powszechnie płyny dezynfekcyjne i testy (przeprowadzane także u osób bezobjawowych). Największe znaczenie miało jednak odpowiedzialne zachowanie mieszkańców: miasta opustoszały.

RESPIRATORY, TESTY, MASECZKI

Pierwsze wskaźniki śmiertelności nowego koronawirusa określano na poziomie 2,2 proc., jednak z dużym zróżnicowaniem (w Wuhan – 4,9 proc.; w innych regionach Chin – 0,7 proc.). Początkowo prognozowano, że w Europie wirus nie będzie aż tak groźny – na wysoką śmiertelność w Chinach miały nakładać się dodatkowo smog, niedostatek higieny i duża liczba palaczy. Nikt nie spodziewał się fali zakażeń w Europie, z którą bardzo różnie radzą sobie systemy ochrony zdrowia. We Włoszech wskaźnik śmiertelności to ponad 7 proc. Początkowo tłumaczono, że społeczeństwo włoskie jest starsze niż chińskie, a wiek jest jednym z czynników ryzyka. – Powodów tak wysokiej śmiertelności we Włoszech jest wiele. Po pierwsze, zaskoczenie sytuacją i jej początkowe bagatelizowanie. Po drugie, społeczeństwo włoskie jest najstarszym w Europie. Jednak dziś najpoważniejszą przyczyną jest stan przygotowania służby zdrowia – przekonuje prof. Gut.

O tym, jak ważny jest poziom opieki zdrowotnej, świadczą dane z innych krajów. Szwajcaria, Norwegia, Niemcy utrzymują poziom śmiertelności poniżej 1 proc. – Wydaje się, że problem przerósł wydolność systemu opieki zdrowotnej we Włoszech. Trudno inaczej wytłumaczyć tak dużą liczbę zgonów. Gdyby w Niemczech, Norwegii czy Szwajcarii zachorowań było 10 razy więcej, to być może również doszłoby do przecięcia systemu ochrony zdrowia – potwierdza prof. Piotr Jankowski, kardiolog z Collegium Medicum UJ.

Jednak porównywanie informacji z poszczególnych krajów o osobach zakażonych i – co za tym idzie – wskaź-



prof. Krzysztof Simon, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego we Wrocławiu:

Jako jeden z leków wspomagających leczenie zakażeń koronawirusowych brana jest pod uwagę chlorochina. To dobrze znany lek, stosowany wcześniej w malarii. Nie nadaje się jednak do stosowania samodzielnie w ciężkich stanach. U pacjentów w stanie ciężkim stosuje kombinację: kaletra (lek stosowany w zakażeniach HIV) z rybawiryną (stosowaną w szeregu gorączek krwotocznych i zakażeniu HCV) lub chlorochiną. To nie jest leczenie eksperymentalne, leki są zarejestrowane, tylko w innych schorzeniach. Komisja bioetyczna i pacjenci wyrazili zgodę na takie leczenie. Stan jednego z chorych się poprawił. Z ocenami poczekajmy, aż takich osób będzie więcej, jednak doświadczenia lekarzy chińskich i włoskich były pozytywne. Największe nadzieje budzi jednak obecnie lek wcześniej stosowany w leczeniu zakażeń wirusem ebola, który obecnie jest bardzo intensywnie badany w USA i we Włoszech. Może być zdecydowanie bardziej skuteczny, ponieważ jest ściśle ukierunkowany na struktury odpowiedzialne za namnażanie się SARS-CoV-2. Jeśli chodzi o nowe terapie, to procesy rejestracyjne trwają zwykle bardzo długo. Jeżeli epidemia nadal będzie się rozszerzać i będzie rosła śmiertelność, to zapewne procesy rejestracyjne byłyby gwałtownie skrócone. Potrzebujemy leku jak najszybciej, jednak równie ważne jest bezpieczeństwo: nie możemy wyleczyć pacjenta z SARS-CoV-19, a jednocześnie doprowadzić go do inwalidztwa.

niki śmiertelności dziś mogą być mylące ze względu na znaczące różnice w liczbie wykonywanych testów w kierunku koronawirusa i ich rodzajach (szybkie testy są obciążone większym ryzykiem błędów).

NIE TYLKO GRUPY RYZYKA

Wirus jest najgroźniejszy dla osób starszych. Nadal nie zanotowano zgonu u dziecka poniżej dziewiątego roku życia, dla osób poniżej 19. roku życia wskaźnik śmiertelności wynosi 0,4 proc., a powyżej 80. roku życia to już ponad 15 proc.

– Czynniki ryzyka ciężkiego przebiegu infekcji i powikłań prowadzących do zgonu są wiek, choroby układu krążenia, cukrzyca. W grupach ryzyka są też osoby z niewydolnością serca, po zawale – potwierdza prof. Jankowski. Bardziej narażone są też osoby z chorobami płuc (astma, przewlekła obturacyjna choroba płuc), z nowotworami, defektami układu odpornościowego oraz palące papierosy (także elektroniczne). Pojawiają się też głosy, że bardziej narażeni na zachorowanie są mężczyźni, a także osoby z grupą krwi A.

Nie znaczy to jednak, że osoby młode, bez czynników ryzyka, mogą czuć się bezpiecznie. Po pierwsze – przenoszą wirusa, zakażając innych, często słabszych. Po drugie – „lekki przebieg” często oznacza wysoką gorączkę, a zmiany w płucach pojawiają się już od początku zakażenia (zanim jeszcze widać objawy choroby). Połowa hospitalizowanych w Holandii to osoby poniżej 50. roku ży-

cia, są zgony u 19-latków nieobciążonych czynnikami ryzyka.

Eksperti podkreślają, że sytuacja jest poważna, a jej rozwój zależy od wielu czynników: sytuacji w innych krajach (zwłaszcza naszych sąsiadów), naszych zachowań. Na dziś najważniejsze zalecenia pozostają bez zmian: zostań w domu, jeśli nie musisz wychodzić. Tak chronisz przed zakażeniem siebie, najsłabszych, a także tych, którzy mają leczyć. – Dane z innych krajów pokazują, że nawet co piątą osobą zakażoną to osoba z personelu systemu ochrony zdrowia. To tak, jakby podczas wojny liczebność armii zmniejszyła się o jedną piątą. Mam nadzieję, że w najbliższych dniach zwiększy się dostępność do środków ochrony osobistej dla pracowników szpitala. Trzeba zainwestować w system opieki zdrowotnej, by nie stał się niewydolny – podkreśla prof. Jankowski.

W walce z COVID-19 sprzymierzeńcami są nauka i postęp wiedzy. – Uczymy się radzenia sobie z wirusem: widać, że rośnie liczba zachorowań o przebiegu łagodnym. Początkowo przypadki ciężkie stanowiły ok. 20 proc., obecnie to ok. 10 proc. Umiemy wcześniej zdiagnozować chorych, coraz więcej wiemy o tym, jak postępować – podkreśla prof. Gut. Pierwsza szczepionka przeciw SARS-CoV-2 jest już testowana na ludziach, pojawiają się też coraz skuteczniejsze próby leczenia.



Agnieszka Niewińska

**Zakupy dla seniorów,
maseczki dla lekarzy, zrzutki
na paczki dla bezdomnych
i na czynsz dla szkoły tańca.
Polacy w obliczu epidemii
ruszyli na pomoc innym**



W akcję „Maseczki dla krakowskich medyków” zaangażowały się małopolskie harcerki. Na zdjęciu drużna Ania

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieliśmy dopiero kilkunastu zarażonych koronawirusem, kiedy Radosław Puśko, mieszkaniec Białegostoku, miejski aktywista związany z Kongresem Ruchów Miejskich, powiesił na drzwiach swojego bloku kartkę z propozycją pomocy w zakupach, wykupieniu leków czy wyprowadzeniu psa. Skierował ją szczególnie do starszych sąsiadów, którzy w związku z epidemią powinni unikać wychodzenia z domu. – Dołączyłem także kartkę z informacją służb o tym, jak rozpoznać koronawirusa i gdzie się zgłosić. Przygotowanie tych materiałów zajęło mi kilkanaście minut. Podałem mój numer telefonu, zaapelowałem też o solidarność, wzajemne wspieranie się, o sąsiedzką pomoc. Uznałem, że takie działania budują wspólnotę między różnymi pokoleniami

wieszać kartki, np. na drzwiach klatek schodowych.

Wiele lokali gastronomicznych, które w tej chwili nie mogą prowadzić normalnej działalności, tylko co najwyżej przyjmować zamówienie i dowozić posiłki, zdecydowało, że za darmo będą karmić lekarzy i personel medyczny. W miastach w całej Polsce załogi kucharzy przygotowują obiady i zawożą je do szpitali, gdzie trwa walka z epidemią. Do takiego posiłku każdy może się dołączyć, bo trwają internetowe zbiórki.

W Tychach dla lekarzy gotuje restauracja Rock and Rondel. „Nasza skrzynka pęka od zapytań: »W czym mogę wam pomóc?« i »Czego potrzebujecie?«. Nasz magazyn przepełniają produkty, które przywieźli nie tylko dostawcy, lecz także inni restauratorzy” – relacjonuje na Facebooku załoga restauracji.

służb mundurowych – wylicza Magdalena Jabłońska z Fundacji Nielada Historia, która odpowiada za komunikację i logistykę akcji trójmiejskich NGO.

PRZY MASZYNACH 160 WOLONTARIUSZY

Wzory maseczek zostały opracowane we współpracy ze specjalistami medycznymi. Wykroje można pobrać z sieci, jest też film instruktażowy. – Do akcji zgłosiło się już 160 wolontariuszy, którzy będą szyc maseczki. Telefony się urywają. Dzwonią do mnie osoby z wielu innych miast – Grodziska Mazowieckiego, Krakowa, Wrocławia. Pytają, co mogą robić i jak – opowiada Magdalena Jabłońska.

W Małopolsce z kolei zawiązała się inicjatywa „Maseczki dla krakowskich medyków”. – Materiałowe maseczki potrzebne są dla chirurgów, mniejsze rozdajemy

Egzamin z empatii

mieszkańców i solidarność, tę przez małe „s” – opowiada. – Szybko na tych kartkach dopisała się sąsiadka, podała swój numer telefonu. Bardzo mnie to zbudowało, poczułem, że nie jestem sam, że są inni gotowi pomagać.

LISTA ZAKUPÓW POD DRZWIAMI

W bloku pana Radosława nikt jak dotąd nie potrzebował wsparcia, za to po tym, jak informacja o mieszkańcu oferującym pomoc rozniosła się w mediach, zgłosił się starszy pan z sąsiedniego osiedla. – Pan Sławek wysłał mi SMS z prośbą o pomoc w zrobieniu zakupów. Oddzwoniłem, porozmawialiśmy i umówiliśmy się na konkretną godzinę. Żeby zachować ostrożność, w pudełku pod drzwiami znalazłem listę zakupów i pieniądze. Zakupy, paragon i resztę też zostawiłem pod drzwiami. Pana Sławka i jego żonę zobaczyłem w oknie. Machali mi uśmiechnięci – opowiada Radosław Puśko. I radzi: – Pan Sławek znalazł mnie przez Internet, ale nie wszyscy seniorzy z niego korzystają, dlatego warto

Polacy odpowiedzieli także na inne potrzeby lekarzy i szpitali. W Szczecinie firma budowlana Calbud zadeklarowała zakup dwóch respiratorów dla szczecińskich szpitali. – Jeżeli możemy zachęcić innych przedsiębiorców, żeby dołączyli do nas, to serdecznie zapraszamy – informował prezes Calbudu.

Pojawiły się też sposoby na problemy związane z deficytem maseczek ochronnych. Wzrosła ich cena, brakuje ich na rynku i problemy z zakupem ma wiele szpitali, nie tylko te, które przyjmują pacjentów z koronawirusem.

W Trójmieście organizacje pozarządowe mobilizują wszystkich tych, którzy potrafią szyc na maszynie, do produkcji materiałowych maseczek. – To nie są maseczki dla lekarzy przyjmujących pacjentów z koronawirusem, bo te muszą mieć specjalne filtry, atesty. Szyje przez nas maseczki chronią innych przed wydzielinami oraz uniemożliwiają zbyt częste dotykanie twarzy. Szyjemy je dla personelu medycznego, pielęgniarzy, pielęgniarki, personelu opiekuńczego,

też dzieciom na oddziale onkologii. Dzięki temu, że mamy maseczki materiałowe, nie musimy korzystać z maseczek jednorazowych, a tych zużywamy bardzo dużo. Tylko w sobotę, kiedy w naszym szpitalu nie ma aż tak wielu operacji, lekarze zużyli 200 jednorazowych maseczek. Dzięki przekazywanym nam bawełnianym maseczkom możemy zaoszczędzić te jednorazowe i wykorzystać je tam, gdzie są najbardziej potrzebne, np. na SOR – mówi Katarzyna Pokorna-Hrynyszyn, rzecznik Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie, która zainspirowała krakowian do szycia maseczek. – Maseczki z materiału świetnie się sprawdzają. My się od nich odzwyczailiśmy, ale lekarze na misjach używają tylko takich maseczek. Powinny być dwuwarstwowe i z najgęstszej bawełny. Jeśli ktoś chce dobrze wykorzystać czas w domu i umie szyc, to zachęcam do udziału w tej akcji. Zgłaszają się już do nas inne szpitale, które pytają, czy nie mamy nadmiaru maseczek, bo im też by się przydały.

W ubiegłą środę licznik akcji „Maseczki dla krakowskich medyków” wskazywał, ▶

■ że spod małopolskich maszyn wyszło ich już tysiąc. Uczestnicy szyją w domach. W sieci dzielą się doświadczeniami, pytają o rady. Ktoś oferuje ścinki materiałów, ktoś inny gumkę. Panie – bo głównie to one szyją – zastanawiają się, jaki drucik wszywać, by maska dobrze trzymała się lekarskiego nosa. Jedna z osób oferuje kilka metrów drutu, ktoś inny pokazuje, jak można wykorzystać spinacze biurowe. Jest i kolejne rozwiązanie – sprzedawany w rolkach drucik florystyczny z budowlanej sieciówki. Zaraz ktoś wrzuca zdjęcie dzieci z linijką i nożyczkami, które tną druciki na wymiar.

Do maszyn siadły mamy i babcie, kobiety pracujące i studentki, którym odwołano zajęcia. Nie zabrakło też małopolskich harcerzek.

PANDEMICZNY TURNIEJ ZASTĘPÓW

Harcerze w czasie epidemii zapisują zresztą swój własny rozdział. Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej uruchomił Pogotowie Harcererek i Harcerzy ZHR. Zbiera zgłoszenia pełnoletnich harcerzy oraz 17-latków (za zgodą rodziców) i nawiązuje współpracę z urzędami wojewódzkimi. – Przygotowujemy się na to, że sytuacja za kilka dni czy tygodni może być dużo trudniejsza niż w tej chwili. Chcemy działać w sposób skoordynowany, a nie na własną rękę, być tam, gdzie nasza pomoc jest najbardziej potrzebna – mówi harcmistrzyni Katarzyna Bieroń, komendantka Pogotowia Harcererek i Harcerzy ZHR.

W tej chwili do działania zgłosiło się blisko tysiąc harcerzy. – Telefony już do nas dzwonią. O pomoc proszą samorządy, OPS-y, MOPS-y. Jesteśmy potrzebni przy roznoszeniu ulotek informacyjnych, dyżurowaniu na infoliniach. Są prośby o pomoc w przygotowaniu paczek dla potrzebujących, w ich rozdawaniu, robieniu zakupów osobom starszym – wylicza druhna Katarzyna Bieroń. I dodaje, że harcerze ZHR przygotowują się także do szerzej zakrojonych działań. – Może się okazać, że do leczenia pacjentów z koronawirusem zostanie skierowanych więcej lekarzy. Przygotowujemy się do tego, by zaproponować im opiekę nad dziećmi w czasie, kiedy są w pracy. Część z nas ma przeszkolenie w zakresie pierwszej pomocy lub uprawnienia ratowników, więc jeśli będzie taka potrzeba, to możemy w jakimś zakresie wesprzeć służby – wylicza dh Katarzyna Bieroń.

Dodaje, że jednym z pól działania jest także zagospodarowanie czasu tym

harcerzom, którzy powinni teraz zostać w domu. – W Internecie stworzyliśmy bank pomysłów na to, co można robić w domu. Powstał nawet Pandemiczny Turniej Zastępów, w ramach którego harcerze codziennie rano otrzymują zadania do wykonania. Przygotowaliśmy także specjalną odznakę Pogotowia Harcererek i Harcerzy, którą zdobywa się, zostając w domu. Zależy nam na tym, żeby najmłodszy harcerze, którzy też chcieliby się zaangażować w działania, zrozumieli, że teraz bardzo ważne dla naszego społeczeństwa jest to, żeby zostali w domu.

Okazuje się, że potrafimy też w tym trudnym czasie wspierać miejsca, które nie mogą teraz prowadzić działalności, co grozi finansowymi tarapatami. W warszawskiej szkole tanga argentyńskiego El Palacio Del Tango zwykle jest gwaro. Wielbiciele tańca przychodzą na kursy, warsztaty czy milongi. Tańczą na dwóch salach. W związku z epidemią koronawirusa wszystkie zajęcia i aktywności trzeba było zawiesić. Instruktorzy nagrywają „Kwarantango”, czyli taneczne inspiracje dla tych, którym pozostało ćwiczyć w domach. Szkoła nie ma teraz żadnych możliwości zarabiania, a kosztów nie sposób uniknąć. Na czynsz za lokal sympatycy tanga zrzucili się więc w ramach internetowej zbiórki. W ciągu czterech dni zebrali blisko 10 tys. zł. – Nie spodziewaliśmy się takiego odzewu. To jest realna pomoc dla nas. Dzięki tej kwocie uda nam się pokryć część czynszu – mówi Justyna Jędrzejewska-Bernaś, współwłaścicielka szkoły El Palacio Del Tango. Pomóc szkole będzie można także, kupując w przedsprzedaży karnety i vouchery na lekcje grupowe i indywidualne do wykorzystania do końca roku.

W jeszcze trudniejszej niż na co dzień sytuacji znaleźli się w ostatnim czasie bezdomni. „Nie wszyscy mogą w tych dniach pozostać w domu, bo nie wszyscy go mają” – przypomina wspólnota Sant’Egidio, która działa na rzecz osób najbardziej marginalizowanych i wykluczonych. W związku z epidemią wiele miejsc, które zwykle oferują pomoc bezdomnym, takich jak noclegownie, jadłodajnie i schroniska, zostało zamkniętych lub ograniczyło przyjęcia. Do bezdomnych z ciepłym posiłkiem czy paczką żywnościową docierają organizacje pozarządowe.

Te wspierające warszawski Mobilny Punkt Poradnictwa, czyli autobus docierający z pomocą do warszawskich bezdomnych, zamieszczały w ubiegłym

tygodniu zdjęcia, na których było widać, jak długa kolejka ustawiła się do autobusu. Aby NGO mogły pomagać, potrzebują wsparcia. Wspólnocie Sant’Egidio można pomóc, włączając się w działania jako wolontariusz. Można też przekazać organizacji żywność, środki do dezynfekcji i środki czystości lub wpłacić darowiznę na konto.

Poznański Caritas prowadzący jadłodajnię prosi restauracje, które mają niewykorzystane produkty, o to, by przekazały je obłożonym w ostatnich dniach jadłodajniom. Fundacja Daj Herbatę alarmowała, że przekazała już wszystkie swoje zapasy żywności z magazynu i prosi o wsparcie. Internetową zrzutkę na paczki żywnościowe i higieniczne dla osób w kryzysie bezdomności uruchomiła także warszawska klubokawiarnia Życie Jest Fajne, która od wielu miesięcy angażuje się w wydawanie posiłków i paczek bezdomnym. Internauci stanęli na wysokości zadania. Wpłaty przekroczyły zakładane 6 tys. zł na 150 paczek i dalej płyną.

WSPÓLNY WRÓG

Profesora Zbigniewa Nęckiego, psychologa społecznego, wysyp inicjatyw pomocowych w obliczu zagrożenia wirusem nie dziwi. – Z perspektywy psychologicznej to zagadka bardzo łatwa do rozwiązania. Ta dzisiejsza mobilizacja przypomina wyszywanie orzełków na sztandarach w przededniu wojny czy chwywanie za łopaty w 1920 r., by kopać rowy. My, Polacy, mamy wspaniałą cechę. W obliczu zagrożenia potrafimy się doskonale mobilizować. Poświęcamy wszystko i ruszamy na front walki – mówi prof. Nęcki. I dodaje: – Warunek jest jeden – wspólny wróg. Koronawirus jest właśnie takim wspólnym wrogiem – niewidzialnym, złośliwym i podstępny. Wspólne wartości też nas mobilizują, ale nie w takim stopniu jak wróg, który przychodzi z zewnątrz i poważnie nam zagraża.

Reagujemy na bieżąco, więc pomysłów na pomoc innym wraz z zastrzegającą się walką z wirusem będzie przybywać. – Na grupie facebookowej „Widzialna ręka – Białystok”, którą założyłem, wiele osób oferuje różnego rodzaju pomoc innym. Niezwykle cieszy mnie to, że zdajemy egzamin, solidarność mamy we krwi – mówi Radosław Puśko. – Nie panikujmy, wspierajmy się, a pokonamy wirusa. Chciałbym tylko, żeby ta solidarność została z nami na stałe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

INWESTYCJE GSK W POLSCE



GSK jest wiodącym inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym, dostarczającym ponad **300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom od 1998 r.



2 mld zł zainwestowane przez ponad 20 lat



Wielowymiarowe inwestycje

w produkcję (fabryka leków w Poznaniu), w dystrybucję leków i szczepionek (centrum logistyczno-dystrybucyjne w Gądkach), informatyzację procesów związanych z lekami i szczepionkami (Centrum Usług Biznesowych GSK IT), zaawansowane procesy finansowe, planowanie i sprawozdawczość (GSK Finance Hub Europe), inne centra kompetencji oraz badania kliniczne



Okolo **2000 pracowników**, z czego większość zatrudniona jest w poznańskiej fabryce leków, GSK IT oraz GSK Finance Hub



Wiarygodny i solidny partner biznesowy - GSK współpracuje z ok. **2,4 tys. dostawców i partnerów handlowych**



7 centrów kompetencji zajmujących się IT, finansami, nadzorem nad bezpieczeństwem farmakoterapii, projektami marketingowymi i medycznymi, zakupami oraz kwestiami regulacyjnymi



40 badań klinicznych w 2018 r. w 8 obszarach terapeutycznych o wartości **ponad 18 mln zł**

GSK jest wiodącym **inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym**, dostarczającym ponad **300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom. W ciągu ostatnich 20 lat firma **zainwestowała w Polskę 2 mld zł**. Spółka zmodernizowała i rozbudowała fabrykę leków w Poznaniu, wdrażając do produkcji ponad **80 transferów** z globalnego portfela produktów GSK, a w 2017 r. uruchomiono produkcję kolejnych innowacyjnych, chronionych patentem leków stosowanych w leczeniu zakażeń HIV. Każdego dnia w wielkopolskim zakładzie wytwarzanych jest **8,5 miliona tabletek i 1,3 miliona kapsułek**. Większość z nich trafia na eksport na ponad **130 rynków**. W Polsce funkcjonują **2 centra** logistyczno-dystrybucyjne realizujące rocznie ponad **700 tys.** dostaw leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia GSK na rynki europejskie i wschodnie. GSK zbudowała także **7 centrów kompetencji** i prowadzi **40 badań klinicznych**. Firma zatrudnia w Polsce ok. **2000 osób**.



A na nas wszystkich



Piotr Gociek

Epidemie na małym i dużym ekranie niszczyły ludzkość po wielekroć. Które warto sobie przypomnieć?

Gdy wirus zaatakuję, dobrze mieć przy sobie takiego ojca jak Arnold Schwarzenegger lub takiego męża jak Brad Pitt. Ten pierwszy opiekuje się zainfekowaną córką do samego końca („Maggie”, 2015), ten drugi niebo i ziemię poruszy, by odkryć źródło choroby i tym samym ocalić rodzinę, a wraz z nią ludzkość („World War Z”, 2013). Niestety, prawdopodobieństwo spędzenia trudnych dni z wymienionymi wyżej herosami jest mniej więcej takie jak pojawienia się w prawdziwym świecie zagrożenia, z którymi walczyli na ekranie, to znaczy wirusa zamieniającego ludzi w zombi.

To zdecydowanie najpopularniejsze rozwiązanie ostatnich dekad i zarazem żyła złota, a realizowane było w tak różne sposoby jak serial „The Walking Dead” (2010 do dziś) czy filmowa dylogia Danny’ego Boyle’a („28 dni później”, 2002; „28 tygodni później”, 2007). Prekursorem był tu amerykański pisarz Richard Matheson, którego powieść „Jestem legendą” Hollywood ekranizował trzykrotnie. Opowiada ona nie tylko

o zagładzie naszego gatunku wskutek pojawienia się nieznanego choroby, lecz także o tym, że ustąpimy miejsca na planecie nowej wampirycznej rasie. Wampiry, zombi, kanibale – nieważne, chodzi o to, że wirus zamienia nas w istoty krwiożercze i raczej bezmózgie. Co oczywiście mogłoby prowokować do bezczelnego pytania, czy aby jesteśmy pewni, że większość swej historii ludzkość spędziła w stanie łagodności i mądrości ogólnej. Przypuszczam, że wątplię.

Kino katastroficzne sięgnęło jednak po temat epidemii dużo wcześniej i wcale nie potrzebowało do tego dodatków specjalnych w postaci tłumów mózgozerców na ekranie. Czasem niebezpieczeństwo było ograniczone do wąskiego terytorium, tak jak w filmie „Pacific Liner” (1939), w którym pasażer na gapę zaraża załogę oceanicznego liniowca cholera; czasem chodziło po prostu o efektowną ekranizację literackiej klasyki (rozmaite wersje „Maski śmierci szkarłatnej” Edgara Allana Poe’go, przy czym szczególnie ciekawa była wersja niema z 1919 r., którą napisał Fritz Lang, a która łączyła fabułę amerykańskiego pisarza z epidemią czarnej dżumy w XIV stuleciu). Cholera, dżuma, ospa – tym straszono najczęściej.

Kinowe opowieści o epidemiach oddawały ducha czasów, w których powstawały, i żerowały na lękach, które naonczas legły się w głowach widzów, ale były też odzwierciedleniem popkulturowych mód. „Skrzyżowanie Kassandry” („Cassandra Crossing”, reż. George P. Cosmatos, 1976), choć opowiadało

o bioterrorystyce w pociągu pełnym Bogu ducha winnych pasażerów, miało więcej wspólnego z popularnymi w latach 70. widowiskami katastroficznymi, w stylu „Płonącego wieżowca”. Zatem film melodramatyczny, naszpikowany gwiazdami (tu m.in. Sophia Loren), coś w stylu „Speed” z tamtej epoki. Rok wcześniejszy japoński „Superekspres w niebezpieczeństwie” też straszył przecież rozpędzonym pociągiem zagłady, tyle że tam terrorysty zadowolili się tradycyjną bombą.

ANDROMEDA ZNACZY ŚMIERĆ

Bez wątpienia przełomowym dziełem w historii filmów o zagrożeniu epidemią jest „Tajemnica Andromedy” (reż. Robert Wise, 1971). Scenariusz oparto na wczesnej powieści Michaela Crichtona, mistrza technothrillerów, który słynął z dbałości o szczegóły naukowe, znajomości procedur militarnych i medycznych oraz starań, by jego fikcyjne fabuły wydawały się czytelnikom jak najbardziej prawdopodobne. „Tajemnica Andromedy” (znana także jako „Andromeda znaczy śmierć”) stylizowana była na opowieść paradokumentalną, w napisach z początku filmu twórcy informowali, że ujawniają tajne rządowe dokumenty, ale że cała prawda nie może jeszcze wyjść na jaw.

Główni bohaterowie – grupa naukowców zamknięta w tajnym ultranowoczesnym podziemnym laboratorium – badają tajemniczy mikroorganizm, który przybył na Ziemię wraz z rozbitym w Nowym Meksyku satelitą. Zagrożenie



zaraza...



Kadry z filmów (od lewej): „Epidemia strachu” („Contagion”, 2011), „Epidemia” („Outbreak”, 1995), „Dwanaście małp” (1995) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jest realne, wszyscy mieszkańcy miasteczka Piedmont błyskawicznie zginęli na miejscu, jak świece zdmuchnięte na wietrze. Na szczęście dla naukowców ocalili jedno niemowlę oraz jeden z najstarszych obywateli miasteczka, istnieje więc jakiś powód, dla którego obca zaraza nie zabija wszystkich, co z kolei daje wątplą nadzieję na opracowanie metody obrony. Chłodny, pozbawiony efektownych scen akcji thriller do dziś robi piorunujące wrażenie. Idealnie wpisywał się też w lęki ery pionierskich lotów kosmicznych – tak, ludzkości udało się wysłać w kosmos sputniki, statki załogowe i nawet postawić stopę na Księżycu. Ale kto wie, jakie mikroskopijne niebezpieczeństwa czekać mogą poza granicami naszej atmosfery?

„Tajemnica Andromedy” doczekała się także nowej wersji, miniseriale w roku 2008, ale było to przedsięwzięcie mocno rozczarowujące, skracające w stronę rutynowego thrillera spiskowego. Film Wise’a z 1971 r. pozostaje jednym z najciekawszych dzieł kinowej fantastyki oraz kina katastroficznego, jakie kiedykolwiek nakręcono.

TĘSKNOTA ZA PORZĄDKIEM ŚWIATA

Lata 80. nie sprzyjały kinowym opowieściom o zarazie. Na ekranach królowało kino nowej przygody spod znaku Lucasa i Spielberga, a jeśli coś w wysoko budżetowych produkcjach miało nas straszyć, to przede wszystkim rosnące napięcie między atomowymi mocarstwami.

Podgatunek nie wyzionął ducha, ale egzystował w przetrwałnikowej formie na obrzeżach głównego nurtu. W brytyjskim serialu „The Mad Death” (1981) ukazano epidemię wścieklizny. W amerykańskim „Sygnale ostrzegawczym” (1985) groźna bakteria wyrwa się na wolność z tajnego laboratorium niby rolniczego, a tak naprawdę smażącego broń biologiczną, w sowieckim „Krzyku delfina” (1986) kapitan amerykańskiej nuklearnej łodzi podwodnej (wraz z załogą) pada ofiarą nieznanego wirusa, który zamienia go w żądnego mordu szaleńca pragnącego odpalić atomowe ładunki i zniszczyć ludzkość.

Najciekawszym tytułem dekady jest film nieoczywisty, intrygujący, ostentacyjnie niekomercyjny, który znajdziecie na półkach z kinem artystycznym, a nie rozrywkowym. Chodzi o „Epidemię” Larsa von Triera (1987). Jej bohaterowie, para początkujących pisarzy, pracują nad scenariuszem filmu „Epidemia”. Na ekranie widzimy dwa plany. Obserwujemy pracę nad dziełem i zarazem wchodzimy w wymyślony świat pograżający się w chaosie. W finale obydwie wątki łączą się ze sobą. Jest to przypowieść o związkach życia i sztuki, wywiedziona z Felliniego, a także traktat o nieprzewidywalności świata. Traktat na miarę czasów zarazy. „Przypadkowe spotkanie może być zarówno złowieszcze, jak i fantastyczne w swojej wymowie” – słyszymy z ekranu. „Co sprawia, że w naszej wyobraźni rodzi się pokusa wyciągania logicznych, aczkolwiek nieuzasadnionych

wniosek?” Jakże chcielibyśmy, by świat był w pełni wytłumaczalny i przewidywalny. Epidemia (i „Epidemia”) udowadniają, że tak nie jest.

EBOLA, GRYPA, STYPA

W „Epidemii” Wolfganga Petersena („Outbreak”, 1995) wiele rzeczy jest pokazanych bardzo akuratanie, ale i kilka trąci czystą fantastyką. Między innymi to, że konus Dustin Hoffman mógłby zdobyć serce takiej kobiety jak Rene Russo – i to dwa razy. Hollywoodzki thriller twórcy „Niekończącej się opowieści”, „Air Force One” czy „Na linii ognia” to dziecko lęków przed wirusem ebola. Choroba dociera do San Francisco dzięki przemysłowi egzotycznych zwierząt, a jej nosicielem jest małpka. Źródła napięcia są dwa – polityczne i naukowe. Amerykańska armia próbuje tuszować swoje wyczyny, bo wiedziała o zagrożeniu dekady wcześniej, ale wszystkie informacje trzyma w ukryciu, przygotowując się do wojny biologicznej. To niesłychanie utrudnia pracę naukowców, dla których z kolei najbardziej mrozącą krew w żyłach wiadomością jest odkrycie, że wirus przenosi się drogą powietrzną. To – w połączeniu z wielką żądliwością nowego szczepu – oznacza, że gdy choroba zacznie się rozprzestrzeniać, cała Ameryka, a potem świat, ulegną jej błyskawicznie.

W tym samym roku na ekrany kin trafił film Terry’ego Gilliana „Dwanaście małp”, majstersztyk kina science fiction z pamiętnymi rolami Bruce’a Willisa i Brada Pitta. Historia inspirowana była francuską

■ krótkometrażówką z 1962 r. („La Jetée”). Główny bohater podróżuje w przeszłość, by odkryć, jakie były przyczyny epidemii, która zniszczyła ludzkość. „Dwanaście małp” otrzymało drugie życie w roku 2015, jako serial telewizyjny. W historii kina zapisało się jednak nie dlatego, że to opowieść o zarazie, lecz dzięki maestrii, z jaką rzecz opowiedziano.

W miniseriale „Bastion” na podstawie opasłej powieści Stephena Kinga („The Stand”, 1994) widzimy świat w trakcie katastrofy i po niej. Nowy rodzaj grypy najpierw dziesiątkuje, a potem wybija ludzkość niemal w całości. Zaraza przenosi się drogą powietrzną, jej postęp jest błyskawiczny. Dla nielicznych ocalałych przychodzi jednak czas kolejnej próby. W apokaliptycznej powieści króla horroru w ślad za chorobą postępuje osobiście Zły. Bohaterowie w snach widzą przesłanie od tajemniczej staruszki, która okazuje się nowym mesjaszem i prowadzi niedobitków do ziemi obiecanej, miasta Boulder w Colorado. Na tym nie koniec. Ci, których serce przeżarte jest zazdrością i nienawiścią, otrzymują własne przesłania od Złego. W opustoszałej Ameryce nadchodzi starcie między obydwoma grupami, którego stawką jest przyszłość ludzkości. Pan Bóg zainterweniuje osobiście, lecz najpierw wierni będą musieli mu zaufać, wyzybyć się przemocy i złych myśli oraz zdobyć się na największe poświęcenie.

„Bastion” pełen jest świetnie nakreślonych postaci, a obrazy spustoszonego świata robią wrażenie, podobnie jak elegijny nastrój całej opowieści. Bez wątpienia to jedna z najlepszych ekranizacji prozy Kinga, choć swego czasu pozostała nieco w cieniu, bo lata 90. to czas, kiedy autor oklaskiwany był już nie za mocne horrory, tak jak dekadę wcześniej (czas „Carrie” czy „Christine”), lecz obyczajowe opowieści: „Skazanych na Shawshank” (całkowicie realistyczna) czy „Zieloną miłą” (z minimalnym udziałem fantastyki).

ŚMIERĆ W CZASACH GLOBALIZACJI

Wiek XXI to już triumfalny pochód wirusa zombi przez małe i duże ekrany. Tego typu historie, jak wspominałem na początku, pozostawiają poza ramami niniejszej opowieści, bo to gatunek osobny. To, co pozostanie, to już efekt lęków bardziej realnych. Ostatnie dwie dekady to czas epidemii SARS i MERS, i to widać także w produkcjach kinowych oraz serialo-

wych. Często zagrożenie traktowane jest czysto pretekstowo, jako okazja do krwawych widowisk (tak jak w „Doomsday” Neila Marshalla, 2008) czy rozlicznych B-klasowych horrorów, gdzie co prawda obywateli się bez przemiany w zombi, ale wirus skłaniał zainfekowanych do rozmaitych morderczych zachowań.

Niekiedy tytuł mówi sam za siebie: spójrzmy na telewizyjną produkcję „Fatal Contact: Bird Flu in America” (2006). O nowym szczepie ptasiej grypy opowiadał też miniseriale „Pandemic” (2007). Powracały też motywy znane z poprzednich dekad – dżuma we francuskim filmie „Have Mercy on Us All” (tyt. org. „Pars vite et reviens tard”, 2007) na podstawie powieści Freda Vargasa. I tak dalej, i tym podobne. Znow mikroorganizmy z kosmosu, które trafiły na Ziemię wraz z kamykiem z przestrzeni. Albo wyścig z czasem na pokładzie samolotu pełnego chorych pasażerów. Warto zwrócić uwagę, że motyw epidemii był też całkiem udanie eksplotowany przez tak fetowane dziś kino południowokoreańskie, czego najbardziej udanym przykładem jest „Grypa” („The Flu”, org tyt. „Gamgi”, 2013) o zmutowanym wirusie ptasiej grypy, który zabija w 36 godzin.

Niepokojąco realistyczną i najlepszą produkcją współczesną na temat epidemii, tak naprawdę definiującą perfekcyjnie aktualne lęki, jest nietypowy film Stevena Soderbergha „Epidemia strachu” („Contagion”, 2011). Jeden z najciekawszych twórców amerykańskiego kina zabrał się do roboty w charakterystycznym dla siebie stylu, zręcznie splatając rozmaite wątki, wprowadzając na ekran mnogość bohaterów (obsada naszpikowana gwiazdami: Matt Damon, Kate Winslet, Jude Law, Gwyneth Paltrow, Laurence Fishburne i inni). „Epidemia strachu” to thriller czasów globalizacji, drobny incydent wystarczy, by groźna choroba rozprzestrzeniła się błyskawicznie, niemal równocześnie w wielu miejscach globu. To, co mówią zatroskani urzędnicy Światowej Organizacji Zdrowia, brzmi jakże znajomo: „Izolujemy chorych, poddajemy kwarantannie zarażonych, identyfikujemy nosicieli”. Te słowa padają wszak dziś każdego dnia z ust specjalistów walczących z koronawirusem.

„NIC NIE ROZNOŚI SIĘ TAK JAK STRACH”

W filmie Soderbergha widzimy, jak złudne jest nasze poczucie bezpieczeń-

stwa. Nie ma tu dydaktycznych komentarzy, ale są wiele mówiące zbliżenia: na poręcz w przychodni lekarskiej, na miseczkę orzeszków w lotniskowym barze, na lady mięsnych stoisk targowiska, przez które przeciska się zarażony pacjent. Ciasna winda, a w niej kaszlący nosiciel i niczego niepodejrzewające babcia z wnuczkami. Uchwyty w metrze, w pociągu, siedzenia w autobusie. Jednocześnie „Contagion” nie bez powodu był pokazywany na naszych ekranach pod tytułem „Epidemia strachu” (a amerykański slogan reklamowy brzmiał: „Nic nie roznosi się tak jak strach”). Bo i to uchwycił Soderbergh znakomicie – rzeczą równie groźną jak wirus okazuje się panika. Wirus może światu zadać ciężkie ciosy, ale to panika rzuca rządy, gospodarki i społeczności na kolana.

Niemal dekadę temu mogliśmy patrzeć na ten zimny, dokonujący bezbłędnej analizy film jak na ćwiczenie z wyobraźni. Dzisiaj ogląda się go jak raport z pola bitwy. Wcale więc mnie nie dziwi to, że „Epidemia strachu” znalazła się ostatnio w czołówce filmów najczęściej zamawianych i oglądanych w rozmaitych serwisach.

Jednocześnie w tych samych serwisach, streamingach, wypożyczalniach filmów na żądanie da się zaobserwować w ostatnich tygodniach inny trend – równie zrozumiały. W trudnych czasach umęczony przerażającymi wieściami umysł tęskni do opowieści dających wytchnienie, do krzepiących baśni o tym, że w najmroczniejszych czasach jest nadzieja, a zagrożenie da się pokonać, że klucz do zwycięstwa leży w nas samych. I oto następuje w tych dniach wielki powrót widzów do filmowej trylogii „Władca Pierścieni”, jednej z najpiękniejszych i najbardziej krzepiących opowieści wszech czasów.

Tolkiena czytał podczas samotnego marszu na biegun nasz polarnik Marek Kamiński. „Czytałem zawsze podczas wyprawy – nigdy w domu, w łóżku, przy kawie czy herbacie” – opowiadał w wywiadach Kamiński, przyznając, że w najgorszych chwilach otuchy dodawał mu Frodo Baggins, „mały hobbit, którego rzuciło w świat i dotarł aż do Góry Przeznaczenia; całej potędze zła mógł przeciwstawić tylko siebie”. Wszyscyśmy w takiej podróży. Obyśmy z niej szczęśliwie powrócili.



Więcej mocy dla przedsiębiorców EDYCJA 3

Ekonomia Raport od poniedziałku do czwartku o godzinie 22:30

OGLĄDAJ DEBATĘ NA ŻYWO 26 marca, godz. 12:00
na antenie Telewizji Republika

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY





Subtelna propaganda

dotyczących tej epoki, tj. w filmie Ridleya Scotta „Królestwo niebieskie” z 2005 r. Wprawdzie po stronie chrześcijańskiej też są postacie pozytywne, ale nie są nimi z całą pewnością ci, którzy dążą do militarnej konfrontacji. A już z całą pewnością nie ci, którzy uzasadniają agresję na przeciwną religię Bożym nakazem.

Trudno sobie też wyobrazić obecnie jakiegokolwiek film gloryfikujący podboje. No, chyba że chodzi o tak zamierzchłe czasy jak epoka Aleksandra Macedońskiego. Warto jednak zwrócić uwagę, że w hicie Olivera Stone’a „Aleksander” z 2004 r. tytułowy bohater przejawia wyraźne skłonności homoseksualne. Zresztą problem ten poruszany jest też w filmach dokumentalnych o tej postaci. Kwestie życia seksualnego władców i ich erotycznych ekscesów różnego rodzaju eksponowane są też w innych fabularyzowanych dokumentach Netflixa, takich jak „Cesarstwo Rzymskie” czy też „Ostatni carowie”. W „Osmanach” sułtan Mehmed jest najwyraźniej zbyt zajęty tworzeniem imperium, by myśleć o stosunkach seksualnych, a jedyną kobietą w jego życiu jest tam jego macocha Mara Branković. No cóż, istnieją liczne relacje wskazujące na to, że kobiety rzeczywiście nie zajmowały zdobywcy Konstantynopola. Wołał bowiem młodych chłopców.

POPRAWNOŚĆ WOBEC ISLAMU

Mehmed Zdobywca też miał swojego Hefajstiona. Nazywał się on Radu cel Frumos (Radu Piękny) i był bratem słynnego Drakuli, czyli hospodara wołoskiego Vlada Tepesa. Bizantyjski historyk Laonik Chalkokondyles, uznawany powszechnie za wiarygodnego również w kwestiach dotyczących Osmanów, pisał, że gdy Mehmed próbował po raz pierwszy zgwałcić o siedem lat młodszego od siebie chłopca, ten dźgnął go mieczem i próbował uciec. Gdy go schwytano, sułtan okazał się łaskawy i nie kazał go stracić, co było normalną reakcją w tamtych czasach na podniesienie ręki na władcę. Ceną była jednak zgoda na zaspokajanie żądzy muzułmańskiego zdobywcy przez urokliwego Wołocha. Zgodnie z innymi relacjami do sułtańskiego haremu Mehmeda sprowadzano kupowanych na targach niewolników chłopców oraz skażeniaków, którzy za cenę darowania życia oddawali swe ciała twórcom osmańskiego imperium.

Oczywiście postępowość Netflixa, w innych przypadkach ochoczo poruszającego wątki homoseksualne, okazała się zbyt słaba w zderzeniu z polityczną po-



Witold Repetowicz

Fabularyzowany dokument Netflixa „Rozkwit imperiów: Osmanowie” to kolejny przykład narzucania Europejczykom poczucia wstydu z własnej historii i idealizowania świata islamu. Jednocześnie jest to inteligentna propaganda turecka

Wyobraźmy sobie film o Gotfrdzie de Bouillon, przywódcy pierwszej krucjaty, który zdobył w 1099 r. Jerozolimę i ogłosił się obrońcą Grobu Świętego, czyli de facto pierwszym królem nowo powstałej monarchii jerozolimskiej. Wyobraźmy sobie, że film ów zaczyna się od podkreślenia, iż wyruszenie na Jerozolimę było świętą powinnością religijną uczestników tej wyprawy, a Gotfryd realizował misję powierzoną mu przez

Stwórcę. Wyobraźmy sobie, że film ten ukazuje wszystkich rycerzy uczestniczących w wyprawie jako świętobliwych, męnych i po prostu takich, że trudno ich nie podziwiać i nie kochać. Nie popełniają oczywiście żadnych gwałtów, nie klną, nie grabią, a jeśli zabijają, to oczywiście tylko w słusznej sprawie. Co więcej, wyobraźmy sobie, że w tym samym filmie przeciwnicy wojny ze światem muzułmańskim przedstawieni są jako knujący zdrajcy i godni pogardy tchórze, myślący tylko o bogaceniu się. Przeciwnik natomiast jest brudny, zły i myśli tylko o tym, jak się wzbogacić.

Z całą pewnością taki obraz nie znalazłby się w zasobach Netflixa, zwłaszcza jako dokument. Zostałby też zapewne uznany za skandaliczną szmirę. Wszak od dawna propagowana jest wizja, że krucjaty były przyczyną wszelkiego zła w relacjach między światem chrześcijańskim i muzułmańskim, a krzyżowcy byli brudnymi i okrutnymi dzikusami, w przeciwieństwie do światłych i sprawiedliwych muzułmanów. Tak jest to przedstawione choćby w jednym z największych filmowych hitów

prawnością wobec islamu i obawą przed nieuchronnym wyrzuceniem z rynku tureckiego, gdyby złamano na jego antenie to tabu. Dlatego gdy w „Osmanach”, już po upadku Konstantynopola, przed oblicze Zdobywcy przyprowadzono megasa do-uxa (wielkiego wodza) Loukasa Notarasa i sułtan kazał go stracić, to słowem nie wspomniano o sprawie Jacoba Notarasa. W netflixowym dokumencie Loukas Notaras jest postacią budzącą niechęć, gdyż ciągle knuje i intryguje, spiskując wraz z wielkim wezyrem Candarli Halilem paszą, jak doprowadzić do zawieszenia broni. Tak jak w „Królestwie niebieskim” partia pokoju to po stronie chrześcijan jedyne pozytywne postacie, tak w „Osmanach” przeciwnicy wojny to typy spod ciemnej gwiazdy, którzy na koniec otrzymują należną im karę – śmierć. Przed skazaniem Notarasa netflixowy Mehmed postępuje go jak psa. Notaras próbuje go bowiem przekupić zgromadzonym przez siebie złotem, a sułtan reaguje na to gniewem, zarzucając Notarasowi, że skąpił swego bogactwa w obronie własnego kraju, a teraz próbuje niczym tchórz kupić nim swe życie.

Dwudziestojednoletni sułtan pragnął jednak czego innego: 14-letniego syna Loukasa Notarasa. W netflixowym pseudodokumencie decyzja o egzekucji megasa doucha następuje od razu po wkroczeniu Mehmeda do Konstantynopola, tuż po scenie jego metafizycznego uniesienia religijnego, gdy pierwszy raz przekracza progi kościoła Hagia Sophia (który zresztą od razu kazał zamienić na meczet, okazując w ten sposób „niesamowitą” tolerancję religijną). Tymczasem wszystkie źródła bizantyjskie i włoskie mówią o tym, że początkowo Notarasowi nic nie groziło. Dopiero czwartego dnia Mehmed wpadł w złość, bo megas doux odmówił przekazania do jego saraju swego syna Jacoba. Według niektórych źródeł uczynił tak, gdyż nie chciał, by Jacob stał się muzułmaninem. Jednak już w grudniu 1453 r. wenecki dyplomata greckiego pochodzenia Nicholas Sagundino przedstawił wersję, według której Mehmed po prostu pożył greckiego chłopca. Jacob zresztą, jako jedyny męski członek rodu Notarasów, został oszczędzony i wysłany do sułtańskiego harem, skąd uciekł w 1460 r.

W IMIĘ ALLAHA

Źródła potwierdzają scenę z próbą wykupienia się przez Notarasa posiadanym

bogactwem, jednak powód gniewu sułtana był w rzeczywistości zupełnie inny. Według Zdobywcy zbrodnią Notarasa było to, że nie zdradził swej ojczyzny i nie przekazał mu złota wcześniej, pomagając w ten sposób dopełnić powierzona mu przez Allaha misję zdobycia Konstantynopola. Współgra to z innymi scenami tego „dokumentu”, z których wynika, że za wojnę i jej ofiary wyłączną odpowiedzialność ponosił cesarz Konstanty XI, który ze względu na swoją pychę odrzucił propozycję pokoju ze strony sułtana. Oczywiście pokój miał oznaczać poddanie miasta bez walki. Gdy obrońcy zabijają kolejnych napastników, widz ma wrażenie, że to Grecy ponoszą winę za rozlew krwi.

Zdobycie Konstantynopola przez muzułmanów zapowiedział przecież sam prorok Mahomet, który miał stwierdzić, że dokonają tego „najwspanialszy wódz i najwspanialsza armia”. Netlixowy dokument eksponuje to, dodając również inne przepowiednie, które nie pozostawiają wątpliwości, że zdobycie Konstantynopola przez Mehmeda było wolą Bożą, a zatem ci, którzy się temu sprzeciwiali, występowali przeciwko Bogu. Ponieważ Netflix jest postępowy, trzeba było dorzucić do tego religijnego uzasadnienia coś miłego uszom liberalnych widzów. Jedną z występujących w filmie ekspertek mówi zatem, że Mehmed „chciał zbudować rozległe państwo wieloetniczne i wielowyznaniowe”. Z tym zaskakującym, delikatnie mówiąc, stwierdzeniem świetnie koresponduje też sugestia, że janczarzy rekrutowali się z chrześcijańskich dzieci, które były szkolone i „przechodziły na islam”. Ani słowa o tym, że były porywane i zmuszane do zmiany religii, a następnie prano im mózgi według technik charakterystycznych dziś dla powszechnie potępianego zjawiska „dzieci-żołnierzy”.

Nie może zatem dziwić, że w dokumencie wycięto wszystkie elementy życiorysu Mehmeda, które mogłyby zburzyć jego pomnikowy wizerunek. Nie ma zatem miejsca na takie „szczegóły” jak to, że zaraz po objęciu tronu kazał zgładzić swego kilkuletniego brata przyrodniego. Ani tego, że po zajęciu stolicy bizantyjskiego cesarstwa nakazał swym żołnierzom grabić, palić, gwałcić i mordować przez trzy dni.

Trzeba jednak przyznać, że propaganda wylewająca się z tego obrazu nie jest serwowana w tak ordynarny i prymitywny sposób, jaki został zastosowany w ku-

rioalnym filmidzie tureckim „Fetih 1453” z 2012 r. Tam w końcowej scenie Mehmed wkracza do wypełnionego przerażonymi mieszkańcami kościoła Hagia Sophia i mówi im, by się nie lękali, bo włos im z głowy nie spadnie. Następnie bierze na ręce jasnowłosą i rozradowaną dziewczynkę. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie, podczas gdy wcześniej panował koszmar: targi niewolników, fanatyzm religijny oraz krwawy absolutyzm cesarza.

W „Fetih 1453” występuje też postać młodej kobiety, która jako dziecko (muzułmańskie) mieszkała sobie w wiosce na Bałkanach (bo przecież muzułmanie mieszkali tam od czasów prehistorycznych) i wszyscy byli szczęśliwi dopóty, dopóki nie nadeszli okrutni krzyżowcy (w XV w.!), którzy wszystkich wymordowali. A zatem upadek Konstantynopola był karą za wszystkie okrucieństwa krucjat. Turcy nie muszą się przy tym spodziewać krytyki wobec samobiczowania się Europejczyków w tej kwestii. Wszak to, że chrześcijańska Jerozolima została podbita przez najeźdźców kalifatu w VII w., a w XI w. wciąż w Palestynie chrześcijanie stanowili większość mieszkańców, to wiedza coraz bardziej zakazana. Podobnie jak to, że w połowie XI w. granica świata chrześcijańskiego i muzułmańskiego przebiegała w odległości ok. 300 km od Jerozolimy. W 1071 r. doszło jednak do tragicznej bitwy pod Manzikertem, w której wojska bizantyjskie zostały pokonane przez dzikich fanatyków ze wschodu, czyli Turków seldżuckich, którzy niszczyli też cywilizowane państwa muzułmańskie, takie jak emirat Bujidów, a zająwszy Jerozolimę, rozpoczęli prześladowania chrześcijańskich pielgrzymów. I to było przyczyną krucjat.

GROŹNA FINEZJA

W „Osmanach” propaganda serwowana jest w bardziej finezyjny sposób. Na przykład mowa jest o „przywróceniu Konstantynopola do świata muzułmańskiego”, podczas gdy do 1453 r. nigdy do tego świata miasto to nie należało. Subtelność manipulacji w netflixowym obrazie powoduje jednak, że jest ona tym bardziej groźna, bo nie taka oczywista i wulgarna. Warto jednak zwrócić uwagę również na powtarzane przed każdym odcinkiem motto „Osmanów”: imperia rodzą się z krwi i stali dzięki fortunie i podbojom. Takiej myśli nie powstydzili by się Adolf Hitler. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Życie Saula



★★★★★

SEZON 5
„ZADZWOŃ DO SAULA”
 („BETTER CALL SAUL”)
USA 2020
NETFLIX

wyst. Bob Odenkirk,
 Rhea Seehorn,
 Giancarlo Esposito,
 Michael Mando

Breaking Bad” przez wielu uważany jest za najlepszy serial w dziejach telewizji. Uwaga, uwaga – „Zadzwoń do Saula” jest jeszcze lepszy. Obydwa opowiadają podobną historię: dzieje powolnego pograżania się w występku sympatycznych bohaterów, których nigdy byśmy o to nie podejrzewali. W „Breaking Bad” śledziliśmy historię chorego na raka nauczyciela chemii, który pragnąc zapewnić rodzinie byt po własnej śmierci, zajął się produkcją narkotyków. Wraz z kolejnymi epizodami przekraczał kolejne granice, czyniąc to czasem tak niepostrzeżenie, że widz dopiero poniewczasie orientował się, iż kibicuje potworowi.

Bohater „Zadzwoń do Saula”, szemrany prawnik specjalizujący się w prawnej obsłudze kryminalistów, przechodzi podobną drogę,

choć jest figurą bardziej nieszczęśliwą. Nicpoń za młodu, potem obiekt pogardy wykształconego starszego brata – wybitnego adwokata – Jimmy McGill próbuje najpierw pójść w jego ślady, a gdy to okazuje się niemożliwe, szuka sposobu na odegranie się na tych, którzy nie chcieli dać mu szansy. W ostatnim odcinku sezonu czwartego dopiął swego – rozpoczął na nowo własną praktykę, ogłosił jednak, że będzie to robił pod pseudonimem Saul Goodman. W tej roli widzimy Boba Odenkirka, który tworzy kreację wybitną (tak jak wybitny był Bryan Cranston, grający Waltera White’a w „Breaking Bad”). W piątym sezonie Saul rozkręca interes, ale z każdym zleceniem wpada w coraz gorsze towarzystwo.

„Zadzwoń do Saula” dokumentuje z bezlitosną precyzją kolejne tricki i skróty, które prowadzą

N

Jimmy’ego na manowce. To nie jest zły facet, widzimy to przecież, ale dokonuje złych wyborów – czasami ze szlachetnych pobudek. Vince Gilligan, twórca obydwu seriali, napisał pouczającą i trzymającą w napięciu moralną przypowieść o tym, że nie da się czynić dobra, stosując zasadę „cel uświęca środki”. Nad całą opowieścią unosi się duch greckiej tragedii. Wiemy przecież, do czego doprowadzi działalność Jimmy’ego vel Saula, widzimy także krętą drogę, która doprowadziła eksplinę Mike’a Ehrmantrauta (świetny Jonathan Banks) do pozycji głównego cyngla i sprzątacza w służbie Goodmana. Na najbardziej tragiczną figurę wyrasta Kim Wexler, partnerka Saula, prawniczka, która z podziwu godnym uporem próbuje się przekonać, że buduje przyszłość z właściwym człowiekiem – a może po prostu jest ślepo zakochana.

Całość liczyć ma sześć sezonów, więc parę kręgów piekła jeszcze przed nami. Rzecz jest o tyle ciekawa, że „Zadzwoń do Saula” to nie tylko prequel „Breaking Bad”, lecz także kontynuacja. Jak to możliwe? Sprawdźcie. ©©



NOWE SERIALE: „OZARK”

Trzeci sezon świetnie przyjętego przez widzów i krytyków serialu kryminalno-obywatelskiego o specjalistce od prania pieniędzy zatrudnionym przez kartel narkotykowy. Martin Byrde (Jason Bateman) próbuje ocalić swą głowę i rodzinę, kryjąc się na głębokiej amerykańskiej prowincji i szukając nowych sposobów na zalegalizowanie

gotówki swych mocodawców. W sezonie pierwszym zderzył się z lokalnymi królami zbrodni. W drugim – otworzył kasyno. Czas na ekscytujący ciąg dalszy. ©© Piotr Gociek

• **Sezon 3 „Ozark”,**
USA 2020, dystr. Netflix, premiera
27.03 (kryminalny), wyst. Jason
Bateman, Laura Linney, Julia Garner

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- „Freud” (sezon 1), reż. Marvin Kren, Austria/Niemcy 2020, dystr. Netflix (kryminalny), wyst. Robert Finster, Ella Rumpf, Georg Friedrich
- „Devs” (miniseria, science fiction), reż. Alex Garland, USA 2020, dystr. HBO GO, wyst. Sonoya Mizuno, Nick Offerman, Jin Ha



Noga boga



Co łączy Lecha Wałęsę i Diego Armando Maradonę? Obaj dokonali widowiskowego samożarania i do obydwu pomocną dłoń wyciągnęli filmowcy. Wajda wybrał z biografii niedysyjszego prezydenta epizody najbardziej chwalebne. Kapadia zawiesił sobie poprzeczkę znacznie wyżej – pokazuje, jak argentyński piłkarz z nieba spadł do piekła. W biedującym, owianym złą sławą Neapolu witano go niczym Mesjasza. Maradona nie zawiodł, poprowadził klub z południa Italii do mistrzostwa, uciekając nosa bogaczom z północy.

Potem jednak wstąpił w niego demon. Spełnił marzenia rodaków o zemście za przegraną wojnę o Falklandy, wbijając piłkę do angielskiej bramki.

Tyle że ręką zamiast nogą. Wyznawcy fair play zawyli ze zgrozy, najlepszy futbolista świata zagustował zaś w kłamstwie, prostytutkach i kokainie. Włosi stracili doń serce dopiero wówczas, gdy celnym strzałem z 11 metrów odebrał ich reprezentacji szansę na występ w finale mundialu. I to gdzie – w Neapolu!



★★★★★
REŻ. ASIF KAPADIA
„DIEGO” („DIEGO MARADONA”)
WIELKA BRYTANIA 2019

Premiera HBO GO, 26 marca

Sława i pieniądze już niejednego utalentowanego młodziana z dołów społecznych zmieniły w potwora. Film Kapadii jest jednak czymś więcej niż kroniką upadku „boskiego” Diego. Brytyjski reżyser ujawnia smutną prawdę – to nie kamorra, dziennikarze czy działacze sportowi tworzą i niszczą idoli. Robimy to my, kibice. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TAPLARY, GODZINA ZERO

Forpocztą wszystkich zmian jest rewolucja obyczajowa. Robespierre tego nie wiedział, a Lenin tylko podejrzewał. Edward Redliński, rodowity Podlasianin, był od nich mądrzejszy. W „Konopielce” opisał zderzenie cywilizacji, którego nieuniknionym efektem jest kulturowe rozdarcie. Świat jurnego, lecz konserwatywnego Kaziuka, gospodarza z Taplar, staje na głowie z chwilą przybycia z miasta młodej, ponętnej „uczycielki”.

Powieść odbierano jako satyrę na zacofanie i, po trosze, socjalistycznych modernizatorów. Film, znakomicie wyreżyserowany i zagrany, trafił na ekrany w najgorszym z możliwych momentów, w środku stanu wojennego. Publikę zainteresowały przede wszystkim „momenty”. Obiecywał je już plakat – Andrzeja Pągowskiego. Dzisiaj, gdy dawna wieś umiera, tym razem już ostatecznie, „Konopielkę” można uznać za mimowolne requiem dla tradycji i obyczajów, ongiś uważanych za arcy-polskie.



★★★★★
REŻ. WITOLD LESZCZYŃSKI
„KONOPIELKA”
POLSKA 1981
BEST FILM

wyst. Krzysztof Majchrzak, Anna Seniuk, Joanna Sienkiewicz

FOLWARK STALINA



Agnieszka Holland chłoczące zachodnie elity za przy-mykanie oczu na zbrodnie komunizmu. Przy okazji ociepla wizerunek Williama Randolpha Hearsta, który dla ludzi kina, mających serca po lewej stronie, od zawsze był figurą nikczemną. W 1934 r. antypatyczny magnat prasowy opublikował rewelacje dziennikarza freelancera, który odważył się wyprawić na Ukrainę, chcąc zweryfikować na miejscu wieści o sowieckim cudzie gospodarczym. Głos Jonesa nie przebił się przez chór sławiących Kraj Rad cyników i „pożytecznych idiotów”. Dosłyszał go jedynie (i wykorzystał) przyszły autor „Folwarku zwierzęcego”. Film będący zgrabnym połączeniem dreszczowca i moralitetu przyjęto w Europie z kwaśnymi minami. Z aktorów najlepiej sprawił się Sarsgaard w roli zdeprawowanego laureata Pulitzera. Gdyby pani Agnieszka zechciała nakręcić nową wersję „Fausta”, nie znajdzie lepszego Mefistofelesa. ©©



★★★★★
REŻ. AGNIESZKA HOLLAND
„OBYWATEL JONES” („MR. JONES”)

POLSKA/UKRAINA/WIELKA BRYTANIA 2019, DVD KINO ŚWIAT I NA VOD.PL

wyst. James Norton, Vanessa Kirby, Peter Sarsgaard

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „ULTIMATE ADMIRAL: AGE OF SAIL”

Przełom XVIII i XIX w. na wodach nowego świata oznaczał starcie istniejących już imperiów – Brytyjczyków, Francuzów i Hiszpanów – z rodzącą się przyszłą potęgą – Stanami Zjednoczonymi. Właśnie w tym niezwykle barwnym okresie w grze „Ultimate Admiral” będziecie

mogli przejąć stery nad jedną z dwóch armad. Jako Amerykanie wywalczycie drogę do wolności albo jako admirałowie korony utrzymacie status quo w koloniach. Chociaż nie jest to produkcja wysokobudżetowa, to skala operacji jest imponująca. Ciekawie rozwiązano również system walk floty



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

oraz płynne przejście do starć na lądzie i przejmowania baz przeciwnika. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: **Strategiczna**
- Platforma: **PC**
- Producent, dystrybutor: **The Creative Assembly**
- Klasyfikacja PEGI: **12+**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

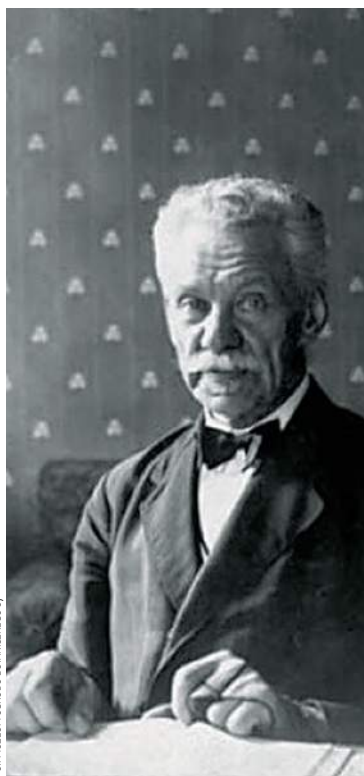
Pieśń o ziemi naszej

Ależ to zachwycająca książka, już historyczna, a przecież współczesna, choć od jej pierwszego wydania przez Arcta mija 117 lat! Zmieniło się tak wiele w tym czasie, także przyroda nas otaczająca, na szczęście jednak nie do końca, wydawca mógł więc tylko dawną edycję uaktualnić, zilustrować zdjęciami i grafikami i oddać do rąk czytelnikowi, który – mam taką, choć słabą nadzieję – odczuje „w pełnym znaczeniu jej piękno i czary”.

A o przyrodzie polskiej Bohdan Dyakowski (1864–1940) pisał jak nikt przed nim i po nim. To jego książkę, właśnie „Z naszej przyrody”, ocalał z pożogi wojennej Czesław Miłosz – wraz z innymi najcenniejszymi rzeczami. Noblista pisał zresztą niejednokrotnie i powtarzał w wywiadach, że w dzieciństwie chciał zostać przyrodnikiem. Tę pasję rozbudził w nim autor „Z naszej przyrody” i takich książek jak m.in. „Nasz las i jego mieszkańcy” czy „O dawnych łowach i dawnej zwierzynie”.

Czy dziś trafi „Z naszej przyrody” do młodzieży, bo to do niej jest w pierwszym rzędzie kierowana? No cóż, jest, jak jest, młodzi ludzie najwięcej wiedzą o dinozaurach, a ze zwierząt żyjących najbardziej podoba im się panda. Jak do nich mają się lis, zając, borsuk czy sarna? A zwierzęta domowe, a ptaki, owady, rośliny, te z łąk i pól? Niby są znajome i to od zawsze, a naprawdę nieznanne.

„Ponieważ człowiek stanowi część przyrody i jest z nią związany nierozdzielnie – pisał Dyakowski – wprowadziłem do książki również ważniejsze zajęcia i prace człowieka w gospodarstwie rolnym, leśnym i wodnym, a także uwzględniłem przysłowia i podania ludowe. W nich bowiem znajduje odbicie stosunek czło-



FOT. MUZEUM GORODU BOTANICZNEGO UJ

wieka do przyrody, jak również ich wzajemna zależność”.

Autor wyobrażał sobie, że „Z naszej przyrody” służyć będzie jako „przewodniczka” i podpowie, czego można szukać w lesie czy na łące, oraz wyjaśni zauważone zjawiska. Na spacer nie doraźbałbym zabierania jej, bo te bez mała 700 stron dużego formatu swoje waży, ale jako lektura przed taką przyrodoznawczą wycieczką (a i po niej) będzie wyśmienita.

W trakcie czytania, po kolei, odsłania się przed nami budzenie się życia na wiosnę, letnie dojrzewanie wszystkiego, bogactwo jesieni – „gospodarnej”, ale i powoli szykującej się do zimowego odpoczynku. „Piękne są nasze żyźne pola – czytamy – kwieciste łąki, szumiące lasy, szemrzące strumyki i rzeki, a tym piękniejsze i droższe, że nasze”. Chorował ciężko Dyakowski, widać, na Mic-

kiewiczowską „Sopliców chorobę” i wcale tego nie krył: „Może na obczyźnie znajdą się ładniejsze krajobrazy, bujniejsza roślinność, większa różnorodność ptaków i innych stworzeń, jaśniejsze niebo, pogodniejszy klimat, ale wszystko to będzie obce, nie nasze, brak nam będzie tej ziemi ojczystej, swojego kraju, którego nic i nigdzie nie zdoła zastąpić i nad który nie znajdzie się nic miłszego na świecie”.

I nic dziwnego, że swą wielką opowieść o przyrodzie polskiej rozpoczyna od cytatu z Wincetego Pola, autora „Pieśni o ziemi naszej”, a kończy słowami Teofila Lenartowicza z wiersza „Na wschód patrząc mym zwyczajem”:

*Prawda, że piękne cudze kraje,
Lecz sercu czegoś nie dostaje;
Kościoły wielkie, zamki, wieże,
Ale za serce nic nie bierze...
We własnym kraju, tu w ojczyźnie
Wszystko ci bratnie, wszystko bliźnie,
Głos ma dla ciebie zrozumiały
Ta ziemia szara, ten kraj cały.
Te lasy twoją szumią mową,
I dąb odwieczny nad dąbrową,
Te czaple, czajki i łabędzie – Coś
swego widzisz, słyszysz wszędzie.*

[...]
*A w cudzym kraju i cóż będzie?
Ziemia na ziemi, jak i wszędzie,
Ale ta ziemia – jakaś sucha,
Ale ta ziemia – jakaś głucha.
Zdarzy się w cichej gór kotlinie,
Że jak i u nas potok płynie,
Szumi, po skałach się rozbija – Woda
cię mija, człowiek mija.
Nie twoja chata, gaj zielony,
Nikt ci nie powie „Pochwalony”...*

Ech, pisano kiedyś wiersze, pisano książki, takie jak dzieło Bohdana Dyakowskiego o przyrodzie ojczystej. Spyta ktoś, a co to wyjątkowego w opowiadaniu o łąkach i jeleniach, przebieśniętach i niezapominajkach, niezliczonych jeżach i jerzykach? Może i nic, ale to Polska właśnie. ©©



★★★★★

BOHDAN
DYAKOWSKI
„Z NASZEJ
PRZYRODY”

ZYSK I S-KA 2019



POCZYTANKI

Tropem lisicy

PIOTR GOCIEK

Dubravka Ugrešić chadza własnymi ścieżkami, ale to tylko jeden z wielu powodów, by zwracać na nią uwagę. Obdarzona jest licznymi talentami: świetnie pisze, ciekawie opowiada (te rzeczy nie zawsze idą w parze), potrafi wynajdować niesamowite historie tam, gdzie inni dostrzegliby najwyżej plecy migającego w tłumie przechodnia. Tymczasem Ugrešić widzi więcej i słyszy więcej, nie dlatego, że ma supersłuch, ale dlatego, że cały świat robi wrażenie, jakby czekał na okazję, żeby się przed nią otworzyć i coś ciekawego jej opowiedzieć.

Polski czytelnik zna ją z licznych przekładów, w tym powieści, ale mnie Chorwatka najciekawsza zdaje się w... No właśnie, trudno określić przynależność gatunkową tych książek. Zwykle w opisach stoi: „eseje”, lecz to nie oddaje im w żaden sposób sprawiedliwości. Tak jak trudno o „Dzienniku pisany nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego powiedzieć, że to zwykłe zapiski. Mamy do czynienia ze szczególną formą twórczości, zawieszoną między literaturą a non-fiction, między esejem literackim a analizą polityczną, między wypowiedzią polityczną a opowieścią z podróży. Takie życiopisanie, które jest jednocześnie tym wszystkim naraz, ale w żad-

nym z powyższych terminów zamknąć się nie daje.

„Lis” – zbiór, który ukazał się właśnie na polskim rynku – to przedstawiciel tego właśnie typu opowieści. Sześć obszernych esejów (niby-esejów), które są owocami wycieczki autorki w dowolnym kierunku – w przeszłość, tak jak wtedy, gdy zajmując się losem i znajomościami zapomnianego nieco rosyjskiego pisarza Borisa Pilniaka. W problemy aktualne – tak jak wtedy, gdy opisuje swe doświadczenia z imigrantami z Europy Wschodniej (w tym Polski). W kłopoty ze współczesną kulturą, której surowym krytykiem jest od dawna – gdy gorzko zauważa, że prawdziwym pisaniem i zgłębianiem tajemnic duszy ludzkiej nikt się już nie zajmuje, za to na sympozjach pisarze pytają się nawzajem jeno o zyskowe etykiety: A ty w czym robisz? Crime fiction, science fantasy, young adult?

Są to opowieści przepięknie napisane, pełne kapitalnych detali i głębokich spostrzeżeń, w wielu miejscach melanchoijne, bo Ugrešić jest jedną z tych autorek, które piszą szczególnie interesująco, jak przemija postać świata. Tytuł zaś wziął się z tego, że za Pilniakiem powtarza: „Lis jest totemem pisarza”. Wiecie, taki bezczelny szelma, co oczaruje, uwiedzie, oszuka, porzuci. Dajmy się więc uwieść. ©©



★★★★★

DUBRAVKA UGREŠIĆ
„LIS”
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czytamy, jak z traumą po szaleństwach Mao próbują radzić sobie Chińczycy, zapominając, że ten komunizm ma jeszcze inną twarz: agresora i okupanta, mordującego żyjących w Himalajach naród. Pema Bhum o tym przypomina.



PEMA BHUM
„OPOWIADANIA O REWOLUCJI KULTURALNEJ W TYBECIE”
PIW

Jak świat jest rządzony? Niestety kiepsko. „Nowa tendencja czy nowy system?” – pyta autor, rozeźlony falą fake newsów, absurdalnych pomysłów ekonomicznych, terroru mniejszości i tyranii politycznej poprawności.



JANUSZ SZEWCZAK
„IDIOTOKRACJA, CZYLI ZMOWA GŁUPCÓW”
BIAŁY KRUK

Pięta już na polskim rynku pozycja pracowitego duetu historyków. Po opowieści o średniowiecznej codzienności w zamkach, miastach, na wsi i o życiu kobiet przyszła pora na przybliżenie relacji panujących w rodzinie.



FRANCES GIES, JOSEPH GIES
„ŻYCIE ŚREDNIOWIECZNEJ RODZINY”
ZNAK

Seria „Mistrzowie Światowej Ilustracji” ma się dobrze, czego dowodem kolejna premiera – nowy tom klasyki kryminałów dla dzieci z rysunkami Svena Hemmela. Nie tylko dla tych, którym podobał się „Detektyw na pustyni”. ©©

poleca Piotr Gociek



ÅKE HOLMBERG
„TURE SVENTON I IZABELLA”
DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA:

„PAMIĘTNIKI WISIENKI”

Jeden z najpiękniejszych komiksów dla dzieci, które znajdziecie w tych miesiącach na polskim rynku. Początek przepięknie ilustrowanej serii o rezolutnej, ciekawskiej dziewczynce z pisarskim talentem. Tom pierwszy nosi tytuł „Skamieniałe zoo”. Tytułowa Wisienka to 10-latką marząca o karierze pisarki. Na razie zapisuje dla siebie to, co dostrzega, a bywa, że dostrzega rzeczy tajemnicze



JORIS CHAMBLAIN, AURÉLIE NEYRET
„PAMIĘTNIKI WISIENKI”
EGMONT

i intrygujące. Album zdobył Nagrodę Młodzieży na Międzynarodowym Festiwalu Komiksów w Angoulême w roku 2014. Wkrótce po polsku ukaże się tom drugi – „Księga Hektora”. ©© **poleca Piotr Gociek**

Ewa, Przemek, bracia i inni



FOT. EWA EN/FACEBOOK

Nagranie tej płyty to efekt dużego uporu. Najpierw Przemysław Kupidury, który musiał przekonywać Ewę Mysłakowską do wspólnego projektu. On uznał jej głos za idealny do swoich kompozycji i tekstów, ona już raczej nie chciała śpiewać. Zajął się czymś innym, nauczał gry na pianinie, prowadziła chór dziecięcy. Miała na koncie jedną

płytę nagrałą przed laty jako Efką, o kolejnej – przynajmniej w charakterze wokalistki – nie myślała. Jednak po przesłuchaniu kilku kompozycji Przemka dała się przekonać.

Profesjonalnie nagrany album to marzenie dość kosztowne, nawet gdy robi się to w gronie rodziny i znajomych. W dobie zbiorów crowdfundingowych brak pieniędzy nie

jest jednak przeszkodą bardzo trudną do pokonania. Powstanie albumu sfinansowali jego przyszli słuchacze. Płyta „Chcę”, którą artystka sygnuje jako Ewa eM, została zarejestrowana, ale... nie można jej kupić. Dlaczego? Ponieważ nie znalazła jeszcze oficjalnego wydawcy.

Na „Chcę” składa się 13 utworów. Kompozycje do

wszystkich i słowa do większości zaśpiewanych przez Ewę piosenek to dzieło Przemka. Liczba muzyków zaangażowanych w projekt robi wrażenie. Zagrali: bracia Ewy jako Roshko Brothers – Duo Roszkowski (instrumenty smyczkowe), Sławek Kazulak (perkusja), Tomasz Pfeiffer (gitarę), Paweł Bomert (gitarę basową), Grzegorz „Grzech” Piotrowski (saksofon), Dariusz Leonowicz (klawisze, mix, mastering).

W ciągu najbliższych dwóch miesięcy mają powstać dwa teledyski. W dalszej perspektywie jest już kolejny album. Najważniejsze jednak w tej chwili dla artystów to trafić z płytą na sklepowe półki i dotrzeć do szerokiej publiczności. Skoro udało się przekonać ludzi, by in blanco wpłacili łącznie prawie 16 tys. zł, to chyba i przy poszukiwaniu wydawcy uporu Ewie, Przemkowi i reszcie nie zabraknie. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Momuś

Po sześciu latach od ukazania się albumu „Składam się z ciągłych powtórzeń” i sprzedaży ponad 60 tys. egzemplarzy były lider zespołu Myslovitz wydał drugą płytę solową.

Artur Rojek, jak przyznaje w wywiadach, chciał wreszcie przestać biadolić i pisać o traumach dzieciństwa. Wcielił się w kundla, czyli kogoś prostego, odartego z etykietek i funkcjonującego w zgodzie ze sobą. To taki „Małomiasteczkowy” Dawida Podsiadły, tylko 20 lat starszy i po przegranej wyścigu szczurów. „Każą mi zmańdrzeć / Ja wiem, że nie zdążę” – śpiewa Rojek.

„Jak się trzymać w pionie, kiedy wieje?” – pyta autor na wstępie i już w pierwszej zwrotce puentu-

je całą płytę: „Walnij mnie w głowę / Gdzie jest skrót? / Padam i już wiem, że ty”. Dzięki współpracy Rojka z Radkiem Łukasiewiczem (Pustki, Bisz & Radex) i Bartoszem Dziedzicem (producent muzyczny) w tekstach jest mniej nostalgicznej psychoanalizy, a więcej dystansu do świata.

Muzycznie jest znacznie skoczniej czy – jak kto woli – popowo niż wcześniej. Dziedzic, laureat Fryderyka za realizację „Małomiasteczkowego”, doskonale wyczuwa, kiedy muzyka ma dopełniać teksty, a kiedy nadawać ton. Kiedy trzeba, stawia na rytm, a kiedy indziej na nastrój.

Miedzy piosenkami pojawiają się interludia. Z jednego z nich wynika, że piesek kundlek wabi się Momuś. ©©



★★★★★
ARTUR ROJEK
„KUNDEL”
KAYAX



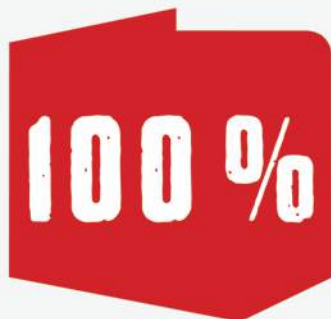
★★★★★
MOSES BOYD
„DARK MATTER”
EXODUS

28-letni brytyjski perkusista na debiucie rozszerza granice nu jazzu. Wychodząc od hard bopu, porównawczo miesza afrobeat z połamanymi rytmami grime music. Wpłata syntezatory, tubę, gitarę elektryczną, afrykańskiego poetę-rapera i wokalistę soulową. Ambientowy jazz ery kosmicznej.



★★★★★
INSIDE AGAIN
„NIGHTMODE”
MYSTIC

Dziewięć opowieści warszawskiej grupy „o tym, co może się przydarzyć nocą”. Progredywni metalowcy skupiają się na nastrojach, zróżnicowanych brzmieniach, zmianach tempa i tajemniczych przesłaniach. W finale elektroniczna mgławica wita narodzinny dzień. ©©



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY





Z Grégorem Puppinkiem, dyrektorem Europejskiego Centrum na rzecz Prawa i Sprawiedliwości (ECLJ) w Strasburgu rozmawia Wojciech Golonka

Kryzys w Strasburgu?

WOJCIECH GOLONKA: Opublikowany w lutym pański raport „NGO i sędziowie ETPC” dotyczący powiązań wewnątrz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka odbił się szerokim echem w europejskiej prasie i wywołał pierwsze reakcje polityczne. Zanim jednak poruszymy tę kwestię, to proszę powiedzieć, czym właściwie zajmuje się organizacja, której jest pan dyrektorem?

GRÉGOR PUPPINK: ECLJ zostało założone w 1998 r. przez dwóch amerykańskich prawników chrześcijan – katolika irlandzkiego pochodzenia oraz protestanta pochodzenia żydowskiego, z Nowego Jorku, konwertyty. Założyli tę organizację

pozarządową przede wszystkim w celu wspierania Kościołów w Europie Środkowej i Wschodniej w procesie postępującej demokratyzacji. Nasze biuro zostało założone w Strasburgu, bo tam mieści się siedziba Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który obejmuje swoją jurysdykcją 47 państw członkowskich Rady Europy, od Islandii do Turcji i Bałkanów. Pracujemy także u boku Organizacji Narodów Zjednoczonych w Genewie.

Tutaj, w Strasburgu, nasza praca polega na towarzyszeniu stronom, zarówno osobom, które wnoszą skargę do Trybu-

nału, jak i rządów, które są pozywane, tudzież na interwencjach w różnych sprawach, ale zawsze w celu obrony prawa naturalnego i moralności, bo chrześcijańską myśl i moralność stanowi obiektywnie ujęta cnota sprawiedliwości. Oczywiście zajmujemy się również obroną wolności i praw Kościoła katolickiego w różnych krajach europejskich, ale także Cerkwi prawosławnej – np. rosyjskiej czy rumuńskiej – w postępowaniach przed Trybunałem. Bronimy także instytucji małżeństwa, prawa do życia czy do sprzeciwu sumienia.



„Sprawa Lautsi” pochodzi z lat 2009–2010. Chodziło o kobietę ze Skandynawii, żyjącą we Włoszech, która skarżyła się na obecność krzyży we włoskich szkołach publicznych, twierdząc, że podważają one wolność religijną jej córki, a także jej prawo jako matki do wychowania córki zgodnie z przekonaniami religijnymi. Ponieważ włoskie sądy odrzuciły jej skargę, skierowała pozew przeciw Włochom do ETPC, który w pierwszej chwili przyznał jej jednogłośnie rację i potępił obecność krzyży we włoskich szkołach. W konsekwencji nie tylko Włochy czy inne państwa musiałyby usunąć wszystkie krzyże ze szkół, a Grecja czy Rumunia usunąć ikony, lecz także należałoby w ogóle usunąć symbole religijne ze wszystkich pomieszczeń publicznych w Europie. Była to więc bardzo poważna decyzja, która ukazywała, w jaki sposób prawa człowieka ostatecznie obracają się przeciw chrześcijaństwu.

Zauważmy ten paradoks: często uważa się, że prawa człowieka są owocem myśli chrześcijańskiej – bo prawdą jest, że istnieją one jedynie w krajach kultury chrześcijańskiej – ale w tym przypadku widać było, w jaki sposób prawa człowieka i wolność religijna obracają się przeciw religii i przeciw chrześcijaństwu. Sprawa była zatem bardzo poważna, nie tylko dla Włoch, lecz także dla samej kultury europejskiej, również dla Kościoła.

Po tym wyroku nastąpiła na szczęście dość mocna reakcja i mobilizacja we Włoszech, a wówczas nasze centrum, które śledziło uważnie tę sprawę, nawiązało kontakt z włoskim rządem i towarzyszyliśmy mu w dość żmudnej procedurze, po pierwsze po to, aby przekonać Trybunał, żeby osądził sprawę na nowo, a potem, aby wygrać – co też nastąpiło. Najpierw z rządem włoskim, przy wsparciu Kościoła katolickiego, szukaliśmy poparcia za granicą. Włoską sprawę poparło np. wiele krajowych Konferencji Episkopatu, ale także episkopatów prawosławnych, a nawet inne rządy. Łącznie ponad 20 europejskich rządów zajęło publicznie stanowisko na rzecz zasadności obecności Chrystusa – wizerunku Chrystusa – w europejskiej przestrzeni publicznej. Jak widać, było to bardzo ważne, bo ETPC zgodził się osądzić sprawę na nowo, tym razem w składzie Wielkiej Izby – 17 sędziów – i znaczna większość sędziów przyznała rację Włochom, stwierdzając, że chrześcijaństwo korzysta ze szczególnej

legitymizacji w krajach kultury chrześcijańskiej, a więc można pozostawić krzyże we Włoszech. I oczywiście Trybunał przyznał, że sama obecność krzyża nie stanowi naruszenia wolności sumienia osób niewyznających chrześcijaństwa.

Skoro prawa człowieka mają chrześcijański rodowód, to jak to możliwe, że są wykorzystywane przeciw chrześcijaństwu? Kiedy nastąpiło to wynaturzenie?

Dwoisty charakter serca ludzkiego to rzecz bez dna: mamy zawsze możliwość wybrania Boga lub odrzucenia go. A z prawami człowieka jest jak z innymi aspektami naszego istnienia. Stąd prawa człowieka mogą jak najbardziej być rozumiane w sposób chrześcijański, jeśli rozumiemy je jako pewną charakterystykę sprawiedliwości w ogóle. Sprawiedliwość to przede wszystkim cnota, która narzuca się jako naturalny wymóg, a prawa człowieka są częścią sprawiedliwości,

Podłoże kulturowe w Europie Zachodniej jest ateistyczne. To z lat 50. XX w. było wciąż przesiąknięte tradycyjną obyczajowością

jeśli chodzi o poszanowanie u każdego zasadniczych właściwości życia ludzkiego. Są też jednak inne możliwe interpretacje w przypadku osób odrzucających naturę ludzką oraz jej Stwórcę i wówczas są one rozumiane oraz wykorzystywane jako narzędzie wyzwolenia i emancypacji wobec natury i Stwórcy. Zresztą prawa człowieka definiuje się w stosunku do jakiejś antropologii. Antropologia, nasze rozumienie człowieka, jest bowiem pierwsza i w zależności od niej zachodzą różne interpretacje prawa. Ta rozbieżność zawsze istniała, ale w obecnej epoce jest szczególnie widoczna.

Można powiedzieć, że dziś prawa człowieka są raczej prawami ateistycznej jednostki, podczas gdy prawa człowieka, które chciano zdefiniować po drugiej wojnie światowej, zakorzeniły się, przynajmniej w przypadku Europy Zachodniej, w kulturze demokratyczno-chrześcijańskiej, ogólnie mówiąc – dość przyzwoitej obyczajowo. Podłoże kulturowe w Europie Zachodniej jest obecnie indywidualistyczne, liberalne

Pracowaliśmy również w sprawach toczonych przeciw Polsce, którą broniliśmy np. w postępowaniach typu „sprawa Tysiąg” bądź „P. i S. przeciw Polsce” odnośnie do aborcji i sprzeciwu sumienia. Obecnie także toczy się cała seria spraw przeciw Polsce w kwestii uznawania związków homoseksualnych czy filiacji prawnej dzieci uznawanych za granicą jako dzieci par homoseksualnych.

Wzięli państwo również udział w znanej sprawie „Lautsi”, za co otrzymał pan Order Zasługi Republiki Włoskiej.

FOT. AP/EAST NEWS

■ i w praktyce ateistyczne, podczas gdy to z lat 50. ubiegłego wieku było wciąż przesiąknięte tradycyjną obyczajowością i tradycyjnym spojrzeniem na człowieka. Zmieniała się „kultura”, a w konsekwencji zmienia się interpretacja praw człowieka. Ale już wcześniej zachodziła różnica między np. francuskimi prawami człowieka z XVIII w. a tymi amerykańskimi. I to też była różnica podłoża kulturalnego. Francuskie prawa człowieka były od początku antyreligijne, podczas gdy te amerykańskie uznawały przynajmniej Boga Stwórcę. Zachodzą więc diametralnie różne, ale współistniejące interpretacje praw człowieka, między którymi trzeba dokonać wyboru, a które dziś spierają się w Trybunale w Strasburgu i w innych międzynarodowych instancjach ochrony praw człowieka.

Jest pan autorem analizy orzeczeń ETPC. Do której więc „interpretacji” można zaliczyć te orzeczenia?

Próbując zrozumieć ewolucję pojmowania praw człowieka jako odzwierciedlenie przemiany społeczeństwa, opierając się na orzecznictwie ETPC na przestrzeni ostatnich 30 lat, napisałem książkę „Prawa człowieka wynaturzonego” („Les Droits de l’homme dénaturé”, Cerf 2018), która w tym roku zostanie wydana w języku polskim. Przy czym nie ma czegoś takiego jak nieuchronny bieg historii w ewolucji praw człowieka, bo to także, w sumie przede wszystkim, kwestia ludzi. Dlatego uzupełniłem to badanie w bardziej prozaiczny sposób, przyglądając się z bliska sędziom stanowiącym Europejski Trybunał Praw Człowieka.

W USA mamy Sąd Najwyższy złożony z dziewięciu sędziów, wybieranych dożywotnio. Amerykanie znają przebieg ich dotychczasowej kariery, wiadomo, kim są i jakie mają poglądy, a w dodatku ich wybór przez Kongres poprzedza debata. Tu, w Strasburgu, ETPC składa się z 47 sędziów, w zasadzie zupełnie nieznanymi, choć mają tyle samo, jeśli nie więcej, władzy, co sędziowie amerykańskiego Sądu Najwyższego. Nie znamy osób, które osądzą nasze prawa i konstytucje; w przeciwieństwie do różnych deputowanych nie składają oni nawet deklaracji o możliwych konfliktach interesów.

A przecież wiadomo, że międzynarodowe instancje są decyzyjnymi ośrodkami władzy, a za gładką fasadą

ETPC składa się z 47 sędziów, w zasadzie zupełnie nieznanymi. Nie znamy osób, które osądzą nasze prawa i konstytucje

instytucji takich, jak Rada Europy, ETPC czy ONZ, działają sieci wpływów – np. z organizacji pozarządowych, do których należy także nasze ECLJ. Oczywiście nie jesteśmy najbardziej wpływową NGO wewnątrz systemu, ale te sieci wpływów istnieją i chcieliśmy zobaczyć, w jaki sposób zachodzą one wewnątrz samego Trybunału, gdyż zauważyłem, że wśród sędziów mianowanych w ostatnim czasie do ETPC było coraz więcej byłych współpracowników organizacji pozarządowych, zazwyczaj związanych z Open Society George’a Sorosa. Jednocześnie zauważyłem ewolucję w orzecznictwie Trybunału zmierzającą w kierunku wielokulturowego społeczeństwa, głoszonego także przez tę samą organizację. Wyniki mej analizy okazały się naprawdę zaskakujące.

Czy wiadomo, jaki jest np. odsetek sędziów wpisujących się w wizję stworzenia „homo sorosensis”?

Nie można a priori zakładać, jakie ludzie wyznają poglądy, ale można stwierdzić związki przynależności czy współpracy. Na przykład podczas ostatnich 10 lat było 100 stałych sędziów w ETPC, wśród których 22 to byli współpracownicy, zarządcy bądź beneficjenci pozarządowych organizacji, które działają przy Trybunale. Zrozumiemy się dobrze: NGO, które działają przy Trybunale jako powodzi, przedstawiciele czy interwenci, jednocześnie wysyłają do tego samego Trybunału sędziów, stąd możliwy konflikt interesów. Co więc robią sędziowie, gdy mają do czynienia ze sprawami, w których biorą udział NGO, z których oni sami się wywodzą bądź z którymi współpracowali? W ciągu ostatnich 10 lat w 88 przypadkach nie odsunęli się od spraw, w których była NGO – jeśli można to tak nazwać – była implikowana jako przedstawiciel czy strona. I jest to znacząca liczba przypadków, która z punktu widzenia etyki sędziowskiej jest oczywiście problematyczna.

Jaka była dotychczasowa reakcja na państwa raport?

Raport „NGO i sędziowie ETPC” został w krótkim czasie dość obszernie skomentowany w prasie, a także, z tego, co nam wiadomo, trafił na biurka różnych ministerstw w kilku krajach. Proszę zauważyć, że z powodu konfliktu interesów między sędzią a powodem dane państwo może wnioskować o ponowne osądzenie sprawy. Dla przykładu, tego typu konflikty interesów są nie do pomyślenia w angielskiej Izbie Lordów, gdzie sprawa Pinocheta z 1999 r. musiała być rozpatrzona na nowo po tym, jak ujawniono związki lorda Hoffmanna z interwencją uboczną w postaci Amnesty International.

We Francji kilku prawicowych deputowanych zwróciło się już w tej sprawie do prezydenta Macrona, z kolei lewica jest lekko zakłopotana, bo wspomniane powiązania dotyczą akurat postępów liberalnych NGO. Nikt też nie podważył samego raportu, choć według wypróbowanych metod stalinowskich dziennik „Le Monde” zaatakował mnie, zarzucając mi mój katolicyzm.

A jakie są według pana środki zaradcze?

Sądzę, że „samoooczyszczenia” powinien dokonać sam Trybunał, który do tej pory nie zabrał stanowiska w tej sprawie. Oczywiście mogą mu przyjść z pomocą państwa członkowskie, ale to kwestia delikatna, gdyż ETPC został ustanowiony jako przeciwwaga wobec aparatu państwowego. Trudno więc głosić, że kraje powinny ograniczyć instytucję, która sama ma je ograniczać. Z pewnością zaś należy zaprowadzić pełną przejrzystość i wyeliminować konflikty interesów. Nie można też dopuścić, aby prawa człowieka stały się destruktywnym narzędziem ideologii wbrew rzeczywistym właściwościom stworzonej przez Boga natury ludzkiej. Najistotniejsze bowiem to służyć autentycznej i obiektywnej sprawiedliwości.

Wywiad przeprowadzono we współpracy z redakcją programu „Antykultura” z TV Trwam.



Grégor Puppink – francuski prawnik, eseista, dyrektor Europejskiego Centrum na rzecz Prawa i Sprawiedliwości (ECLJ) w Strasburgu.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wirus zimnej wojny

I choćby przyszło tysiąc atletów. Albo nawet Zbigniewów Hołdysów. I każdy nie wiem, jak się nateżał, to niestety – epidemia ma swój podtekst polityczny. To chyba nawet dobrze, bo politycy są także od tego, żeby sobie radzić z kryzysami. Więc jak ktoś sobie dobrze radzi, to jest dobrym politykiem, a jak źle – złym.

Pandemia ma wymiar globalny, więc zostawmy chwilowo nasz zakątek wioski i spójrzmy z dalszej perspektywy. Chcąc nie chcąc, formuje się swego rodzaju światowa rywalizacja prowadzona przynajmniej na dwóch frontach. Pierwszy to – jak dane państwo radzi sobie z epidemią u siebie. Chiny jeszcze do niedawna były lekceważąco traktowane z wyżyn Zachodu jako państwo totalitarne, zakłamate i niewiarygodne. Jako takie miało najpierw tuszować zagrożenie, a potem sobie z nim nie radzić, tak jak na przykład Związek Sowiecki z Czarnobylem. Wydaje się jednak, że Chiny uporały się z kryzysem, a w każdym razie zawiesiły następcom poprzeczkę całkiem wysoko. Może nie tak wysoko jak Tajwan, ale na kontynencie skala problemu była jednak znacznie większa. Teraz dodatkowo punktuja, wspierając tych, którym idzie gorzej, zawstydzając nieco egoistyczny Zachód.

Europa – no cóż – daje sobie radę średnio. W kierunku włoskiej tragedii zmierzają Hiszpania, działania największych krajów Unii Europejskiej wydają się opóźnione, a Wielka Brytania poszła – jak to ona – swoją

drogą. W tym przypadku jednak konsekwencje mogą być gorsze niż to, że samochody jeżdżą lewą stroną. W każdym razie Europa raczej utrwała swój wizerunek regionu, z którego siły vitalne i życiowa energia ulatują. To zdecydowanie przeszłe, a nie przyszłe mocarstwo.

Prawdziwą zagadką pozostają Stany Zjednoczone. To, co się będzie działo za oceanem, to test dla amerykańskiej mocarstwowości. Czy Wuj Sam poradzi sobie z epidemią lepiej od Chin? To korespondencyjny pojedynek, w którym mierzą się nie tylko dwie największe potęgi świata, lecz także demokracja i autorytaryzm. Jeśli okaże się, że ten drugi skuteczniej chroni obywateli, to powab demokracji nieco wyblaknie.

Jest i drugi front. To szczepionka. Kto pierwszy ją opracuje, dowodząc swej potęgi naukowej? Nieco podobny charakter miał wyścig kosmiczny w czasach zimnej wojny. W Stanach szczepi się już pierwszych ochotników. Jednak Donald Trump zapewne nie bez przyczyny próbował skaptować niemieckich fachowców, co zresztą trochę przypominało zagarnięcie Wernhera von Brauna po drugiej wojnie światowej i wkomponowanie go w amerykański program rakietowy. Tym razem jednak nie wyszło i może to Europa wyczaruje szczepionkę, o którą modli się świat. Tutaj najbardziej zaawansowane wydają się Stary i Nowy Kontynent. Być może i w tej dziedzinie do rywalizacji włączą się Chiny.

Bo raczej nie Rosja. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wielki strach

O kres przymusowych wakacji dobrze jest wykorzystać na lektury. Zwłaszcza te sprawdzone. Aby zrozumieć, co się dzieje i co się dzieć będzie, warto sięgnąć po „Dżumę” Camusa czy wstrząsający (nie czytałem od liceum) poemat „Ojciec zadumionych” Juliuszałowackiego. Osobiście polecam „Biblię” – znajdziemy tam wszystko, choć refleksje mogą być naprawdę niewesołe. Cywilizacja Zachodu, której najczytelniejszym symbolem pozostaje zniszczona i ciągle nieodbudowana katedra Notre Dame, od dawna przestała zauważać podział między dobrem i złem, a pomysł, żeby nawiedzające ją plagi traktować w kategorii gniewu Bożego, z pewnością zostałyby wyśmiane. Jednak ten się śmieje, kto się śmieje... Historie ze Starego Testamentu nieuchronnie dostarczają przykładów tego, co się dzieje, jeśli ludzie zdradzają Boga i jego prawa. Łatwiej wytłumaczyć sobie szaleństwa i dramaty XX w., jeśli przypomnimy sobie, że poprzednie XIX stulecie było czasem wielkiej apokataji, odchodzenia od Boga. Najpierw elit, potem ludu. Celował w tym szczególnie naród wybrany. Jeśli w XXI w. ludzkość postępować będzie dalej tą drogą, to strach myśleć o konsekwencjach. Mamy wszak tysiące złotych cielew (ostatnio to ekologizm), którym oddawana jest cześć, każda z wielkich metropolii mogłaby się ścigać z Sodomą, a szatan bezczelny i bezkarny wciska się w nasze

życie za pośrednictwem mediów, a przede wszystkim Internetu.

W dawnych epokach w chwilach zagrożenia zwracano się do Boga. W naszych czasach jako pierwsze postanowiono zamykać kościoły i religijne sanktuaria. Oczywiście nie wszędzie. Przykład Polski, w której nawet TVN decyduje się nadawać msze święte, daje nadzieję, że można inaczej. Biedny zlaicyzowany świat nie pamięta nawet, że można się modlić (chwała prezydentowi Trumpowi, że sobie o tym przypomniał, zachęcając Amerykanów do ogólnonarodowej modlitwy!). Inaczej pozostają jedynie strach i bezsilność. A przecież historia uczy, że wielkie kataklizmy mogą odgrywać również rolę ozdrowieńczą. W przodującej w bezbożności Francji dwie wielkie wojny zahamowały ateistyczny szal. Nawet Stalin po uderzeniu Hitlera zdecydował się na otwarcie cerkwi i wypuszczenie z łagrów niedorzęniętych popów. U nas doświadczenie komunizmu poskutkowało immunologiczną odpornością na lewactwo większości społeczeństwa.

W czasach wielkich dramatów wśród ludzi objawiały się dwie postawy – wyżyć życie jak ścierkę do końca – stąd w obliczu wojny, zarazy czy zagłady orgie i zbiorowe szaleństwa – albo trwać spokojnie, działać rozsądnie i pokładać ufność w Opatrzności.

Czego wszystkim państwu życzę! ©



Maciej Rosalak

Wrocław stał się w 1963 r. ogniskiem straszliwej choroby, o której mniemano, że już nie zagraża Europie. Zabrała na zawsze kilkanaście osób, półtora tysiąca izolowano. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie istniała skuteczna szczepionka, a miasto pozostawiono otwarte...

Ubiór ochronny służby zdrowia w okresie epidemii

FOT. ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH WE WROCŁAWIU/WIKIPEDIA

Groza ospy. Wrocław '63

Ospę prawdziwą (variola vera) wywołuje szczególnie zabójczy wirus, który przenosi się na człowieka drogą kropelkową od innej, zarażonej już osoby lub przez skażone ubranie, pościel, urządzenia i sprzęty. Zupełnie jak obecny koronawirus. Skutki rozwoju choroby są przerażające. Po kilku-, kilkunastodniowym okresie bezobjawowej inkubacji pojawia się wysoka gorączka, z zaburzeniami świadomości

oraz bólem głowy i pleców. Potem na błonie śluzowej gardła i jamy ustnej, na twarzy, ramionach i nogach, wreszcie na tułowiu tworzą się plamy, które po dwóch dniach zamieniają się w bąblaste, głęboko osadzone krosty. Kiedy strupy po nich z czasem odpadną, pozostawia po sobie brzydkie blizny, tzw. dzioby.

Co trzeci z zarażonych i nieszczepionych umiera (szczepienia zmniejszają śmiertelność dziesięciokrotnie), choć znane są

odmiany ospy powodujące śmierć 95 proc. chorych. Zgon następuje zazwyczaj w drugim tygodniu ujawnionej choroby, na skutek ogólnej reakcji zapalnej. Epidemie ospy znane były w Azji i Europie od wieków, a szczególnie krwawe żniwo zebrała wśród indiańskich autochtonów obu Ameryk po najeździe konkwistadorów hiszpańskich (XVI w.) i angielskich osadników (XVII w.).

Skuteczną szczepionkę – i była to w ogóle pierwsza szczepionka w Europie

– opatentował w 1796 r. brytyjski lekarz Edward Jenner, co zresztą było wynikiem licznych wcześniejszych prób wykorzystujących spostrzeżenia poczynione w medycynie ludowej. Kluczowe były doświadczenia hodowców krów, którzy nie zapadali na ospę, gdyż zarażając się od bydła niegroźną dla ludzi odmianą tej choroby, uodporniali się na zabójczą dla człowieka ospę prawdziwą.

LATO STULECIA

Tamte miesiące 1963 r. były do tego stopnia upalne i słoneczne, że nazwano je latem stulecia. Zachowałem je we wdzięcznej pamięci, lipiec bowiem mogłem spędzić blisko morza (w wakacyjnej kwaterze akademika Politechniki Gdańskiej), a w sierpniu pojechać na organizowany przez moje liceum obóz wędrowny po Gorcach i Pieninach. I oto radość moją oraz koleżanek i kolegów zmącił nakaz poddania się przed wyjazdem szczepieniu przeciw ospie...

Każdy z nas albo przechodził już niegroźną ospę wietrzną, albo został na nią we wczesnym dzieciństwie zaszczepiony. Myśleliśmy, że groźba epidemii czy w ogóle zapadnięcia na niebezpieczną dla życia chorobę zakaźną w PRL nie istnieje. Na gruźlicę już Polacy przestali zapadać, rozpoczęto szczepienia DTP (di-te-per: na błonicę, krztusiec i tężec), a także na chorobę Heinego-Medina, której przynębiające skutki mogliśmy jeszcze oglądać u nieco starszych kolegów.

Grypa, owszem, atakowała, jak azjatycka sprzed kilku lat (1957), lecz kojarzyła się ze zwykłym u nas zimą przeziębieniem. Na to są, myśleliśmy, antybiotyki, nie widząc (podobnie, niestety, jak długo jeszcze wielu lekarzy) różnicy między bakterią – którą antybiotyk może pokonać – i wirusem, którego zwalczyć nie może. Jednak trąd, dżuma, cholera, tyfus czy czarna ospa (czyli prawdziwa) kojarzyły się nam już tylko z dalekimi, egzotycznymi krajami lub bezpowrotnie przeszłymi wiekami, kiedy jeszcze nie istniała „społeczna służba zdrowia”.

Cóż, wszyscy zakwalifikowani na górską wędrowną chcieli na nią pojechać. Wszyscy też – na ogół z humorem, jakbyśmy brali udział w dodatkowej zabawie – poddaliśmy się nakłuwaniu igłą nasączoną jakimś płynem. Nikt oczywiście nie mówił nam, że to uodporniający ekstrakt z „krowianki”. Następnie parę dni oczekiwaliśmy, czy ranka pod opatrunkiem przyschnie (to dobrze), czy zacznie się jątrzyć (niedo-

brze). Wszystkim przyschła, więc z lekkim sercem ruszyliśmy pod Turbacz.

O ospie nikt już nie pamiętał. Nikt zresztą z naszego otoczenia w Warszawie nie wiedział, co naprawdę w tym czasie dzieje się we Wrocławiu. Na początku sierpnia zaczęły krążyć między ludźmi jakieś o tym pogłoski, ale stołeczne prasa, radio i telewizja milczały. Wydział Prasy KC PZPR i cenzura działały sprawnie. W tym czasie nie istniała sieć internetowa, bo i o komputerach osobistych nie mówiono; nawet prototyp maszyn obliczeniowej ODRA 1003 ukończono dopiero pod koniec 1963 r. Telefony komórkowe znajdowały się poza sferą wyobraźni, a i telefon stacjonarny mało kto miał w domu.

Idealna sytuacja dla władzy totalitarnej, dlatego, być może, utrzymała się u nas niemal pół wieku. Z kolei obecny rząd udowadnia, jak dzięki rozwiniętym środkom informacji można przyhamować rozszerzanie się zarazy oraz starać się z nią walczyć, gdy nie wynaleziono jeszcze szczepionki. Kluczowa jest, rzecz jasna, hierarchia wartości, z dobrem zwykłego rodaka na czele. Trzeba jednak przyznać, że 57 lat temu presja wspaniałych lekarzy i epidemiologów polskich była dostatecznie silna, aby błyskawicznie wprowadzić powszechne szczepienia w najbardziej narażonych na epidemię miastach i okolicach. Cóż, skuteczną szczepionkę na ospę stosowano już od półtora wieku!

I tak podczas akcji epidemiologicznej liczba zaszczepionych w całym kraju wyniosła niemal 8 mln (7 881 000). W tym we Wrocławiu i w województwie wrocławskim zaszczepiono 2 598 000 osób; w województwie opolskim – 978 000; w katowickim – 724 200; w Łodzi i woj. łódzkim – 499 700; w Warszawie – 465 700. W tej ostatniej liczbie mieszczą się 25 uczniów i prof. Stanisław Czajka z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, którzy zadowoleni pojechali i wrócili z naszych pięknych gór, nieświadomi wrocławskiego dramatu...

PACJENT ZERO Z SB

22 maja 1963 r. na wrocławskim lotnisku wylądował samolot z Bonifacym Jedynakiem na pokładzie. Był on wówczas oficerem Służby Bezpieczeństwa, który wrócił z Indii po kontroli placówek dyplomatycznych PRL. Poza donosami tamtejszych kontaktów operacyjnych wiozł coś znacznie bardziej niebezpiecz-

nego, o czym nie miał pojęcia. Otóż w jego węzłach chłonnych zagnieździł się wirus zabójczej choroby – ospy prawdziwej.

Podpułkownik Jedynak był towarzyszem sprawdzonym. Miał zaledwie 25 lat, gdy w 1945 r. rozpoczął odpowiedzialną służbę w Urzędzie Bezpieczeństwa w Końskich – świętokrzyskim mieście znanym z wojennych działań „Hubala”, „Ponurego” i „Szarego” (tego ostatniego – również działań powojennych). Szybko awansował, zajmował stanowiska kierownicze, podnosił kwalifikacje podczas kursów w kraju (1947, 1950) i w Moskwie (1954). Potem znalazł się na szczycie „bezpieki” we Wrocławiu.

2 czerwca 1963 r. – po 10 dniach od powrotu z Indii – zgłosił się do szpitala MSW przy ul. Ołbińskiej we Wrocławiu, gdzie przyczyny trapiących go dziwnych dolegliwości nie rozpoznano. Konsultacje z Zakładem Medycyny Tropikalnej w Gdańsku zaowocowały diagnozą: malaria, której pasożyty znaleziono we krwi. Natomiast wirusa ospy nie zidentyfikowano, co spowodowało zakażenie salowej sprzątającej separatkę. Tak ospa zaatakowała Polskę. Natomiast wyleczonego pacjenta zero, który wirusa przywiózł, na początku następnego roku przeniesiono do centrali resortu bezpieczeństwa, gdzie został dyrektorem Biura „B” MSW (od działań operacyjnych), i awansowano na generała.

Salowa też wyzdrowiała, choć stwierdzono u niej początkowo tylko łagodną ospę wietrzną – o podobnych do ospy właściwej objawach – na którą w rzeczywistości zaniemogła. Od salowej zaraziły się jednak jej dzieci – córka, pielęgniarka, u której mylnie stwierdzono gwałtownie rozwijającą się białaczkę, oraz syn. Oboje wkrótce umarli; córka Lonia Kowalczyk – jako pierwsza śmiertelna ofiara rozpoczynającej się epidemii – 8 lipca. Umarł także lekarz, u którego salowa szukała porady.

Tydzień po śmierci Loni i półtora miesiąca po pierwszych zachorowaniach ospę prawdziwą namierzył wreszcie dr Bogumił Arendzikowski z miejskiego sanepidu. Zaniepokoił go przypadek czteroletniego chłopca, świeżo wyleczonego z ospy wietrznej, u którego znowu wystąpiła ospowa wysypka, co nie powinno się zdarzyć. Poinformował o tym swego szefa, dr. Jerzego Rodziewicza, i wydarzenia potoczyły się już jak lawina.

Tego samego dnia – 15 lipca – we Wrocławiu ogłoszono stan pogotowia epidemicznego, zawiadomiono



Do Wrocławia nie mogły wjeżdżać (ani opuszczać miasta) osoby nieszczepione przeciw ospie. Przestrzegania zakazu pilnowały posterunki MO

FOT. ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH WE WROCŁAWIU/WIKIPEDIA

■ Warszawę i otrzymano pierwszych 10 tys. szczepionek. W ciągu paru dni akcja – zwana „W” jak Wrocław lub „O” jak ospa – została w pełni rozkręcona. Nadzorował ją główny inspektor sanitarny kraju Jan Kostrzewski (zarazem wiceminister zdrowia), a decyzje podejmowano w gronie Rady Epidemiologicznej, złożonej z wrocławskich i gdańskich lekarzy (specjalistów od ospy), wspartej wkrótce przez miejski komitet koordynacyjny i odpowiednie zespoły robocze.

Już 17 lipca w Szczodrem – na północny wschód od Wrocławia – urządzono szpital epidemiczny i ośrodek kwarantanny zarządzane przez dr Alicję Surowiec, uznaną później za główną bohaterkę tych dramatycznych dni. Następnego dnia uruchomiono izolatorki medyczne w adaptowanych budynkach na Psim Polu i w Praczech Odrzańskich, na potrzeby walki z epidemią zamknięto trzy szpitale (przy ulicach Piwnej, Rydygiera i Ołbińskiej), na cztery nałożono kwarantannę. W szpitalach i ośrodkach kwarantanny łącznie izolowano 1462 osoby.

Równolegle wprowadzono we Wrocławiu przymusowe szczepienia mieszkańców. Uchylającym się groziły kary grzywny do 4,5 tys. zł lub trzymiesięcznego aresztu. Dodajmy, że miesięczne zarobki wynosiły wtedy średnio 1763 zł, a żyło się wtedy „od pierwszego do pierwszego”. Za odmowę leczenia i spowodowanie możliwości zakażenia innych można było być ukaranym 15 latami więzienia!

Niestety, wprowadzony 1 sierpnia przymus szczepień wszystkich – nawet osób z przeciwwskazaniami – też powodował zgony. Naliczono ich dziewięć... Należałoby chyba tych biedaków doliczyć do ofiar zarazy, choć sama ospa zabiła mniej ludzi. Nie wiemy jednak, ile osób umarłoby, gdyby nie zostali szczepieni, gdyby nie posiadano i w ogóle nie znano

szczepionki na ospę. Gdyby nie wprowadzono drastycznych kordonów sanitarnych wokół ognisk choroby. Strach to sobie nawet wyobrazić...

A tak na ospę zapadło „tylko” 99 osób w wieku od ośmiu miesięcy do 83 lat. Siedmiu z nich zmarło. W tej liczbie mieszczą się pracownicy służby zdrowia. W walce z wirusem uczestniczyło ich ponad 350; 25 zachorowało, a czterech zmarło. Zdaniem jednego z lekarzy pogotowia ratunkowego ich strój ochronny, złożony z płóciennych spodni i bluzy, czapki, rękawic i gumowych butów, był niewystarczający: brakowało zwłaszcza ochrony oczu i ust.

Chorzy pochodzili także z: Opola (kontakt z pacjentem zero spowodował zarażenie kolejnych dwóch osób), Oławę, Legnicę, Wieruszowa i Gdańską. Leczenie zakażonych trwało ok. 40 dni, z czego 36 dni na oddziale zamkniętym, do momentu odpadnięcia strupów. Następnie poddawani byli kąpeli w roztworze nadmanganianu potasu. Gdy objawy ustąpiły, rekonwalescentów kierowano do domu, na 14-dniowe zwolnienie lekarskie. Od połowy sierpnia zaraza ustępowała, a 19 września uznano, że całkiem wygasła. I rzeczywiście: od tamtej pory do Polski nie wróciła.

WROCŁAW, MIASTO ZAMKNIĘTE

Dopiero po odwołaniu stanu zagrożenia epidemicznego cała Polska mogła się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądało życie wrocławian w mieście dotkniętym zarazą. Stosunkowo szybko ukazały się o niej informacje i obszernie reportaże, audycje, książki, a nawet film fabularny Romana Żaluskiego „Zaraza”.

Latem 1963 r. pierwsza wiadomość na temat choroby, którą w lipcu zamieściło wrocławskie „Słowo Polskie”, brzmiała: „W ciągu ostatnich kilkunastu dni zarejestrowano i objęto leczeniem

szpitalnym we Wrocławiu pięć przypadków, w których dotychczasowy przebieg nie wyklucza ospy prawdziwej”. Na ospę chorowało już wtedy 20 osób. W prasie lokalnej drukowano zarządzenia sztabu epidemicznego, a miejscowe radio nadawało komunikaty dla osób odbywających kwarantannę. Pierwszy komunikat, w którym nie ukrywano grozy sytuacji, nadano 25 lipca, w szczytowym okresie epidemii. Po Polsce krążyły zaś plotki, że we Wrocławiu na chodnikach leżą trup.

Wrocławianie dorobili na ogół do nowej, trudnej sytuacji. Często cytuje się z tej okazji spostrzeżenie Bogdana Daleszaka („Bedeker Wrocławski”, 1970): „Ospa zwalczała epidemię biurokracji... Nie czekano na pisemka, powiadomienia, pokwitowania, zarządzenia. W tym czasie urzędy nie »urzędowały«, lecz pracowały, działacze nie »działali«, lecz harowali, sprawy mało znaczące były rzeczywiście mało znaczące i załatwiane od ręki, a bardzo trudne nie znaczyły niewykonalne...”.

W mieście rozklejano plakaty „Witam się bez podawania rąk”, klamki i poręcze okręcano bandażami nasączonymi chloraminą, zlikwidowano sprzedaż chleba w systemie samoobsługowym, w to gorące lato zamknięto baseny, rekwirowano pojazdy przedsiębiorstw – m.in. na potrzeby przewozów sanitarnych tych, którzy zostali skierowani do izolatorki. Przyjeżdżano po nich niespodziewanie nocą, niektórzy bowiem uciekali za dnia z domów. Wielu mieszkańców nadużywało alkoholu – nawet w izolatoriach.

Gdy miasto zamknięto, na rogatkach postawiono tablice z napisem: „Zakaz wjazdu do Wrocławia osobom nieszczepionym przeciw ospie”. Wyjazdu z miasta też osobom nieszczepionym zabroniono, a pilnowały tego posterunki MO. Zamknięte zostały granice województwa z NRD i CSRS przed atrakcyjnym wówczas dla Polaków – ze względu na ceny i dostępność towarów – ruchem turystycznym. Ale obchodów PRL-owskiego święta 22 lipca nie odwołano.

Ostatnia epidemia ospy prawdziwej w Europie nawiedziła Jugosławię w 1972 r., a w 1980 r. oficjalnie uznano, że choroba już nie grozi ludzkości. Nie jest to, niestety, prawda. Próbkę jej wirusów przechowywane są oficjalnie w dwóch ośrodkach naukowo-medycznych w Rosji i USA, nieoficjalnie również w zbiorach mikrobiologów, a zapewne też – całkowicie tajnie – dla potrzeb wojny biologicznej. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bolszewicy z USA

Ciężkie jest życie zawodowego działacza komunistycznego. Niezależnie od tego, czy ten działacz prowadził rewolucyjną walkę w Rosji, Polsce, Chinach, Afryce czy Stanach Zjednoczonych. Wszędzie wyglądało to identycznie. Toczka w toczkę.

Gdy czytałem wspomnienia nawróconej działaczki Komunistycznej Partii USA Belli V. Dodd, zdumiałem się, jak bardzo ona i jej towarzysze przypominali bolszewików. Nie, to złe ujęcie sprawy. Oni po prostu byli bolszewikami. Tyle że mówiącymi po angielsku.

A więc – ciągnące się do rana mityngi i wiece. Drukowanie po nocach agitacyjnych ulotek, odbywające się w atmosferze hysterii posiedzenia Komitetu Centralnego. Ślepa wierność partii, graniczący z obłędem fanatyzm. Dwie godziny snu, kawałek suchego chleba i 22 dwie godziny rewolucyjnego szafu. Czerwona gorączka.

Plus oczywiście wewnętrzne czystki, podżas których wyrzucano z szeregów „plugawych faszystów”. Tarzanie się w moralnym bagnie samokrytyki, wzajemne szpiclowanie i donosy. Innymi słowy – znana nam świetnie bolszewicka ohyda.

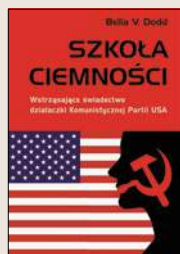
Dodd musiała bezkrytycznie podążać za zygzakowaną linią partii. W latach 30.

największym złem byli hitlerowcy. W 1939 r. hitlerowcy z dnia na dzień stali się najlepszymi przyjaciółmi „proletariatu”. A w czerwcu 1941 r. znowu okazali się „potworami”. Trudno się czasami było w tym połapać!

Rewolucjonistą było się non stop. 24 godziny na dobę. Pani Dodd musiała dla partii poświęcić wszystko. Rzucił ją mąż, nie miała rodziny ani przyjaciół. „Sprawa” była najważniejsza. Aż wreszcie pojawiły się wątpliwości. A wtedy jej dotychczasowi towarzysze rzucili się na nią z furią jak sfera wściekłych psów. Każdego odszczepieńca należało zagryźć, rozszarpać na kawałki.

Została oskarżona o wszelkie możliwe zbrodnie i stanęła przed sądem partyjnym. Gdyby działała się to w Sowietach albo gdyby komuniści rządili w Ameryce, dostałaby kulę w potylicę. A tak – została tylko upokorzona, opluta i wyrzucona z partii.

I bardzo dobrze, bo dzięki temu napisała książkę, która odsoniła kulisy działania bolszewików. To, że celem tej ideologii nie było wcale – jak twierdzili jej wyznawcy – wyzwolenie człowieka. Była nim totalna kontrola nad człowiekiem. Każdym człowiekiem na ziemi. ©©



★★★★★
BELLA V. DODD
„SZKOŁA CIEMNOŚCI”
AA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kariera Nikodema Dyzmy

Bez wątpienia największy sukces literacki II RP stał się udziałem Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Czytali go wszyscy: kucharki, kierowcy, arystokratki, inteligencja. Jego kolejne powieści drukowano w odcinkach (co automatycznie zwiększało nakład gazet), a razem z ostatnią częścią wydawano w formie książkowej, co przynosiło kolejne zyski. Utwory Mostowicza przenoszono na ekran, scenariusze u niego zamawiali nawet producenci z Hollywood.

Wprawdzie koledzy po piórze odmawiali mu talentu, nazywając jego twórczość „literaturą wagonową”, „brukową” czy „powieściami dla kucharek”, ale Mostowicz nie zwracał na to uwagi i publikował dwie książki rocznie. Był prawdziwym tytanem pracy, drukowanie powieści w odcinkach wymagało nieprawdopodobnej dyscypliny. Nawet wyjeżdżając do znajomych, potrafił tak zorganizować pobyt, że kolejne odcinki trafiały do wydawców.

Jego powieści były rekordy popularności. „Kariera Nikodema Dyzmy”, „Prokurator Alicja Horn”, „Doktor Murek zredukowany”, „Drugie życie doktora Murka”, „Kiwony”, „Znachor”, „Doktor Wilczur”, „Pamiętnik panny Hanki”, „Trzy serca”, „Bracia Dalczy i spółka”. Do wybuchu wojny na podstawie jego prozy zrealizowano siedem filmów (przez sześć lat!!!), w których grały największe gwiazdy

polskiego kina. Wreszcie hollywoodzka Warner Bros. zamówiła u niego dwa scenariusze – Dołęga wywiązał się z zadania, utwory zostały zaakceptowane, ale z powodu wybuchu wojny nie zdążył już otrzymać wynagrodzenia. A przecież zawsze marzył o pracy dla Hollywood, szczególnie o super produkcji z Gretą Garbo i Garym Cooperem. Chociaż twierdził, że „to tylko marzenia, a marzenia mają dlatego taki urok, że się nie spełniają”, to gdyby nie wojna, jego plany mogły się spełnić.

Nawet w czasach PRL jego powieści ekranizowano, w tym dwukrotnie „Kariere Nikodema Dyzmy”. To ponadczasowy temat, łączący w sobie sensacyjny wątek, niedyskrete z życia sfer polityczno-finansowych oraz satyrę obyczajową. Serial, który powstał na podstawie tej powieści (premiera: 6 kwietnia 1980 r.), był ogromnym sukcesem, o czym zadecydowały wierność oryginałowi, barwne przedstawienie życia elit II RP, a przede wszystkim genialne kreacje Romana Wilhelmiego (Dyzma) i Wojciecha Pokory (Ponimirski). Produkcja była tak doskonała, że do dnia dzisiejszego nikt nie odważył się na kolejną ekranizację, nie można bowiem tak traktować komedii „Kariera Nikosia Dyzmy” z 2002 r., luźno opartej na motywach powieści Mostowicza, z akcją przeniesioną w realia III RP. ©©

Pałac Schaffgotschów
w Kopicach
FOT. MARCIN SZALA/WIKIPEDIA



Anna Popek

Jak życie biednej, osieroconej dziewczynki przekształciło się w pasmo zaszczytów, bogactwa i szczęścia dzięki fortunie w spadku

W tym roku w mauzoleum rodu Schaffgotschów w Kopicach w województwie opolskim odbędą się oficjalne uroczystości pogrzebowe z okazji 110. rocznicy śmierci hrabiny Joanny von Schaffgotsch z domu Gryczik von Schomberg-Godula. Pod koniec października 2019 r. w miejscu, gdzie niegdyś stał grób rodziny Schaffgotschów, odbyła się ekshumacja. Szczątki członków rodziny Schaffgotschów zostały złożone w specjalnej trumnie i przeniesione do odrestaurowanego mauzoleum.

Na czerwcowe uroczystości do Kopic wybiera się rodzina zmarłej hrabiny. Hrabiny, która zanim została jedną z najbogatszych kobiet w Europie w pierwszej połowie XIX w., przeszła drogę, na której wykazała się roztropnością, pracowitością i dobrym charakterem. Historia, w której siła dobra odmieniła życie biednej, osieroconej dziewczynki, przekształcając je w pasmo zaszczytów, bogactwa i osobistego szczęścia, wydarzyła się naprawdę – w XIX w. na Górnym Śląsku.

Być może splot tak wielu nieprawdopodobnych i korzystnych zdarzeń mógł zaistnieć po to, by szerzyć dobro i aby pokazywać, że życie można przeżyć pięknie i z pożytkiem dla innych. Do dzisiaj na Górnym Śląsku funkcjonują ufundowane jeszcze przez Joannę kościoły, klasztory, domy budowane dla robotników i szkoły. Materialne ślady jej aktywnego życia widoczne są w wielu miejscach od Bytomia, przez Rudę Śląską, Chebzie, Zabrze, do Gliwic, Wrocławia i Katowic-Panewnik. Ta kobieta zmieniła nie tylko los wielu ludzi, lecz także oblicze przemysłowe Śląska.

Joanna urodziła się 29 kwietnia 1842 r. w Zaborzu-Porębie (obecnie dzielnicy Zabrze) jako córka Johanna Gryczika oraz Antoniny z domu Hain. Jak pisze Irena Twardoch w swojej pracy pt. „Z dziejów rodu Schaffgotschów”, w księdze metrykalnej kościoła w Biskupicach, gdzie odbył się chrzest Joasi, w rubryce „zawód ojca” wpisano, że

Pólsierota hrabina

był „inliegerem”, co mogło oznaczać, iż był „chłopem bezrolnym mieszkającym kątem”.

Gdy Joasia miała trzy lata, na świat przyszła jej siostra. Kilka miesięcy później ojciec dzieci zmarł. Sytuacja materialna matki stała się dramatyczna. Kobieta chciała ponownie wyjść za mąż, jednak z dwojgiem małych dzieci u boku było to niemożliwe. Antonina postanowiła więc oddać starszą córeczkę pod opiekę znajomej służącej – Emilii Lukas, która pracowała w domu Karola Goduli.

Joasia trafiła tam 14 marca 1846 r. Wkrótce potem, we wrześniu tamtego roku, Antonina wyszła za mąż za Stephana Schieronia. Natomiast dzień, w którym Joasia trafiła do domu Karola Goduli, miał się stać przełomowym dniem w jej życiu.

PAŁAC W KOPICACH

Do Kopic nieopodal Opola na Górnym Śląsku przyjechałam pewnego styczniowego wieczoru. Niewielka wieś, zabudowa z czerwonej cegły. Budynki, które niegdyś musiały być bardzo okazałe, obecnie, choć w niezłym stanie, nie pokazują pełni swojej architektonicznej urody.

Na miejscu czekało na mnie trzech lokalnych społeczników i miłośników historii. To dzięki nim pamięć o Joannie Gryczik von Schomberg-Godula i o rodzie Schaffgotschów jest tu pielęgnowana. Odtwarzane są dawne piękne monumenty i pomniki. Ale ten najcenniejszy i największy – pałac Schaffgotschów w Kopicach – do dzisiaj jest w ruinie. Dwie wieże i mury zachowały się dość dobrze.

– Ta wyższa wieża, wbrew pozorom, była wieżą Joanny. Niższa po prawej stronie od wejścia: jej męża, Hansa – opowiadał Maciek Mischok, który pokochał to miejsce, choć od jego domu w Katowicach dzieli je 130 km. On właśnie rozpoczął starania, by odbudować zdewastowane mauzoleum rodziny Schaffgotschów.

Silna pozycja kobiety odzwierciedlona została w architekturze. – Joanna zarabiała znakomicie, ona trzymała w ręku finanse rodu, więc należało to odnotować – mówi Mischok. Pałac w Kopicach był jej perełką. Zaprojektowany został przez Carla Lüdeckego. Do dzisiaj w holu wejściowym widać piękne kafle, które teraz obrasta trawa. Po przeciwnej stronie od wejścia głównego znajdowały się ogrody,

szklarnie i całe morze kwiatów. Joanna lubiła rośliny. Obok pałacu były fontanny, a przed nim piękny staw. Do posiadłości wjeżdżało się przez niewielki ceglany mostek, który stoi do dziś.

– Na mostku stała figura św. Krzysztofa (znajdująca się dziś na wzgórzu uniwersyteckim w Opolu). Na niższej wieży umieszczono postacie strażników, a na najwyższej ustawiono członków rodu – rycerza Siboto Schaffa, półlegendarne założyciela rodu, i gen. Hansa Ulricha Schaffgotscha. Z tyłu pałacu zaś, od strony ogrodu, były figury św. Jądwigi Śląskiej, patronki rodu, i św. Elżbiety – wylicza Mischok.

SPADEK GODULI

Zanim jednak Joanna zaczęła budować i dekorować siedzibę rodu, musiała się sporo nauczyć. No bo czyż biedna pólśierota mogła wykazać się zarówno talentem do zarabiania pieniędzy, odpowiedzialnością społeczną – jakbyśmy to dzisiaj nazwali – jak i znakomitą gustem? Nie ma bowiem wątpliwości, że miała to wszystko.

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy opowiedzieć nieco więcej

REKLAMA



OPOWIEŚĆ O NADZIEI

ANIOŁ Z AUSCHWITZ LEKARZ, KTÓRY OCALIŁ TYSIĄCE

Józef Bellert



Patronat medialny

HISTORIA
.ORG.PL

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

o Karolu Goduli, do którego domu trafiła jako trzylatka. Człowiek ten pochodził z szanowanej rodziny. Majątku dorobił się własną inteligencją, nauką i pracą. Początkowo zarządzał majątkiem hrabiego Ballestrema, potem otrzymał od niego udziały w jednej z hut, a wkrótce sam stał się posiadaczem zakładów przemysłowych. Interesował się chemią i sam przeprowadzał eksperymenty chemiczne, dlatego też jego dom otoczony był złą sławą. Miał zdeformowaną twarz, jego widok budził przerażenie. Być może i z tego powodu Godula był zamknięty w sobie i nie utrzymywał wielu kontaktów towarzyskich.

Ponoć Joasia zobaczywszy po raz pierwszy Karola, po prostu się do niego uśmiechnęła. On zaś przyzwyczajony do tego, że ludzie uciekają wzrokiem bądź spuszczaają oczy, był tym uśmiechem zupełnie zaskoczony. Polubił dziewczynkę, po krótkim czasie zamówił dla niej nauczyciela. Dziewczynka robiła duże postępy, była miła w obyciu i grzeczna. Niedługo potem jej opiekun postanowił przepisać na nią cały swój majątek szacowany wówczas na 2 mln talarów. Posiadał bowiem 19 kopalni galmanu, 40 kopalni węgla kamiennego, trzy huty cynku oraz majątki ziemskie: Szombierki, Orzegów, Bobrek, Bujaków i Paniowy.

Karol Godula miał także siostrzeńców, którzy jako najbliżsi krewni spodziewali się odziedziczyć majątek. Widząc jednak ich płochy charakter, rozrzutność i lenistwo, uznał, że lepiej będzie przepisać wszystko wychowywanej przez siebie dziewczynce.

Godula zmarł w lipcu 1848 r. podczas podróży do Wrocławia. Otwarcie jego testamentu było wówczas europejską sensacją, a niedoszli spadkobiercy postanowili ostatnią wolę unieważnić. Maksymilian Scheffler, opiekun

prawny, którego Godula przed śmiercią ustanowił dla Joasi, dzielnie walczył w sądach, by woli Goduli stało się zadość. W pewnym momencie sytuacja stała się tak niebezpieczna, że dziewczynkę musiano ewakuować w obawie o jej życie. Ukrywała się wówczas u sióstr urszulanek we Wrocławiu.

Po kilku latach testament się uprawomocnił, a opiekun prawny Joanny wystarał się o nobilitację dla swej podopiecznej i ta od króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV otrzymała szlachectwo oraz nazwisko Gryczik von Schomberg-Godula oraz własny herb, który zawierał narzędzia górnicze – skrzyżowane pyrilik i żelazko na złotym klinie na błękitnej tarczy.

Kiedy dziewczyna skończyła 16 lat, postanowiono wydać ją za mąż. A była znakomitą partią – najbogatsza panna na Śląsku, dobrze wykształcona, obyta, ładna i religijna. O jej rękę starało się

kilku konkurentów, w tym pewien Wielkopolek, ale Joasia postanowiła oddać serce i majątek Hansowi Ulrichowi Schaffgotschowi. Człowiek ten, choć niezamożny, pochodził ze znakomitej arystokratycznej rodziny, która na Śląsku obecna była od średniowiecza i była powiązana z Piastami śląskimi.

Mariaż bogatej chłopki ze zubożałym hrabią okazał się być bardzo udany, a małżonkowie doczekali się czworga dzieci. Piękny witraż przedstawiający małżonków znajduje się do dziś w kościele w Goduli.

W 1865 r., gdy Joanna ukończyła 23 lata, uznano ją za pełnoletnią i samodzielnie finansowo. Mogła już sama zarządzać majątkiem. Doskonale wiedziała, jak lokować pieniądze, nie była też nadmiernie rozrzutna. Pomnożyła majątek Goduli kilkakrotnie. Zawsze bardzo leżało jej na sercu dobro prostego ludu,

robotników, ich żon, dzieci. Trzeba zaznaczyć, że dzięki dobrej edukacji odebranej w dzieciństwie (najpierw w domu Goduli, potem w klasztornej szkole sióstr urszulanek, a później pod okiem dyplomowanej nauczycielki z Wiednia) wiedziała więc, że kształcenie dzieci to podstawa w kształtowaniu nowego społeczeństwa. Fundowała więc szkoły, m.in. w Goduli i Chebziu. Ta druga działa do dziś.

Fundowała też ochronki, szpitale i kuchnie mleczne. Podobno, gdy spotykała się z podopiecznymi, zawsze zakładała strój górnośląski jako wyraz szacunku do tej ziemi i jej kultury.

Joanna była także bardzo religijna. Ufundowała kilka klasztorów, łożyła na ich utrzymanie, a w niektórych kościołach i zgromadzeniach ustanowiła msze wieczyste w intencji duszy własnej i najbliższych jej osób. Wybudowała też kościół. Znajduje się w nim krypta grobowa Karola Goduli, do której Joanna w 1909 r. przeniosła szczątki opiekuna z wrocławskiego cmentarza, na którym pierwotnie spoczął.

Przy neogotyckim kościele, który niedawno został odrestaurowany, jest też piękna figurka Matki Bożej, kopia tej ufundowanej jako wotum dziękczynne za szczęśliwe dzieciństwo Joanny.

Historię Joanny i rodu Schaffgotschów nieustannie interesują się historycy, pasjonaci i miłośnicy śląskiej ziemi. Na ich temat powstało wiele opracowań, książek i artykułów. Jedną z pasjatek jest kustosz rudzkiego muzeum Irena Twardoch, autorka pracy „Z dziejów rodu Schaffgotschów”, która ponad 20 lat temu w poszukiwaniu materiałów nawiązała kontakt z Hansem Ulrichem Schaffgotschem, prawnikiem Joanny i Hansa Ulricha.

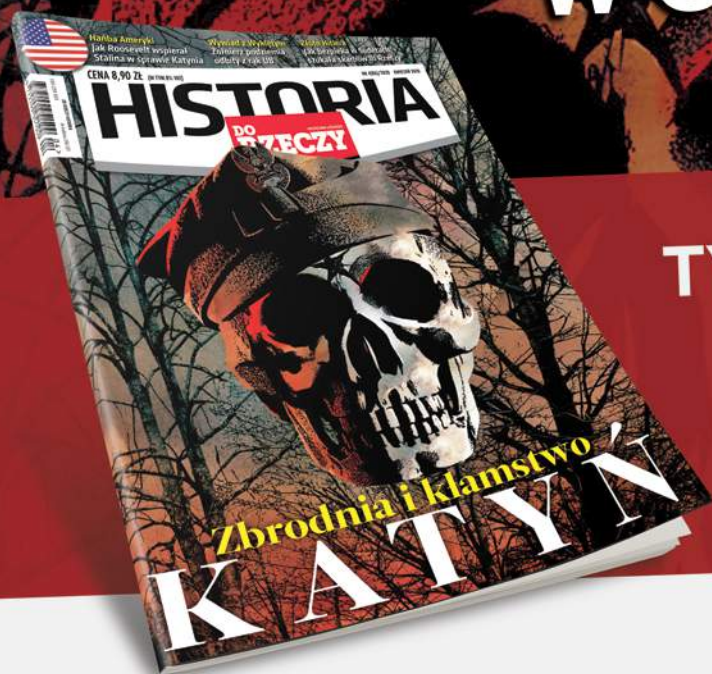
W tym roku w Kopicach odbędzie się powtórny pochówek małżonków w tutejszym mauzoleum. Zostało ono odrestaurowane m.in. dzięki staraniom Macieja Mischocka oraz osób skupionych przy parafii. pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Kopicach. Aż 650 tys. zł przekazało na cel odbudowy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Powtórny uroczysty pochówek zorganizowano dlatego, że zaraz po wojnie zwłoki panów tej ziemi – Joanny i Hansa Schaffgotschów – zostały sprofanowane, rozwłócone po okolicznym parku, a groby splądrowano. Teraz dawni właściciele wracają na miejsce.

© Wszelkie prawa zastrzeżone.
Autorka jest dziennikarką TVP.



Pomnik Joanny Gryczik-Goduli w Opolu. Fot. Wikipedia

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Wywiad z żołnierzem
wyklętym odbitym
z rąk UB**

- Thomas Urban – **Roosevelt po stronie Sowietów**
Maciej Rosalak – **Generałowie zgładzeni w Katyniu**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica lotu JAT 367**
Grzegorz Janiszewski – **Kiszczak na tropie złota Hitlera**
Sławomir Koper – **Polski terrorysta w Nowym Jorku**
Mikołaj Iwanow – **Gehenna węgierskich jeńców**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Paradoks niemocy**
Tomasz Stańczyk – **Burzliwa młodość Piłsudskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Bracia Jan, Zbyszek i Jacek Stefańscy jako zespół KANT w czasie próby. Koniec lat 70. FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ZBIGNIEWA STEFAŃSKIEGO



Radosław Peterman

Przez 36 lat nie udało się wyjaśnić, kto śmiertelnie pobił Jacka Stefańskiego. Czy opieszałość prowadzących przed laty postępowanie wynikała z chęci ochrony sprawców?

*„Nie, nie umarł dla nas czas
i jeszcze tyle ciepła w Nas*

*Bo trzeba wierzyć, wierzyć, wierzyć
aby gdzieś dojść, by żyć, by trwać ...”*

Zbyszek, najstarszy z nich – to poeta, Jaś, średni – był z nich najlepszy, a Jacek, najmłodszy – był wesołkiem. To bracia Stefańscy. Zaczęli swoją podróż w „kraję łagodności” jako zespół KANT w 1974 r. w klubie Merkury w Kielcach. Razem z nimi wtedy grali jeszcze

Śmierć za melodię

Maksymilian Ziętek i Jarosław Chrzastek „Horacy”. Podstawą muzykowania braci Stefańskich były ich słuch i improwizacja. „Jak różni, a jednak niezwykle zgodni w muzykowaniu chłopcy Stefańscy opętani przez osobliwą pasję, grają w domu, w klubie, na ulicy”, tak ich scharakteryzowała w 1977 r. Anna Dąbrowska w artykule „Ballady »rabarbarowych chłopaków«”, który ukazał się w „Echu Dnia”. Według Zbyszka Stefańskiego, „Jacek ma spory głos, tyle że nie chce śpiewać, kocha swoje flety. Ma ich osiem i ze wszystkich robi muzyczny użytek”. Potrafił swoją grą rozbawić dzieci w szpitalu na oddziale onkologicznym we Wrocławiu. Umiał też zachwycić osoby zawodowo zajmujące się muzyką. Jacek 2 sierpnia 1983 r. także zagrał na swoich instrumentach. Niestety, tym razem znalazły się osoby, którym nie spodobało się jego granie.

„MURY” NOCĄ

Był to pierwszy Jarmark Dominikański po zniesieniu stanu wojennego. Nareszcie można było bawić się na ulicach Gdańska do późnych godzin wieczornych. Jacek i Jan Stefańscy postanowili spotkać się wieczorem i spróbować pograć w jakiejś kawiarni. Wspólnie udali się do kawiarni Flisak’76. To ciemna, ponura i ciasna, a zarazem przytulna piwnica, prowadzona od 1976 r. Z początku znana w całym Gdańsku restauracja przez lata ewoluowała do miana pierwszego koktajlbaru w mieście.

W tamtym dniu kawiarnia była pełna, wręcz brakowało miejsc. Pomimo to weszli tam. Z początku Jacek chciał coś zagrać dla publiczności, ale obsługa poprosiła go, aby tego nie robił. W końcu udało im się usiąść przy jakimś stoliku, zjedli kolację i wypili po lampce wina. Z Flisaka wyszli gdzieś po 23 i udali się w stronę domu, rozpoczynając swoją wspólną wędrówkę ulicą Piwną, a następnie Kołodziejską, by skierować się w stronę kościoła św. Katarzyny. Na wysokości baszty Jacek, najmłodszy z braci Stefańskich, wyciągnął flet i zaczął grać melodię piosenki „L’Estaca” (co w języku polskim znaczy „pa”), skomponowanej w 1968 r. przez katalońskiego pieśniarza Lluísa Llach. Piosenka Llach’a zyskała wielką popularność w Katalonii. Często była śpiewana na koncertach i manifestacjach przeciwko gen. Francisco Franco. Po tym, gdy jej wykonywanie zostało zakazane przez hiszpańskie władze, na demonstracjach nucono samą melodię.

Polskie słowa do tej muzyki napisał Jacek Kaczmarski w 1978 r. i nadał jej tytuł „Mury”. Kaczmarski w polskim tekście m.in. napisał, że: „Sama melodia bez słów niosła ze sobą starą treść”, niejako w ten sposób nawiązywał do losów pieśni Lluísa Llach’a. Jednak nie wiedział jeszcze wtedy, że antycypuje losy polskiej wersji. Piosenka pierwotnie wykonywana była przez Kaczmarskiego, Przemysława Gintrowskiego i Zbigniewa Łapińskiego jako finał programu muzycznego „Mury”. Wersja Kaczmarskiego bardzo szybko się przyjęła i zaczęła rozbrzmiewać w środowisku opozycji. Kiedy latem 1980 r. narodziła się Solidarność, „Mury” stały się nieoficjalnym hymnem związkowców. I tak samo jak w Hiszpanii „Mury” dosyć szybko stały się zakazaną piosenką. Jednak pomimo zakazu śpiewano ją w okresie stanu wojennego, a gdańska radiostacja Radia Solidarność rozpoczynała swe audycje fragmentem melodii „Murów”, granej właśnie na flecie.

I właśnie ta melodia na pustej ulicy wbrzmiewała z fletu Jacka. W pewnym momencie w okolicy skweru przy ul. Wielkie Młyny ktoś krzyknął: „Przestań grać, gówniarzu”. Również i Jan poprosił brata, aby ze względu na późną porę jednak przestał grać. Jacek schował flet i razem z bratem ruszyli dalej. Na wysokości kościoła św. Katarzyny, znajdującego się przy ul. Rajskiej, niespodziewanie podeszło do nich dwóch mężczyzn, którzy, jak się okazało, szli cały czas za nimi już od skweru przy ul. Wielkie Młyny. Wtedy bez żadnego powodu ci mężczyźni zaczęli bić braci. Wyższy, ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w ciemną skórzaną kurtkę z apaszką na szyi, uderzał Jacka po twarzy pięściami. Chwilę potem Jacek upadł, uderzając głową o chodnik, i stracił przytomność. Jan w tym samym czasie został zaatakowany przez niższego mężczyznę, blondyna ubranego w błękitną dresową z napisem „Oxford”. Jan dzięki temu, że się zasłonił, otrzymał słabsze ciosy i na szczęście nie upadł. Niestety, Jan nie pamiętał, ile uderzeń i jakich otrzymał Jacek. Z chwilą, gdy Jacek upadł na ziemię, napastnicy natychmiast uciekli w stronę ulicy Katarzynki. Całe zdarzenie trwało nie dłużej niż 20 sekund.

W okolicy nikogo nie było. Jan podeszedł do leżącego Jacka. Zobaczył, że był zamroczony, miał rozciętą wargę i leciała mu krew z nosa. Gdy Jacek się ocknął, Jan spytał go, czy wszystko w porządku. Brat odpowiedział: „Ale mnie trafił. Nic mi się nie stało”. Po chwili do braci Stefańskich podeszli dwaj inni, też nieznani im

mężczyźni, z którymi chwilę porozmawiali. Bracia spyтали ich, czy widzieli sprawców pobicia. Mężczyźni zaprzeczyli. Jan chciał zdarzenie to zgłosić na milicję, natomiast Jacek nie chciał tego robić. Towarzyszący im mężczyźni też poparli Jacka i dodali, że zamiast przyjąć zgłoszenie o zdarzeniu, jeszcze „wezmą was na izbę wytrzeźwień”. Na chwilę usiedli na ławeczce, aby odpocząć. Około północy przybyli do domu. Jeszcze trochę porozmawiali ze sobą i z „Horacym” Chrzastkiem, który w tym dniu przybył do Stefańskich. Bracia zrelacjonowali całe zajście „Horacemu”. Jacek w trakcie tej opowieści stwierdził, że nawet dość mocno dostał.

Następnego dnia późnym popołudniem Jacek trafił do szpitala na oddział Chirurgii Intensywnej Opieki Medycznej Akademii Medycznej w Gdańsku, gdzie w obawie o jego życie dokonano obustronnej trepanacji czaszki, w czasie której usunięto krwaki.

Jan Stefański już 4 sierpnia próbował zgłosić pobicie w Komisariacie II MO w Gdańsku. Tam polecono mu, by zgłosił się do dzielnicowego z rejonu, gdzie doszło do napaści. Z dzielnicowym Jan spotkał się dopiero następnego dnia. Niestety, i ten funkcjonariusz nie chciał przyjąć zgłoszenia. Powiedział, że takie pobicie może zgłosić tylko szpital.

Niestety, zabieg ratujący życie okazał się nieskuteczny. 9 sierpnia 1983 r. do rodziny Stefańskich dotarła smutna wiadomość, że Jacek zmarł. W rzeczywistości doznał on złamania czaszki i podstawy czaszki, krwaków pod- i nadwardówkowych, stłuczenia mózgu i pnia mózgu oraz obustronnego złamania żuchwy. Takie obrażenia były wynikiem ciosów zadanych przez rękę wprawioną w sztukach walki.

UŁOMNE ŚLEDZTWO

Prokurator Cezary Głowacki z Prokuratury Rejonowej w Gdańsku wspólnie z funkcjonariuszem MO Leszkiem Myślińskim z Komisariatu II Milicji Obywatelskiej w Gdańsku wszczęli 16 sierpnia postępowanie, które miało na celu ustalenie sprawców pobicia ze skutkiem śmiertelnym Jacka Stefańskiego.

W tej sprawie Jan został przesłuchany już tego samego dnia, ale innych czynności nie rozpoczęto. Dopiero po interwencji adwokata Piotra Mańki-Winieckiego (m.in. pełnomocnika Danuty Wałęsy w sprawie internowania jej męża) postanowiono sporządzić portret pamię-

ciowy sprawców. Taki portret został przygotowany jednak 21 października.

Z zachowanych dokumentów miało wynikać, że w tym samym dniu Jana Stefańskiego poproszono do Sekcji Ewidencji i Poszukiwań Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku, gdzie miano mu okazać zdjęcia sygnalistyczne osób notowanych przez MO. Według milicjantów Jan nikogo nie rozpoznał. Faktycznie jednak takiego spotkania nie było. Notatkę sporządził funkcjonariusz MO Bogdan Kamionek. Jak się okazało, funkcjonariusz świadomie skłamał i wprowadził w błąd prokuraturę nadzorującego dochodzenie. Tutaj warto wspomnieć, że funkcjonariusz był w tym czasie objęty postępowaniem prowadzonym przez Prokuraturę Marynarki Wojennej.

Mijały kolejne dni, a śledztwo ciągle stało w miejscu. Prowadzący je funkcjonariusz MO Leszek Myśliński postanowił je wstrzymać, ponieważ Zakład Kryminalistyki jeszcze nie nadesłał portretów pamięciowych. 31 stycznia 1984 r. Komisariat II MO w Gdańsku ponownie zwrócił się o nadesłanie portretu. Zakład Kryminalistyki stwierdził, że taki portret już wysłał w listopadzie ubiegłego roku. W efekcie dopiero pod koniec marca 1984 r. w prasie i telewizji ukazał się komunikat o poszukiwaniu podejrzanego mężczyzny i świadków.

Niestety, nikt się nie zgłosił. Milicja twierdziła, że w śledztwie wykonała wiele czynności procesowych, takich jak: przesłuchanie świadków, przeprowadzenie sekcji zwłok, powołanie biegłego z zakresu medycyny, sporządzenie portretu pamięciowego jednego ze sprawców pobicia i opublikowanie go w prasie i telewizji wraz z komunikatem. A także przeprowadziła czynności pozaprocesowe, ale w aktach nie zachowały się ślady tych działań. A może tych czynności nie było? Wobec wyczerpania możliwości zmierzających do ustalenia sprawców pobicia Komisariat II MO w Gdańsku 30 kwietnia 1984 r. postanowił umorzyć dochodzenie z powodu niewykrycia sprawców przestępstwa.

Na szczęście Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku 7 czerwca 1984 r. nakazała, aby Prokuratura Rejonowa w Gdańsku ponownie podjęła umorzone dochodzenie. Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej Tadeusz Markowski stwierdził, że dotychczasowe śledztwo prowadzone przez Komisariat II MO

w Gdańsku nie miało właściwego nadzoru prokuratorskiego, co spowodowało jego przewlekłość. Wiceprokurator zwrócił też uwagę, że portrety pamięciowe sprawców pobicia Jacka i Jana nie odpowiadały opisowi podanemu przez Jana. W trakcie kontroli postępowania przez prokuraturę wojewódzką okazało się, że notatka z 21 października 1983 r. dotycząca okazania



Jacek Stefański.
Fotografia
najprawdopodobniej
z końca lat 70.
FOT. DZIĘKI UPRIĘŻYMOŚCI ZBIGNIEWA
STEFAŃSKIEGO

Janowi zdjęć sygnalistycznych została sfałszowana, okazania bowiem w rzeczywistości nie było. W tej sprawie wiceprokurator domagał się konsekwencji służbowych wobec autora. Czy faktycznie został on ukarany, tego nie wiadomo. Ponadto okazało się, że milicjanci nie wykonali czynności operacyjnych w lokalach gastronomicznych i rozrywkowych na terenie Starego Miasta. Nie określono dokładnie miejsca zdarzenia, nie wykonano szkicu sytuacyjnego. Nie dążono do ustalenia, czy i kto widział zajście z okien domów, względnie słyszał grę na flecie lub inne dochodzące z ulicy odgłosy. W efekcie 12 czerwca 1984 r. Prokuratura Rejonowa w Gdańsku ponownie wszczęła śledztwo.

Jan Stefański został ponownie przesłuchany już 19 czerwca 1984 r. przez por. Mirosława Borowczyka, funkcjonariusza MO z Wydziału Dochodzeniowego MUSW w Gdańsku (ten funkcjonariusz później prowadził dochodzenia przeciwko uczestnikom demonstracji z 1 maja 1985 r., a następnie został oskarżony o przyjęcie łapówek). W trakcie tego

przesłuchania dodał kolejne szczegóły dotyczące feralnego dnia. Ale te szczegóły nie interesowały milicjantów. Skupili się oni na tym, czy o pobicie podejrzewa się funkcjonariuszy MO lub SB oraz kto położył kartkę na grobie Jacka Stefańskiego z napisem „Zginął za przekonania polityczne – Solidarność”. Wypytywani byli m.in. Małgorzata Zwierchowska i Olek Grotowski. Oprócz tych przesłuchań i sporządzenia jedynie szkicu sytuacyjnego milicja innych działań nie podjęła. W związku z tym 12 października 1984 r. prokurator Cezary Głowacki umorzył ponownie śledztwo.

KRYLI SPRAWCÓW?

Sprawą w 1991 r. zajęła się Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW (tzw. komisja Rokity). Niestety, jej członkowie zapoznali się tylko z zachowanymi aktami dochodzeniowymi i nic w nich podejrzanego nie zauważyli. Uznali argumenty prokuratora zawarte w postanowieniu umorzenia za zasadne i w związku z tym postanowili zakończyć badanie sprawy.

Szkoda, że potraktowali ją tak szybko i pobieżnie. Warto zwrócić uwagę, że prokurator nadzorujący to śledztwo często oskarżał osoby biorące udział w manifestacjach i protestach w Gdańsku po 13 grudnia 1981 r. Nie zwrócono uwagi na osobę, która była odpowiedzialna za sporządzenie portretów pamięciowych. W tamtym okresie była objęta postępowaniem prokuratorskim. Z kolei funkcjonariusz Leszek Myśliński, prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Jacka Stefańskiego, wcześniej pełnił służbę w ZOMO, a następnie w SB w Wydziale V KW MO w Gdańsku.

Być może zatem opieszałość prowadzących postępowanie wynikała z chęci ochrony sprawców. Sposób pobicia Jacka wskazuje, że było dziełem osoby znającej sztuki walki. A konkretnie jednego z funkcjonariuszy ze szkoły MO w Słupsku, którzy przyjechali pobawić się w ramach Jarmarku Dominikańskiego. Być może ta opieszałość w postępowaniu wynikała z degrengolady funkcjonariuszy, którzy pracowali w tamtym czasie w gdańskiej milicji. Wielu z nich sprawniej pracowało dopiero po przyjęciu łapówki.

Niestety, przez 36 lat nie udało się wyjaśnić, kto był sprawcą zabójstwa Jacka Stefańskiego. Może jednak uda się wyjaśnić, kto mataczył w tej sprawie?

HONOROWY PATRONAT



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



WIZJONERZY ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2020–2023”

GAŁA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020”

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY MERYTORYCZNI



Polskie
Towarzystwo
Diabetologiczne



ORGANIZATOR



Polska Koalicja
Pacjentów Onkologicznych





Unia oblała test z koronawirusa



Olivier Bault

Uderzając w pierwszej kolejności we Włochy, wirus zaimportowany z Chin trafił w najbardziej czuły punkt strefy euro. Brak odpowiedniej reakcji unijnych instytucji stanowi zagrożenie dla całej strefy euro i dla stabilności europejskiej waluty

Strefę euro może czekać powtórka kryzysu z 2008 r., jeżeli kraje członkowskie nie wypracują skoordynowanej reakcji na miarę zagrożenia – ostrzegła podczas konferencji prasowej 12 marca Christine Lagarde, prezes Europejskiego Banku Centralnego (EBC). Nie zapewniła jednak, jak to zrobił jej poprzednik Mario Draghi w 2012 r., iż EBC zrobi wszystko, co tylko możliwe, aby zatrzymać kryzys. Decyzja o braku obniżenia już i tak ujemnych stóp procentowych – główna stopa referencyjna pozostała na poziomie -0,5 – była dla rynków finansowych sygnałem, że po

latach taniego kredytu i tzw. luzowania ilościowego, czyli dodrukowywania pieniędzy, EBC jest już u kresu swoich możliwości. Wrażenie to wzmocniła wartość zapowiedzianego zastrzyku dla gospodarki strefy euro, w wysokości 120 mld euro, co stanowi tylko ułamek wartości „luzowania ilościowego” w latach po kryzysie finansowym z 2008 r. Jest to też rażąco mało w porównaniu z zastrzykiem gotówki w wysokości ponad 500 mld dol. zapowiedzianym przez amerykańską Rezerwę Federalną w tym samym dniu przy jednoczesnym obniżeniu stóp o prawie cały punkt procentowy, do poziomu 0–0,25 proc.,



Epidemia koronawirusa doprowadziła do krachu na włoskiej giełdzie

FOT. FRANCESCA VOLPI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

łała wciekłość u liderów politycznych Włoch, włącznie z premierem Conte i prezydentem Mattarellą, którzy zmagają się od kilku tygodni z epidemią koronawirusa, lecz także doprowadziła do dalszej zwwyżki stóp procentowych na obligacjach włoskich. W następstwie konferencji prasowej Christine Lagarde, a także decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby wstrzymać ruch pasażerski ze strefy Schengen, 12 marca był czarnym czwartkiem na giełdach światowych. Główne indeksy w Europie spadały średnio o 12 proc., a giełda w Mediolanie nawet o niemal 17 proc. w ciągu jednego dnia. Pod koniec dnia spread na obligacjach włoskich osiągnął 273 punkty bazowe, co zmusiło najbardziej Europejski Bank Centralny do wydania komunikatu, w którym zapewniał on, że w razie potrzeby będzie reagował na rosnące spready oraz że może jeszcze dostosować swój program wykupu obligacji państwowych do sytuacji i nie wyklucza obniżenia stóp procentowych w przyszłości.

CZUŁY PUNKT STREFY EURO

Te zapowiedzi nieco uspokoiły sytuację, ale pokazały, jak bardzo problem Włoch może zachwiać całą strefą euro. Już przed epidemią koronawirusa, która zaczęła rozprzestrzeniać się we Włoszech w drugiej połowie lutego, Włochy były w trudnej sytuacji gospodarczej i finansowej. Uderzając w pierwszej kolejności we Włochy, wirus zaimportowany z Chin trafił w najbardziej czuły punkt strefy euro. W lipcu ubiegłego roku agencja ratingowa Standard and Poor's przestrzegała przed ryzykiem powtórki kryzysu greckiego na dużo większą skalę, gdyż PKB Włoch stanowi nie 2 proc. – tak jak w przypadku Grecji – ale 15 proc. gospodarki całej strefy euro. Od 2010 r. gospodarka Włoch wzrosła realnie o 0,6 proc. wobec 10,6 proc. dla całej strefy euro, zauważono w raporcie S&P, a choć Włochy są dużo bogatsze od Grecji, cierpią na podobny brak elastyczności rynku pracy i mają podobną strukturę produkcji, twierdziła agencja ratingowa. Zadłużenie finansów publicznych Włoch na koniec 2018 r. odpowiadało aż 134,8 proc. wartości rocznego PKB kraju. W przypadku Grecji było to 103,1 proc. w 2007 r., czyli w roku, kiedy rozpoczął się ostatni wielki kryzys finansowy, i 126,7 proc. w 2009 r. – w roku poprze-

dzającym pierwszy plan restrukturyzacji narzucony przez Unię, aby utrzymać Grecję w strefie euro.

Decyzja o ogólnokrajowej kwarantannie podjęta w drugim tygodniu marca w celu zatrzymania epidemii koronawirusa, po wcześniejszych spustoszeniach, które epidemia poczyniła w sektorze turystycznym warty 13 proc. PKB Włoch, z całą pewnością wpędzi wiele małych i średnich firm w tarapaty, a i te większe czekają trudne czasy, zwłaszcza w niektórych sektorach. Po quasi-stagnacji PKB z lat 2018–2019 (+0,2 proc. w 2019 r.) zamiast spodziewanego wzrostu na poziomie 0,6 proc. w 2020 r. bardziej niż prawdopodobna stała się recesja w tym roku, co pogorszy jeszcze bardziej stosunek deficytu finansów publicznych do PKB po ogłoszeniu przez premiera Giuseppe Contego planu walki z epidemią i jej skutkami wartego 25 mld euro. Po raz pierwszy od kryzysu z 2008 r. deficyt finansów publicznych Włoch ma przekroczyć w tym roku wartość 3 proc. rocznego PKB, gdyż rządowy plan przewiduje już podniesienie rocznego deficytu z 2,2 proc. do 3,3 proc. PKB. O ile Komisja Europejska wyraziła na to zgodę, ponieważ mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową, a nie ze strukturalnym deficytem, i o ile pakiet pomocy oraz ulg dla firm jest bez wątpienia czymś niezbędnym, żeby nie doszło do krachu gospodarczego wywołanego falą bankructw, o tyle Włochy mogą nie poradzić sobie ze swoim rosnącym zadłużeniem i z ryzykiem wzrostu spreadu bez pomocy z zewnątrz. Pakiet 37 mld euro zaproponowany w połowie miesiąca przez Komisję Europejską na rzecz walki z epidemią i jej skutkami w Unii niewiele zmienia, jeśli chodzi o sytuację finansową samych Włoch, tym bardziej że tylko mała część tej kwoty może trafić właśnie do nich.

Paradoksalnie, sytuacja, która sama w sobie stanowi zagrożenie dla całej strefy euro i dla stabilności europejskiej waluty, może przyczynić się do przyjęcia przez Włochy reformy Europejskiego Mechanizmu Stabilności (ESM, od angielskiego European Stability Mechanism). Mechanizm ten został stworzony w 2012 r. jako reakcja na kryzys zadłużeniowy Grecji, aby zapobiegać przyszłym kryzysom. Jego celem jest przywracanie stabilności finansowej krajów przeżywających trudności lub będących zagrożonymi takimi trudnościami, co mogłoby rzutować na stabilność wspólnej waluty i wszystkich gospodarek strefy. Docelowo ESM

czy nawet w porównaniu z działaniami Banku Anglii, mającymi zasilć kredyty dla firm kwotą bliską 300 mld funtów wraz z obniżeniem stóp procentowych z 0,75 proc. do 0,25 proc.

Tym, co zdaniem wielu komentatorów wywołało największy popłoch na rynkach finansowych, było jednak stwierdzenie pani Lagarde, że w gestii EBC nie leżą działania mające na celu zmniejszenie różnic stóp procentowych między obligacjami krajów strefy euro a obligacjami niemieckimi (tzw. spreadu), które są uważane przez inwestorów za najbardziej pewne. Ta niefortunna wypowiedź nie tylko wywo-

może dysponować kapitałem 700 mld euro, w tym 80 mld w postaci rezerw już wpłaconych przez kraje strefy euro oraz 620 mld w postaci dozwolonych emisji papierów dłużnych średnio- i długoterminowych. Na czele ESM stoi przewodniczący Eurogrupy, tj. ciałą decyzyjnego Unii Gospodarczej i Walutowej, składającego się z ministrów finansów państw strefy euro.

SUWERENNOŚĆ ZA ZASTRZYK FINANSOWY

Pod presją prawniczej opozycji Rzym blokował reformę ESM wynegocjowaną w ramach Eurogrupy w 2019 r. Na razie ESM udzielił pożyczek Irlandii, Portugalii, Grecji i Cypru oraz wspomógł Hiszpanię w rekapitalizacji banków. Zarówno prawicowa opozycja, jak i będący w koalicji rządowej Ruch 5 Gwiazd (M5S) zarzuca premierowi Contemu, że uzgadniając reformę ESM w czerwcu 2019 r., nie referował jej w parlamencie, podczas gdy reforma ta mogłaby mieć bardzo poważne skutki dla suwerenności kraju w razie kryzysu. Reforma ta ustanawia jako nadrzędne cele ESM – przed przywróceniem stabilności finansowej ratowanego kraju – interesy całej strefy euro oraz systemu bankowego. Dlatego też procedurę ratowania systemu bankowego danego kraju można będzie uruchomić automatycznie tylko w przypadku krajów, które przestrzegały kryteriów stabilności finansów publicznych, a w przypadku krajów takich jak Włochy pomoc będzie zależała od decyzji podjętej przez kredytodawców i towarzyszyć jej będzie plan restrukturyzacji długów narzucony odgórnie.

W obliczu kryzysu gospodarczego i finansowego rząd Giuseppe Contego może być teraz zmuszony zgodzić się na oddanie części swojej suwerenności na rzecz Eurogrupy, aby móc otrzymać natychmiastowy zastrzyk finansowy w ramach Europejskiego Mechanizmu Stabilności.

Jednocześnie nastroje we Włoszech w obliczu zachowań europejskich partnerów Włoch mogą nie sprzyjać dalszej integracji europejskiej. Gdy w pierwszej połowie marca pacjenci coraz liczniej umierali w szpitalach Lombardii z powodu braku respiratorów, rząd włoski wystosował do europejskich partnerów apel za pośrednictwem instytucji europejskiej o wysyłanie respiratorów, masek i innych artykułów służących ochronie personelu medycznego.

Tymczasem Francja i Niemcy zakazały na początku marca eksportu sprzętu medycznego w obawie, że także u nich może go wkrótce zabraknąć. Pierwszym krajem, który dostarczył transport z pomocą, o którą prosili Włosi, były Chiny. Samolot z potrzebnym sprzętem dotarł do Włoch 12 marca. Dopiero po dotarciu do Włoch 30 ton chińskiej pomocy wraz z ekipą dziewięciu chińskich lekarzy dwa największe kraje Unii zgodziły się pod presją Komisji Europejskiej i innych krajów członkowskich znieść w połowie marca zakaz eksportu w zamian za wprowadzenie zakazu eksportu takich wyrobów poza Unię. Wtedy (15 marca)

Test z koronawirusa to już trzeci z rzędu egzamin oblany przez Unię Europejską w sytuacjach kryzysowych

liczba zgonów z powodu koronawirusa we Włoszech przekraczała już 1,8 tys. (w tym 368 w ciągu ostatniej, jednej doby!) przy ok. 22 tys. chorych, zakażonych wirusem SARS-CoV-2.

Jednym z problemów na poziomie unijnym jest to, że poszczególne kraje przyjęły różne strategie wobec epidemii. Podobnie jak Wielka Brytania – lecz z tą różnicą, że nie mówiły tego głośno – po wybuchu epidemii, której gwałtowny rozwój we Włoszech nastąpił od 21 lutego, Francja i Niemcy przyjęły założenie, że choroby nie da się zatrzymać, tylko trzeba ją hamować w taki sposób, aby nie przeciążać w żadnym momencie służby zdrowia, jak to nastąpiło w sposób dramatyczny w Lombardii. Dlatego też, podczas gdy zdiagnozowano już ponad 300 przypadków osób zarażonych chińskim koronawirusem w północnych Włoszech na dzień 25 lutego, władze Francji pozwoliły mimo wszystko na przyjazd do Lyonu ok. 3 tys. włoskich kibiców na mecz piłki nożnej Turyn–Lyon. Dopiero od 15 marca zamknięto szkoły, uniwersytety, kina, teatry, muzea, restauracje, kawiarnie czy inne tego typu miejsca we Francji, kiedy epidemia była już poza wszelką kontrolą, z liczbą ok. 5,3 tys. znanych przypadków i 127 zgonów według liczb podanych do wiadomości 16 marca. W tym samym dniu Niemcy miały 4,8 tys. stwierdzonych

przypadków, a Hiszpania, gdzie rząd wprowadził w tym samym czasie stan wyjątkowy dopiero pod presją wspólnot autonomicznych, a zwłaszcza Katalonii, Kraju Basków i regionu Madrytu, liczyła już prawie 7,7 tys. zdiagnozowanych przypadków i odnotowywała progresję epidemii szybszą niż na podobnym etapie we Włoszech. O ile w Hiszpanii brak odpowiednich decyzji na wczesnym etapie epidemii wydaje się spowodowany błędami w ocenie sytuacji przez premiera Sáncheza oraz trudnościami decyzyjnymi w ramach koalicji rządowej ze skrajną lewicą i na linii rząd centralny–wspólnoty autonomiczne, o tyle w przypadku Francji i Niemiec prawdopodobnie władze postanowiły, podobnie jak rząd Wielkiej Brytanii, że najlepiej będzie, jak co najmniej 60 proc. społeczeństwa będzie miało styczność z nowym wirusem, aby jego przyszłe odmiany nie mogły się już tak łatwo rozprzestrzeniać.

Problem w tym, że nie konsultowano ani nie koordynowano tej dość ryzykownej strategii z innymi krajami Unii, a w wyniku jej zastosowania w połowie marca, tydzień po Włoszech, prezydent Emmanuel Macron i kanclerz Angela Merkel musieli zacząć podejmować coraz to bardziej radykalne decyzje. W wyniku utraty kontroli nad epidemią wszystkie trzy duże kraje Unii – Niemcy, Hiszpania i Francja – zamiast myśleć o pomocy dla Włochów, muszą teraz myśleć o ratowaniu siebie.

UNIJNE EPICENTRUM

Natomiast w krajach Europy Środkowej, których epidemia dotknęła dopiero na początku marca, m.in. w krajach Grupy Wyszehradzkiej, podjęto po błędach popełnionych w Europie Zachodniej zdecydowane kroki już na początku pojawienia się wirusa. W tej sytuacji nie było innej możliwości, jak zamykać granice również przed innymi krajami Unii Europejskiej, gdyż ta stała się już nowym epicentrum pandemii na świecie.

Test z koronawirusa to już trzeci z rzędu egzamin oblany przez Unię Europejską w sytuacjach kryzysowych, po kryzysie finansowym i zadłużeniowym z lat 2008–2010 oraz po kryzysie migracyjnym z lat 2015–2016. Jeśli chodzi o same Włochy, to obecny kryzys może tylko pogłębić widoczny od kilku lat wzrost eurosceptycyzmu w społeczeństwie, będącym do niedawna jednym z najbardziej prounijnych.



TERRORYŚCI MUSZĄ MYĆ RĘCE

Według brytyjskiej prasy Państwo Islamskie ostrzegło swoich członków i zwolenników przed koronawirusem SARS-CoV-2 w Europie. Terrorystyczna organizacja doradza „trzymać się z dala od ziemi, na której wybuchła epidemia”. Oczywiście islamscy radykałowie twierdzą, że to plaga zesłana „z nakazu Boga”, ale swoim członkom przypominają o regularnym myciu rąk. Nowe „dyrektywy szariatatu” wymagają też m.in. zakrywania ust podczas ziewania i kichania.

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

PANIKA SZPARAGOWA

Niemcy zauważyli poważny problem związany z koronawirusem – kto przyjedzie zbierać niemieckie szparagi? Plantatorzy już wcześniej narzekali, że program „500+” zabrał im ręce do pracy. Teraz szacują, że z powodu zamkniętych granic i choroby rozprzestrzeniającej się po Europie na ich polach nie pojawi się ok. 5 tys. Polaków. Przyznają, że już wcześniej chcieli zatrudnić niemieckich robotników do zbierania plonów, ale choć oferowali więcej pieniędzy, niż wynosi płaca minimalna, nigdy nikt się nie zgłaszał.

NIE DZWOŃCIE PO PAPIER!

Policja z Newport w stanie Oregon (USA) wystosowała oficjalny apel do ludzi, by nie dzwonili pod numer alarmowy 911 tylko dlatego, że skończył im się papier toaletowy. „Przeżyjecie bez naszej pomocy” – zaznaczyli na Facebooku funkcjonariusze. Amerykanie, podobnie jak Europejczycy, w obliczu pandemii rzucili się na zakupy i zaczęło u nich brakować podstawowych artykułów higienicznych.

TRAKTOR WAS WYLECZY

Nietypowy sposób na opanowanie epidemii podał prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko. „Przyjemnie jest widzieć w telewizji, jak ludzie pracują na traktorach, nikt nie mówi o wirusie. Traktor tam wszystkich wyleczy, pole leczy wszystkich” – skonstatował białoruski lider.

PASZPORT NEUTRALNY PŁCIOWO?

Wielka Brytania jest wsteczna i niepostępowa. Tamtejszy sąd apelacyjny uznał, że Christie Elan-Cane (od ćwierć wieku walcząca o „uznanie” dla tożsamości odzégnującej się od jakiegokolwiek płci) nie ma racji, domagając się w brytyjskich paszportach wpisywania „X” w miejscu, gdzie wpisuje się „mężczyzna” lub „kobieta”. Pani Elan-Cane uważa, że brak tej możliwości uderza w osoby, które uważają, iż nie posiadają płci w ogóle. Dalsza część batalii w tej sprawie rozegra się przed Sądem Najwyższym. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wirus po węgiersku

Premier kolejny raz pokazał, że nie uznaje półśrodków. W obliczu gigantycznego kryzysu gospodarczego postanowił dać węgierskim przedsiębiorcom solidne wsparcie.

Co najmniej do końca czerwca dla najbardziej poszkodowanych branż jest moratorium na wszystkie składki państwowego ubezpieczenia, dla części – tylko składki zdrowotne w minimalnej wysokości, dla taksówkarzy – zwolnienie z podatku dochodowego, dla wszystkich kredytobiorców – prywatnych i firmowych – automatyczne

Na Węgrzech zwolnienia z opłacania składek są automatyczne. Niczego nie trzeba udowadniać, nie trzeba składać papierów, wnioskować, czekać na decyzję

zwolnienie z odsetkowej części kredytów. Zwolnienia z opłacania składek są automatyczne. Niczego

nie trzeba udowadniać, składać papierów, wnioskować, czekać na decyzję. Składki nie zostają odroczone, tylko umorzone.

To wszystko ogłosił premier w ubiegłym tygodniu. Nie był to niestety premier Mateusz Morawiecki, ale Viktor Orbán. Nasz premier natomiast zaoferował przedsiębiorcom, że mogą sobie odsunąć opłacenie składek ZUS o trzy miesiące, o ile dowiodą urzędnikom, że mieli odpowiednio niskie obroty. Potem składki i tak będą musieli zapłacić.

Wnioski z tego porównania pozostawiam państwu. ©©



JOJO'S STORY



Z dr. hab. Arkadym Rzegockim,
ambasorem Polski w Wielkiej Brytanii
rozmawia Piotr Włoczyk

Powrót z emigracji

PIOTR WŁOCZYK: Z raportu Clicktrans.pl za rok 2019 wynika, że wśród przeprowadzek na trasie Polska–Wielka Brytania niemal 90 proc. to powroty nad Wisłę. A jeszcze w 2015 r. wskaźnik ten wyglądał zupełnie inaczej: 55 do 45 proc. Czy powroty Polaków z Wielkiej Brytanii stają się powoli zjawiskiem masowym?

DR ARKADY RZEGOCKI: Mniej więcej od trzech lat obserwujemy zwiększone zainteresowanie powrotami do Polski. Brytyjskie statystyki, obarczone jednak pewnym marginesem błędu, potwierdzają, że jest to zjawisko o dużej skali – według tych danych tylko w ciągu ostatnich

trzech lat ok. 150 tys. polskich obywateli opuściło na stałe Wielką Brytanię. Poza tym do ambasady dochodzą sygnały z „terenu”, choćby z parafii polskich, organizacji polonijnych czy obserwacje nauczycieli prowadzących zajęcia w szkołach sobotnich, które coraz dobitniej

pokazują, że generalnie wśród Polaków mieszkających na Wyspach zmieniła się mocno perspektywa patrzenia na Polskę.

W jakim sensie?

Pamiętajmy, że mówimy o prawie milonie osób. Ich życiowe cele, aspiracje, sytuacja osobista są inne. Polacy żyjący w Wielkiej Brytanii to społeczność bardzo zróżnicowana. Generalnie jednak niepewność związana z brexitem wpłynęła na plany życiowe wielu z nich, a równocześnie wiele osób zauważyło, jak bardzo się Polska zmieniła przez ostatnie kilka lat.

W dyskusji na temat powrotów problemem jest to, że dane nie do końca są precyzyjne. W ambasadzie zbieramy informacje z różnych źródeł, które układają się w pewną całość i pokazują, że ruch w kierunku Polski jest dziś znacząco większy niż w drugą stronę. Bardzo możliwe, że to największy ruch migracyjny w stronę Polski od czasu zakończenia drugiej wojny światowej.

Polacy, którzy chcą pozostać w Wielkiej Brytanii, ale nie mają jeszcze brytyjskiego obywatelstwa, muszą wystąpić o status osoby osiedlonej. Gdy 31 stycznia tego roku Wielka Brytania opuszczała UE, Polacy zajmowali pierwsze miejsce pod względem zgłoszonych wniosków – ponad pół miliona naszych rodaków wystąpiło o taki dokument. Jednak w ujęciu procentowym wygląda to już zupełnie inaczej, co może dawać polskim władzom pewne powody do optymizmu...

Ku naszemu ogromnemu zadowoleniu udało się wynegocjować umowę, która zabezpiecza interesy obywateli UE żyjących w Zjednoczonym Królestwie. Polacy stanowią tu oczywiście największą grupę. Aby jednak osoby te zachowały wszystkie dotychczasowe prawa, brytyjskie władze nałożyły na nie obowiązek zarejestrowania się i uzyskania statusu osoby osiedlonej. Początkowo zainteresowanie wnioskami było bardzo niskie, ale ostatnie dane mówią już o 585 tys. Polaków, którzy poprosili o nadanie im takiego statusu.

Problem z procentowym ujęciem tych danych jest taki, że w Wielkiej Brytanii nie istniał żaden obowiązek rejestracji pobytu. Musimy się tu więc opierać na szacunkach, które – jak pokazuje praktyka – okazują się niekiedy bardzo nieprecyzyjne. Przykładowo według brytyjskich władz Bułgarów zarejestrowało się do tej pory już... 130 proc. Widać więc, że coś jest nie tak z tymi danymi

– liczba Bułgarów żyjących na terytorium Wielkiej Brytanii musi być w takim razie większa, niż do tej pory sądzono. Według naszych szacunków do chwili obecnej zarejestrowało się ok. 60 proc. Polaków. W ujęciu procentowym sytuujemy się więc w tej kategorii gdzieś w okolicy 20. miejsca (na 27 nacji wchodzących w skład UE).

To ogromne wyzwanie informacyjne dla brytyjskich władz, a także dla nas. Z jednej bowiem strony zależy nam na tym, by Polacy wracali na stałe do ojczyzny, ale z drugiej nie chcemy, aby ludzie, którzy chcą pozostać w Wielkiej Brytanii, napotkali bardzo poważne problemy z powodu przeoczenia tego obowiązku. Inna sprawa, że Polacy często zwlekają do samego końca z załatwieniem obowiązków urzędowych.

Czyżbyśmy przekładali tak ważne sprawy na ostatni moment częściej niż choćby Bułgarzy czy Rumuni? A może po prostu większy odsetek Polaków mieszkających obecnie na Wyspach nie wiąże swoich planów na przyszłość z pobrexitową Wielką Brytanią?

Socjologowie spierają się, czy istnieje coś takiego jak „cecha narodowa”, ale coś musi tu być na rzeczy. Weźmy choćby składanie PIT-ów. Wszyscy wiemy, że bardzo wielu Polaków zostawia rozliczenie się z fiskusem na ostatni moment. Nie da się więc wykluczyć, że podobnie może być z wnioskami o nadanie statusu osoby osiedlonej. Na razie możemy w tej sprawie tylko spekulować.

Tak jak wspominałem, to bardzo indywidualne decyzje, dotyczące rodzin, a także przyszłości biznesów. Polacy prowadzą na Wyspach ponad 60 tys. przedsiębiorstw, więc w takich sytuacjach decyzje o powrocie są dużo trudniejsze. Osoby, które o tym myślą, muszą też brać pod uwagę pewne niedogodności związane ze zmianą systemu edukacji, w którym kształcą się ich dzieci, czy przeniesieniem się do innego systemu ubezpieczeń społecznych – tu w grę wchodzi kwestie emerytalne. Jako ambasadora Polski cieszę mnie to, że mimo to bardzo wielu Polaków zaczęło poważnie rozważać korzyści płynące z powrotu do Polski.

Mimo że standard życia wciąż pozostaje w Wielkiej Brytanii generalnie na wyższym poziomie niż w Polsce, przez ostatnie 16 lat nasz kraj bardzo się zmienił. Z opublikowanego niedawno przez Ministerstwo Rozwoju raportu o mieszkal-

nictwie wynika, że w Polsce na kupno mieszkania o powierzchni 70 mkw. trzeba wydać 7,5 średnich rocznych pensji, ale już na Wyspach na takie samo mieszkanie trzeba pracować 9,4 roku. To chyba istotny argument w dyskusji o wyprowadzce z Wielkiej Brytanii?

Jeszcze kilka lat temu na pytanie: „Czy rozważa pan/pani powrót z Wielkiej Brytanii do Polski?” najczęstszą odpowiedzią było niedowierzanie czy wręcz śmiech. W tej chwili takie rozmowy wyglądają już zupełnie inaczej, często słyszymy: „Myślę o tym, tylko czekam, aż dziecko skończy szkołę”. Najważniejsze, że Polacy z Wysp dyskutują o tym na poważnie, co samo w sobie jest już olbrzymią zmianą w stosunku do sytuacji sprzed jeszcze kilku lat. Czarno na białym widać bowiem, że od wejścia Polski do UE różnica w poziomie życia między oboma krajami znacząco się zmniejszyła.

Kwestia dostępności mieszkań jest jednym z większych problemów społecznych na Wyspach, ponieważ ich ceny są faktycznie niebotycznie wysokie nawet na tle tutejszych zarobków. Ten problem powraca w kolejnych kampaniach wyborczych. Także wielu Polaków, którzy założyli tu rodziny i chcą zapewnić bliskim komfortowe życie, widzi, jak wysoki jest ten koszt. Londyn to ekstremalny przykład – ceny są tu dla przeciętnego człowieka właściwie zaporowe, a nawet wynajęcie pokoju okazuje się bardzo poważnym wydatkiem. Pod tym względem Polska oczywiście zyskuje na atrakcyjności.

Niestety, problemem jest dostęp do informacji. Nie tylko bowiem Brytyjczycy mają bardzo niewielką wiedzę o sytuacji w Polsce. Także część naszych emigrantów niezbyt dobrze orientuje się w sytuacji w naszym kraju. Zbyt wielu z nich nie zauważyło, jak bardzo na plus zmieniła się Polska pod względem gospodarczym i szerzej – stylu życia. Dla nich powstał portal powroty.gov.pl. Dotarcie do nich z tymi informacjami to jedno z naszych głównych zadań. Polacy nie powinni dziś odczuwać absolutnie żadnych kompleksów wobec Brytyjczyków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Arkady Rzegocki
jest ambasadorem Polski w Wielkiej Brytanii, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego, ekspertem ds. stosunków międzynarodowych.

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Polscy specjaliści od demografii straszą przypadkiem hiszpańskich miast Zamora i Ourense, które są na prostej drodze do zniknięcia z mapy. Zgony od dawna przewyższają liczbę urodzin, a na każde 10 osób przypada siedmiu emerytów. Zanim jednak zapytam, dlaczego ludzie z rajy turystycznego, którym jest Hiszpania, nie chcą mieć dzieci, ustalmy parę faktów: przeciętna Polka rodzi średnio w wieku 27 lat, Europejka tuż po trzydziestce, a Hiszpanka?

ALEJANDRO MACARRON LARUMBE: Tendencje do podwyższania wieku urodzenia pierwszego dziecka rosną z roku na rok, to zjawisko uniwersalne, ale w Hiszpanii jest jeszcze wyższe: powyżej 31 lat i więcej.

A jaki jest współczynnik dzietności? Średnia unijna to 1,59 dziecka na kobietę, a w Polsce jeszcze niższa, to znaczy 1,48.

W 2018 r. wskaźnik był na poziomie 1,25, ale dla kobiet z narodowością hiszpańską już był mniejszy: 1,18. Mamy wiele imigrantek, które zawyżają ten wskaźnik.

A mówi się, że w Katalonii kobiety, przede wszystkim te pochodzące z Maroka, osiągają wskaźnik 7.

To nieprawda, ale dysproporcja jest i tak ogromna. Mają średnio 3,4 dziecka, podczas gdy Katalonki rodzą zwykle jedno dziecko, góra dwoje.

Demografowie zwykli mówić, że wskaźnik urodzin musi osiągać pułap przynajmniej 2,1, aby zagwarantować stabilną sytuację demograficzną. Innymi słowy: przeżycie narodu. A co się stanie, jeśli nie osiągamy tego wskaźnika?

Wyobraźmy sobie taką sytuację: jedna kobieta rodzi tylko jedno dziecko, tak jak jest w Asturii – północnym regionie Hiszpanii – czy w Korei Południowej. Rozszerzając: jeśli mamy 100 kobiet w wieku reprodukcyjnym między 28. a 40. rokiem życia, za 30 lat będzie ich już tylko 50. Tak samo z mężczyznami.

Populacja zanika niepostrzeżenie, bo są to zmiany rozłożone w czasie, nie wszyscy przecież umierają naraz, umyka nam rytm zanikania młodych. Jeśli jutro przestaniemy mieć dzieci, nie zauważymy tego dramatu, ale za 40 lat obudzimy się w innym świecie, ludzi starych.

Wróćmy jednak do pytania początkowego: Dlaczego Hiszpanie zrezygnowali z posiadania dzieci? I czy przyczyną tego nieszczęsnego kryzysu są jednakowe dla całej Europy?

Jednakowe dla wszystkich, tylko kraje afrykańskie nie wpadły w pułapkę, ale i tam pojawiła się tendencja zniżkowa. W społeczeństwach rozwiniętych na prze-



Z Alejandro Macarron Larumbem, dyrektorem Fundacji Odrodzenia Demograficznego rozmawia Małgorzata Wołczyk

To ostatni moment przed katastrofą

FOT. J. DE SOBRIN / VISIONS OF AMERICA / GETTY IMAGES

strzeni ostatnich dekad nastąpiły bardzo pozytywne zmiany, ale nie w kontekście, o którym rozmawiamy. Tradycyjna rodzina zaczyna zanikać. Dawniej było oczywiste, że potrzeba było nowych rąk do pracy. Dzisiaj już nie żyjemy na wsi, nie potrzebujemy „robotników” czy zabezpieczenia w postaci dzieci. Teraz to państwo troszczy się o naszą starość. Dodatkowo pojawił się niszczycielski efekt w postaci laicyzacji społeczeństw. W Europie Zachodniej brak praktykujących chrześcijan ma ogromne

przełożenie na demografię. Im bardziej religijna jest rodzina, tym ma więcej dzieci. Spójrzmy tylko na przykład ortodoksyjnych Żydów w Izraelu. Im kryzys nie grozi.

Laicyzacja nie dotknęła Polski w takim stopniu, jak to ma miejsce w społeczeństwach Zachodu, a jednak mamy spory problem z demografią.

Owszem, bo katolicy są dziś „à la carte”, to, co jest wygodne – stosują, wypełniają, przestrzegają. Dawniej wszyscy potulnie wypełniali nakazy płynące z nauki

Kościół, a dziś mamy podejście liberalne nawet w Kościele. Katolicy polscy stosują antykoncepcję?

Podejrzewam, że znakomita większość tak.

No właśnie. A przecież Kościół zakazuje.

Okazuje się, że bardzo zabójcza dla demografii jest chęć wygodnego życia bez zobowiązań, odpowiedzialności, wydatków na dziecko... Bitwa zatem chyba przegrana?

Powiedziałbym, że w tej chwili przegrywamy, ale jeszcze nie przegraliśmy. Jeszcze możemy zmienić te niekorzystne trendy. To ostatni moment przed katastrofą. Przez ostatnie 30–40 lat, które są tak fatalne dla demografii, nie wykonano żadnego wysiłku w tym kierunku. Nawet Polska i Węgry nie dały rady na dłuższą metę. Wydaje mi się, że plan oparty tylko na zachęcie ekonomicznej nie wypali. Bo np. Luksemburg ma mniejszy wskaźnik urodzin niż Polska. Norwegia, Szwajcaria, nawet Singapur – ta sama historia. Myślenie zatem, że dobrobyt popycha ludzi do rodzenia dzieci, to błąd.

Innym błędem, dla demografii rzecz jasna, była presja na kobiety, aby włączyły się jak najszybciej do rynku pracy. Kobiety, które chciały skupić się na ognisku domowym, były pod pręgierzem drwin. „Kury domowe” są wyśmiewane w każdym kraju zachodnim.

Jednak demografowie polscy, powołując się na badania, sugerują, że głównym czynnikiem zniechęcającym do prokreacji są właśnie problemy z pracą, a właściwie ze stabilnością rynku pracy. Młode matki wciąż są dyskryminowane przez pracodawców. Stąd wnioski, że umowy śmieciowe są główną przeszkodą w myśleniu o rozwijaniu rodziny. Może więc błądźmy w rozumieniu wobec kobiet, które nie myślą o rodzeniu.

Jestem daleki od osądzania kogokolwiek. Tylko przez wyłaniający się krajobraz samobójstwa Europy upieram się, że trzeba mimo wszystko premiiować osoby, które chcą rozszerzać rodzinę. Oczywiście, że czasem ktoś po prostu wbrew pragnieniom nie może mieć dzieci, ale problemem dzisiaj jest promowanie modelu singla, który ma myśleć wyłącznie o dobru własnym, a nie wspólnoty. A prekarat – owszem – jest przeszkodą, ale tak jak wspominałem, w rozwiniętych wysoko społeczeństwach dzieci także się nie rodzą.

Mówiąc o samobójstwie Europy, trudno nie wspomnieć o danych dotyczących aborcji, które w Hiszpanii są wyjątkowo wysokie.

Szacuje się, że przeprowadzanych jest 100 tys. rocznie, czasem mniej, czasem

więcej. Jedna na pięć ciąż jest abortowana i nie mówimy tu o poronieniu, tylko o zabiegu. Ponadto pamiętajmy: jeśli społeczeństwo nie chce mieć dzieci, to liczba aborcji nie decyduje o wskaźnikach dzietności. Polska jest krajem restrykcyjnie podchodzącym do tematu aborcji, a jednak wskaźnik dzietności niewiele się różni od hiszpańskiego. Jeśli jednak państwo ułatwia, pozwala i promuje aborcję, to w oczywisty sposób przyczynia się do spadku urodzeń. No ale znów: jeśli ludzie nie chcą mieć potomstwa, to i tak zabezpieczą się na wszystkie sposoby przed nim. Czterdzieści lat temu, gdy umarł Franco, jeszcze nie można było ani się rozwodzić, ani przerywać ciąży, ani używać środków antykoncepcyjnych, a i tak wskaźnik urodzeń był o połowę mniejszy niż wcześniej. To był historyczny spadek. Inny przykład: w Szwajcarii monitoruje się wskaźnik urodzin od 1876 r. i można zaobserwować stałą tendencję spadkową. Szwajcaria tradycyjna, bogata, katolicki kraj dobrobytu, a jednak liczba narodzin permanentnie pikuje. To kwestia aksjologii, „chcenia”, a nie ekonomii. Jeśli małżeństwu czy kobiecie zależy na dzieciach, to pogodzi to z pracą i zorganizuje życie tak, żeby zrealizować swoje marzenie. Ale dziś proszę spytać ludzi, czy chcą mieć dzieci i ile.

Czyli trzeba nas prosić, zachęcać, żeby nam się chciało mieć dzieci?

Może to zabrzmieć dziwnie, ale to samobójstwo demograficzne Europy zależy – zupełnie jak przy większości wyborów parlamentarnych – od niezdecydowanego elektoratu. To oni mogą przeważać szalę, jeśli uświadomi im się krajobraz, jaki wszystkich nas czeka... Tutaj nie chodzi tylko o brak emerytur w przyszłości, ręk do pracy, samotność na starość, ale nawet zanikanie czegoś tak naturalnego jak posiadanie kuzynostwa, braci ciotecznych, paru wujków i ciotek. Nagle się okaże, że żyjemy w świecie ludzi bez rodziny.

No dobrze, ale wielu będzie nas przekonywać, że nieważna rozrodczość, bo kryzys spowodowany przez demografię można ratować, przyjmując wielu imigrantów. Przybysze zajmą się zaludnieniem naszej ziemi i opłaceniem naszych emerytur, czyż nie?

To jest, proszę wybaczyć, absurdałne myślenie, czyli: niech inni przyjdą i zrobią za mnie, co należy, bo mnie się nie chce zrobić nic dla mojej wspólnoty i przyszłych pokoleń. Inna strona problemu to to, że te kraje tradycyjnie kojarzone z ponadprzeciętną rozrodczością notują spadek. Milton

Friedman powiedział, że państwo dobrobytu jest nie do pogodzenia z imigracją. Ci Polacy czy Hiszpanie, którzy emigrowali dekady temu, mieli jeden plan – trzeba pracować. Dzisiaj ci, którzy przyjeżdżają, nie mają takiego celu, chcą żyć, ale bez konieczności pracowania, najlepiej z zasiłków. I masy bezrobotnych imigrantów, będących na utrzymaniu państwa, nie wnoszą nic do budżetu. Inna rzecz to integracja, niezbędna, aby społeczeństwo rozwijało się w sposób zrównoważony. Oczywiście wszystko zależy od proporcji. Gdy przybywa ogromna masa niewykwalifikowanych ludzi, którzy siłą rzeczy nie są w stanie kreować bogactwa kraju, pojawi się problem. Trzeba zarządzać imigracją zgodnie z możliwościami państwa.

Poza tym imigranci też się starzeją...

No właśnie! I o tym się rzadko mówi. Myślenie życzeniowe, że przyjadą i będą lekkiem na wszystkie bolączki, nie ułatwia dyskusji o alarmującej zapaści demograficznej.

Nie czuje się pan głosem wołającego na pustyni? Sytuacja w całej Europie jest niewesoła, ale jakoś nie widać zapału, aby stawić czoła problemowi.

Problem możesz rozwiązać dopiero z chwilą, gdy sobie uświadomisz, że istnieje, i to w sposób dotkliwy. W tym między innymi moja rola. W Hiszpanii niewiele się mówi, nie docenia się też wagi problemu w całej Europie. Dla mnie to obowiązek moralny; od kiedy znam wstrząsające dane, robię, co mogę i jako Hiszpan, i jako Europejczyk. Starzenie się społeczeństw jest dotkliwym problemem zupełnie pozostawionym biegowi czasu. Ale tu można użyć porównania ze zdrowiem: dopóki je masz, dopóty nie masz pojęcia, jak ciężko jest przechodzić chorobę. My wkrótce przekonamy się dotkliwie, co to znaczy starzejące się społeczeństwo bez dzieci. Oby nie było za późno. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa była przeprowadzona w grudniu 2019 r.



Alejandro Macarron Larumbe

(1960, Aviles) – inżynier komunikacji, założyciel i dyrektor Fundacji Odrodzenia Demograficznego, autor książki „Demograficzne samobójstwo Zachodu i połowy świata”, uczestnik i prelegent wielu międzynarodowych konferencji na rzecz demografii.

W opanowaniu pandemii liczy się czas. Wyciągając wnioski z błędów popełnianych w innych krajach, gdzie nie podjęto natychmiastowych działań, polski rząd zareagował szybko i zdecydowanie – m.in. zamykając szkoły i niektóre sklepy, ograniczając możliwość organizowania zgromadzeń powyżej 50 osób itp. Od początku w działania zmierzające do opanowania pandemii w Polsce włączył się PKN ORLEN, realizując misję firmy społecznie odpowiedzialnej i narodowego czempiona.

SZYBKA REAKCJA

Należało się spodziewać, że po stwierdzeniu pierwszych przypadków zachorowania w Polsce apele o zachowanie spokoju nie podziałają na wszystkich i pojawiają się pewne oznaki paniki. W takich sytuacjach na sklepowych półkach zaczyna brakować niektórych towarów. Jednym z produktów deficytowych w krajach dotkniętych koronawirusem szybko stawały się płyny do dezynfekcji rąk. Nie inaczej było w Polsce.

Grupa ORLEN zareagowała szybko. Już w pierwszych dniach marca ogłoszono, że w Zakładzie Produkcyjnym ORLEN OIL w Jedliczu rozpocznie się produkcja płynu do dezynfekcji rąk. Wykorzystano możliwości techniczne firmy, aby włączyć się w działania związane z ochroną przed koronawirusem. W ten sposób ORLEN chciał jak najszybciej zwiększyć bezpieczeństwo Polaków.

Na co dzień w Jedliczu produkowane są płyny do spryskiwaczy, płyny chłodnicze, smary oraz oleje przemysłowe. Rozpoczęcie produkcji wirusobójczego płynu na bazie alkoholu etylowego wymagało szybkiego przestawienia linii produkcyjnej. Wszystko

ORLEN w walce z pandemią

Działania grupy ORLEN w związku z pandemią koronawirusa nie ograniczają się do zapewnienia jak największego bezpieczeństwa pracownikom i klientom koncernu. ORLEN aktywnie włączył się w działania rządu związane z rozprzestrzenianiem się wirusa w Polsce



było gotowe 12 marca. Na początku płyn produkowano w opakowaniach 5-litrowych. Szybko jednak uruchomiono produkcję w jednolitrowych opakowaniach.

Przemodelowanie produkcji było dużym wyzwaniem, a przeprowadzenie go w 10 dni wymagało zaangażowania 24 godziny na dobę nie tylko pracowników ORLEN OIL, lecz także wielu innych. Wydajność produkcji to 250 tys.

litrów na dobę, 750 tys. litrów tygodniowo. Trwają jednak intensywne prace zmierzające do tego, aby tygodniowa produkcja z tych linii wynosiła 1,2 mln litrów. Do końca marca zostanie wyprodukowanych 2,5 mln litrów płynu, a w kwietniu kolejne 4,5 mln litrów.

W pierwszej kolejności płyn dostarczony został do Agencji Rezerw Materiałowych, instytucji użytku

publicznego, szpitali i szkół oraz stacji ORLEN.

Do działań mających na celu ograniczenie epidemii koronawirusa włączyła się także Fundacja ORLEN, która przeznacza na ten cel 6 milionów złotych. Trwają finalne ustalenia z Ministerstwem Aktywów Państwowych w sprawie udzielenia wsparcia finansowego dla konkretnych instytucji, w tym przede wszystkim szpitali.

BEZPIECZNE TANKOWANIE

Nie tylko za sprawą taniejącej ropy naftowej, ale również działań PKN ORLEN optymalizujących koszty produkcji, udało się znacznie obniżyć ceny paliw na stacjach. Na niskich cenach paliw skorzystają osoby, które muszą poruszać się autem, w tym wojsko, policja, straż pożarna i lekarze, którzy są bezpośrednio zaangażowani w walkę z rozprzestrzenianiem się epidemii koronawirusa w Polsce. Niższe ceny to dobra wiadomość także dla tych Polaków, którzy w obawie przed zakażeniem przesiadają się z komunikacji zbiorowej do własnych samochodów.

Zwłaszcza w dobie pandemii warto korzystać z nowoczesnej formy płatności za paliwo dostępnej na stacjach PKN ORLEN. Wystarczy pobrać aplikację ORLEN Pay i po przejściu prostej procedury rejestracyjnej płacić za paliwo bez podchodzenia do kasy. Po zatankowaniu należy przy pomocy aplikacji zeskanować kod QR z dystrybutora, a odpowiednia kwota zostanie pobrana z naszej karty debetowej bądź kredytowej. Po chwili od autoryzowania transakcji faktura zostanie wysłana na e-mail. Taka forma płatności jest szybsza i w obecnych okolicznościach bezpieczniejsza. ©

ORLEN PAY

SZYBKO I BEZPIECZNIE

Na stacjach ORLEN można płacić za paliwo bezpośrednio przy dystrybutorze za pomocą ORLEN PAY.

-  1. **Ściągnij aplikację VITAY lub ORLEN PAY**
-  2. **Dodaj kartę płatniczą w ORLEN PAY**
-  3. **Po zatankowaniu zeskanuj kod QR z naklejki na dystrybutorze**
-  4. **Zweryfikuj w aplikacji dane transakcji - kwotę, stację, stanowisko**
-  5. **Zaakceptuj płatność i jedź**
-  6. **Otrzymasz fakturę na adres e-mail**

Aplikacja VITAY lub ORLEN PAY jest dostępna na Android i iOS.

TAK ZATANKUJESZ TYLKO NA STACJACH ORLEN

JAKUB WOZINSKI: Czy pana zdaniem rząd nie zwlekał zbyt długo? Wiele państw podjęło działania już znacznie wcześniej. Problem z pandemią koronawirusa nie pojawił się dopiero wczoraj, a na konkretne zapowiedzi musieliśmy czekać praktycznie do drugiej połowy marca. Czy w obecnej sytuacji ma to jakieś znaczenie?

CEZARY KAŻMIERCZAK: Moim zdaniem nie, uchwalony pakiet ośłonowy nie jest opóźniony w żadnym stopniu. Można było wprowadzić, podobnie jak Donald Trump, w sposób bardzo ogólnikowy powiedzieć to samo już w poprzednim tygodniu, ale byłoby to bez znaczenia. Najważniejsza kwestia dotyczy tego, kiedy ogłoszone rozwiązania wejdą w życie. Tutaj wydaje mi się, że wypadaloby wcisnąć trochę pedału gazu, gdyż pewne rzeczy są niepokojące. Chodzi głównie o pakiet płynnościowy.

Czy sama kwota obiecana przez rząd jest wystarczająca? Mowa o 212 mld zł, czyli sumie stanowiącej 9 proc. polskiego PKB. Czy to są środki adekwatne do ekstremalnej sytuacji, w której się znaleźliśmy?

Trudno to dokładnie ocenić, bo nie sposób dziś niczego dokładnie obliczyć, nawet w dużym przybliżeniu. Kluczowa jest tu perspektywa czasowa. Jeżeli założymy, że to wszystko skończy się do końca maja, a później wszystko się odbuduje i gospodarka będzie funkcjonować w miarę normalnie, to propozycja rządu wydaje się właściwa.

Generalnie uważam, że cały pakiet należy ocenić pozytywnie. Dzień przed jego ogłoszeniem odbyła się videokonferencja premiera z organizacjami pracodawców oraz przedstawicielami polskich przedsiębiorców i projekt wsparcia wypłaty wynagrodzeń dla pracowników właściwie został przyjęty przez aklamację. Pakiet 40-40-20 [w ramach którego państwo wypłaci 40 proc. pensji do wysokości średniego wynagrodzenia, drugie 40 proc. pracodawca, a cała pensja zostanie obniżona o 20 proc. – przyp. J.W.] jest słuszny. Obawiam się tylko, że bez uchwalenia pakietu płynnościowego w większym wymiarze niż ten, który został zaproponowany, może być ciężko.

Skupmy się więc najpierw na pozytywach.

Pozytyw pierwszy jest taki, że rząd nie uległ hysterii, a o to nie jest trudno w tym momencie. Drugi polega na tym, że to, co jest robione, jest adresowane do mikrofirm i firm małych, a nawet w zasadzie do samych mikro-. Brakuje jednak poważnego pakietu płynnościowego.



Z Cezarym Kaźmierczakiem, prezesem Związku Przedsiębiorców i Pracodawców rozmawia Jakub Wozinski

Składki ZUS powinny zostać zawieszone

FOT. AREK MARKOWICZ/PAP

Jako Związek Pracodawców i Przedsiębiorców proponowaliśmy, aby wprowadzono pożyczki wynoszące do 15 proc. obrotu danej firmy w minionym roku i na sumę nie większą niż 300 tys. zł, przyznawane bez jakiegokolwiek biurokracji na podstawie weksla. Wtedy byłaby szansa, że na początku lub w pierwszej połowie kwietnia te pieniądze mogłyby trafić do mikrofirm i małych przedsiębiorstw.

Jeżeli jednak to miałyby być jakieś kredyty preferencyjne przyznawane na podstawie sprawozdań finansowych, to niestety tutaj daje się już wyczuć interes banków. Byłoby jakimś absurdem, gdyby banki miały teraz wyliczać EBITDA dla

szewca albo sprawdzać przez cztery tygodnie cash flow kwiaciarni. W takiej sytuacji nie byłoby już komu pomagać.

Musimy mieć na uwadze w szczególności słabych uczestników rynku, czyli małych przedsiębiorców i mikro-. Średnie i duże firmy te dwa miesiące jakoś przetrwają. Dlatego właśnie konieczny jest odpowiedni pakiet płynnościowy i właśnie na to będziemy naciskać, żeby był przyznawany w adekwatnej wysokości. Dla pani krawcowej 5 tys. zł wystarczy, przecież krawcowa nie zatrudnia ludzi.

Problemem wydaje się także to, że płatność składek na ubezpieczenie społeczne została



jedynie odsunięta na trzy miesiące, co później może wywołać problemy z koniecznością spłaty całości w kryzysowej sytuacji. To brzmi jak odroczony wyrok.

Składki powinny zostać zawieszone, a nie prolongowane. Przez trzy miesiące nie powinno być w ogóle składek na ZUS i powinny się one liczyć do okresu składkowego. Wkładanie później na plecy małym firmom tej kumulacji w momencie, gdy będą wychodzić z dołka i nie będą miały żadnych przychodów, a na dodatek będą obciążone kredytem, może doprowadzić do absurdu sytuacji. Małe firmy będą padać dokładnie w momencie, gdy polska gospodarka będzie stawiała na nogi.

Jak polskie państwo ma poradzić sobie w okresie uchylecia konieczności opłacania składek i danin? To będzie przecież spora wyrwa w przychodach.

Państwo nie poradzi sobie bez gospodarki, bo nie ma żadnych własnych pieniędzy. Na pewno należy przede wszystkim zwiększyć deficyt. Trzeba pożyczyć pieniądze i spróbować przez to razem jakoś przejść. Muszę przy tym przyznać, że bardzo niepokoi mnie poszukiwanie spekulantów, które pojawia się gdzieś na obrzeżach rządu, i mam nadzieję, że tam pozostanie.

Chcę przypomnieć, że spekulantów szukali już Gomułka i Jaruzelski. Także

spekulanci byli winni tego, że w sklepach był sam ocet. Ostatnio, gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej, szukał ich też Leszek Balcerowicz, a nawet powołał specjalną komisję, która miała śledzić ceny w sklepach i sprawdzać, czy ci wredni polscy przedsiębiorcy i spekulanci nie podnoszą specjalnie cen. I teraz niestety – co mnie bardzo smuci – tą samą drogą zaczyna podążać obecny rząd. W całej tej sytuacji jest to próba szukania jakichś kosztów ofiarnych.

Co jeszcze Związek Przedsiębiorców i Pracodawców proponuje w zaistniałej sytuacji, czego nie znajdziemy w rządowym pakiecie?

■ Bardzo przydałby się apel premiera, aby ludzie pracujący w produkcji poszli jednak do pracy, bo zaczyna z tym być naprawdę bardzo poważny problem. Apeluje się do ludzi, żeby pozostawali w domach, ale należałoby wyraźnie powiedzieć, że powinno to dotyczyć tych, którzy mogą pracować z domu.

Już dzisiaj odbieramy sygnały z różnych branż, że zaczyna brakować ludzi. Nie wyobrażam sobie, co się wydarzy, jeżeli produkcja całkowicie stanie i ustana wszelkie przychody. Tutaj trzeba trochę odpowiedzialności. Apeluje więc do rządu, żeby powstrzymał się od zachęcania do zostania w domu. Trzeba raczej powiedzieć: zostańcie w domu, jeżeli możecie pracować z domu. Wszystkie pakiety pomocowe w niczym nie pomogą, jeśli ludzie nie będą mieli gdzie pracować. To jest w tej chwili najważniejsza sprawa.

Sądzę pan, że kręgi rządowe dojrzały do tego, żeby w tej nadzwyczajnej sytuacji zrezygnować z wielu rzeczy, które uchodziły za znak firmowy „dobrej zmiany”, takich jak choćby transfery socjalne czy zakaz handlu w niedzielę? Jeżeli będziemy musieli zmobilizować się wszyscy i stanąć na wysokości zadania, to będzie to przecież wymagało wielu odważnych decyzji.

Wierzę tutaj w mądrość prof. Roberta Gwiazdowskiego, który zawsze powtarza, że politycy zachowują się rozsądnie, gdy już nie mają żadnego innego wyjścia.

Jak pana zdaniem z nadchodzącym kryzysem poradzą sobie poszczególne branże? Już dziś wiadomo, że np. wiele firm transportowych znalazło się na skraju bankructwa.

Rzeczywiście, bardzo ucierpiały: cała branża usługowa, branża turystyczna, hotelarska. Nie wiadomo, dlaczego zakazane zostały usługi wynajmu krótkoterminowego. Wygląda to na lobbing hoteli. Znam osobiście dwa przypadki, gdy trzeba było odizolować ludzi starszych w mieszkaniach na wynajem, lecz okazało się to niemożliwe. Dla mnie to jakiś absurd.

Bardzo dotkliwe straty odnosi praktycznie cały handel poza spożywczym, gdyż pozostał praktycznie jeden kanał sprzedaży, czyli Internet. Przy czym jest to oczywiście niewielki kanał. Kluczowe pozostaje to, do kiedy potrwa obecna sytuacja. Jeżeli, jak się dziś mówi, utrzyma się do końca maja, to nie powinno być bardzo źle.

W mediach społecznościowych czy telewizji spotykam się często z oczekiwaniami, że wszyscy przejdą przez to suchą

Rządowy pakiet pomocowy dla przedsiębiorców i gospodarki

Wart 212 mld zł program ogłoszony przez premiera Mateusza Morawieckiego jest największym tego typu pakietem w najnowszej historii Polski. Dla porównania pogrążone w kryzysie związane z pandemią wirusa SARS-CoV-2 Włochy uruchomiły dotychczas pomoc w wysokości 25 mld euro (ok. 115 mld zł). Pakiet pomocowy obejmuje pięć filarów: bezpieczeństwo pracowników, finansowanie przedsiębiorstw, ochronę zdrowia, wzmocnienie systemu finansowego i program inwestycji publicznych.

1. „Bezpieczeństwo pracowników” (wartość ok. 30 mld zł) – ma ochronić pracowników przed utratą pracy, a jednocześnie wprowadzać działania osłonowe na rynku pracy wspomagające pracodawców. Wstępne propozycje mówią o możliwości pokrywania przez państwo 40 proc. wysokości wynagrodzenia do wynagrodzenia średniego. Drugie 40 proc. ma zapłacić pracodawca.

Dla osób samozatrudnionych oraz pracujących na podstawie umów-zleceń i umów o dzieło rząd planuje wprowadzić możliwość wypłaty środków do wysokości 80 proc. minimalnego wynagrodzenia (czyli 2 tys. zł). Oprócz tego planuje się także m.in. przesunięcie płatności za media, wprowadzenie wakacji kredytowych, wakacji od obowiązków administracyjnych, a także uruchomienie dodatkowego zasiłku opiekuńczego dla osób, które opiekują się dzieckiem do 12. roku życia na okres 14 dni.

2. „Finansowanie przedsiębiorstw” (73,2 mld zł) – drugi z filarów ma umożliwić m.in. finansowanie leasingu dla firm transportowych, mikropożyczek dla mikrofirm o wartości 5 tys. zł, odroczenie lub rozłożenie składek ZUS bez opłat, możliwość odjęcia tegorocznej straty od dochodu w ciągu następnych pięciu lat czy brak kar za opóźnienia w przetargach publicznych. W założeniu środki te mają umożliwić szybkie wznowienie produkcji tuż po opanowaniu epidemii.

3. „Ochrona zdrowia” (7,5 mld zł) – całość środków z tego obszaru ma zostać przeznaczona na dodatkowe jednoimienne szpitale zakaźne, zakup najbardziej potrzebnej aparatury i sprzętu ochronnego, rozwój infolinii pomagających pacjentom oraz cyfryzacja systemu opieki zdrowotnej.

4. „Wzmocnienie systemu finansowego” (70,3 mld zł) – czwarty filar ma zapewnić bezpieczeństwo funkcjonowania polskiego systemu finansowego, a przede wszystkim depozytów, lokat, płatności oraz wypłat. W bankomatach ma nie zabraknąć pieniędzy. Dodatkowo Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów ma uważnie przyglądać się cenom na rynkach.

5. „Program inwestycji publicznych” (30 mld zł) – ostatni filar ma zapobiec spodziewanemu spadkowi inwestycji prywatnych w kryzysowym okresie. Tę lukę chce wypełnić państwo, przeznaczając spore środki m.in. na inwestycje w drogi samorządowe, modernizację szkół i szpitali, ochronę środowiska, transformację energetyczną, biotechnologię i farmację czy cyfryzację. Środki te mają być uruchomione niezależnie od pieniędzy, które przynależą Polsce z budżetu unijnego.

stopą. Prawda jest jednak taka, że nikt nie przejdzie tego suchą stopą. Wszyscy oberwają: oberwie rząd, oberwie biznes i pracownicy też. Trzeba się po prostu z tym pogodzić i tylko minimalizować straty. Ja przestrzegam tylko rząd, żeby nie myślał wyłącznie o pracownikach, bo ci pracownicy muszą jeszcze gdzieś pracować.

A jak w ostatnich dniach swoje obowiązki zawodowe realizuje prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców?

Obecnie najwięcej czasu spędzam na Google Hangouts, wydaje mi się lepszy

od Skype'a. Swoją drogą, moim zdaniem obecna sytuacja, w której tak wiele osób pracuje zdalnie, pozostawi w biznesie pewne ślady, niektóre rzeczy na pewno się zmienią. Na spotkaniu z premierem jeden z przedsiębiorców zażartował i zadał pytanie: „To po co ja tyle tych biur wynajmuję?” (śmiech). Jednak w branżach, nazwijmy to, kreatywnych interakcja między ludźmi jest konieczna. Biznesu nie da się prowadzić bez ciągłej wymiany myśli, poglądów, a to daje tylko bezpośredni kontakt.

Turyści na Rua Augusta – głównym deptaku w Lizbonie – 16 marca. Zaledwie tydzień wcześniej deptak był pełen ludzi bez żadnych maseczek FOT. PEDRO GOMES/GETTY IMAGES



Turystyka na 010M-ie



*Jacek Przybylski
z Lizbony do Warszawy*

Gdy w pierwszym tygodniu marca lądowałem w Lizbonie, miasto sprawiało wrażenie, jakby żaden wirus nigdy nie istniał. Na Praça do Comércio, ogromnym placu nad brzegiem rzeki Tag, dzieci wesoło ganiały bańki mydlane, turyści dzielnie wspinali się w kierunku Zamku Świętego Jerzego, a w najślynniejszej kawiarni, uwielbianej przez lizbońskich artystów i intelektualistów Café A Brasileira, trudno było znaleźć wolny stolik

Nagły atak koronawirusa uderzył w wiele branż. Przestoje w produkcji istotnie zmniejszają zyski firm na świecie. Niektóre firmy odzieżowe przestawiają się na szycie i sprzedaż masek. Część fabryk motoryzacyjnych po wstrzymaniu montażu samochodów produkuje sprzęt medyczny, w tym respiratory.

A niektóre koncerny wytwarzające perfumy postawiły na produkcję najnowszych ekskluzywnych produktów: żeli do dezynfekcji.

Biurowce się wyludniły. Do wielkiej wyprzedaży zbyt drogich mieszkań już szykują się m.in. warszawscy agenci nieruchomości. Wiele korporacji przeszło na zdalny tryb pracy. Do świata wirtualnego przeniosło się również dużo międzynarodowych konferencji. Bezplatnie można też podziwiać wiele prestiżowych e-wystaw, zwiedzać muzea (np. Muzeum Narodowe w Krakowie, Muzeum van Gogha w Amsterdamie, National Gallery of Art w Waszyngtonie, British Museum w Londynie, Musée d'Orsay w Paryżu czy Pergamon w Berlinie).

BANKRUCTWO W DWA MIESIĄCE

W bardzo trudnej sytuacji znalazła się zwłaszcza branża turystyczna, na którą śmiertelnie niebezpieczny cios spadł z ogromnego zaskoczenia i uderzył mocno niż tsunami czy trzęsienie ziemi. Gdy w pierwszym tygodniu marca lądowałem w Lizbonie, miasto sprawiało wrażenie, jakby żaden wirus nigdy nie istniał. Na Praça do Comércio, ogromnym placu nad brzegiem rzeki Tag, dzieci wesoło ganiały bańki mydlane, turyści dzielnie wspinali się w kierunku Zamku Świętego Jerzego, a w najsłynniejszej kawiarni, uwielbianej przez lizbońskich artystów i intelektualistów Café A Brasileira, trudno było zdobyć wolny stolik. Turyści jak gdyby nigdy nic polowali na miejsca w słynnych żółtych tramwajach linii nr 28, przeciskających się przez wąskie uliczki stolicy. A z gigantycznych wycieczkowiec rozlewały się po centrum stolicy tłumy niemieckich turystów. Kwitło również życie nocne: przed drzwiami najmodniejszych klubów w Bairro Alto ustawiały się długie kolejki, w pobliżu słynnej windy – Elevador da Bica – ludzie tańczyli na ulicach, a młodzież bawiąca się przed pubami jawnie okazywała swoje lekceważenie wobec zakazanej przenoszonych drogą kropelkową.

Tłumy czekały również na samochody w miejscowych wypożyczalniach. W Portugalii były już co prawda przypadki zakażenia, ale dotyczyły położonego na północy Porto. W Lizbonie ze świecą trzeba było więc szukać ludzi w maseczkach i rękawicz-

Nagle zmieniła się sytuacja także w Lizbonie. Pasażerowie wielkich wycieczkowiec miasto mogli podziwiać już tylko z okien i balkonów

kach. Bez większego trudu zakupiłem więc zestaw maseczek, rękawiczek i alkoholu 97 proc., od którego duża część światowej populacji zapewne pod koniec pandemii będzie już mocno uzależniona...

Wraz z informacjami o nowych zarażeniach rosło jednak poczucie strachu przed niewidocznym wrogiem. Kawiarnie i restauracje wciąż były pełne klientów, ale zaczęły się w nich pojawiać żele do dezynfekcji. 14 marca Fatima wyglądała już jednak jak opustoszałe miasto. Zamknięte sanktuarium i odwołane przyjazdy grup zorganizowanych sprawiły, że liczba turystów spadła drastycznie, a w mocno przecenionych luksusowych hotelach wykupionych było zaledwie po kilka pokoi. Podczas śniadania po każdym turyście kelnerzy w maskach i rękawiczkach dezynfekowali stolik oraz fotel. Nagle zmieniła się też sytuacja w samej Lizbonie. Pasażerowie wielkich wycieczkowiec miasto mogli podziwiać już tylko z okien i balkonów, a na ulicach czy w wypożyczalniach samochodów szybko przybyło ludzi w maseczkach. Hotele zaczęły umożliwiać bezpłatne odwołanie nawet tych pokoi, które miały niższą cenę, a których rezerwacja miała być bezzwrotna.

Po tym, jak 13 marca wieczorem premier Polski ogłosił rychłe zamknięcie nieba dla rejsów zagranicznych, wśród Polaków w Portugalii zapanował chaos. Ambasada w Lizbonie nie wiedziała, czy i kiedy samolot charterowy zabierze rodaków do kraju. Na infolinii MSZ, po kilkunastu godzinach prób uzyskania połączenia, usłyszałem tylko, że rząd to nie firma przewoźowa i że z Portugalii raczej lotów nie będzie. Potwierdzenie ze strony akcji #LOTdodomu otrzymałem dopiero dwa dni po rejestracji. Udało mi się jednak zmienić rezerwację u własnego przewoźnika i dostać się do Berlina. Stamtąd miałem dwa warianty powrotu. Pierwszy – wyluzowany – zakładał, że pociągiem docieram do Frankfurtu nad Odrą, granicę przechodzę pieszo, noc spędzam w Ślubicach, stamtąd pierwszym pociągiem regionalnym jadę do Rzepina, a potem kolejnym pociągiem prosto do Warszawy. Mimo maseczki i rękawiczek

ryzyko zarażenia było dla mnie – i potencjalnie dla innych – zbyt duże. Wybrałem więc wariant drugi: wypożyczenie auta w Berlinie i oddanie go w Warszawie. Normalnie nie jest to zbyt drogie, tym razem niektóre wypożyczalnie żądały za taką usługę 800–1200 euro. Udało mi się jednak znaleźć auto na polskich blachach, za którego wypożyczenie zapłaciłem dużo mniej, choć i tak wypożyczalnia Hertz niezgodnie z regułami naliczyła mi wysoką dodatkową opłatę za wynajem w jedną stronę (choć przecież odwoziłem auto do warszawskiej wypożyczalni). Po czterech godzinach w kolejce na granicy przeszedłem „badanie lekarskie” (czyli szybki pomiar temperatury) i po wypełnieniu stosownych formularzy, znalazłem się wreszcie w Polsce.

Wieczorem 17 marca przywódcy krajów strefy Schengen przystali na propozycję KE, aby na 30 dni zamknąć zewnętrzne granice Unii Europejskiej. Niestety, zrobili to zbyt późno – wirus rozprzestrzenił się już po Starym Kontynencie. Unia zadziałała tak wolno, że od europejskich liderów szybsi okazali się nawet przywódcy Państwa Islamskiego, którzy już 16 marca ostrzegali terrorystów, aby „trzymali się z dala od ziemi, na której wybuchła epidemia” (jednocześnie radzili zakrywać twarze – akurat to islamscy bojownicy mają we krwi od dawna – oraz regularnie myć ręce, co może być już dla nich sporym wyzwaniem). 18 marca Portugalia wprowadziła zaś stan wyjątkowy i ograniczyła ruch na granicach.

Najgorzej jest we Włoszech – kraju, który, aby nie narażać na gigantyczne straty przemysłu turystycznego, utrzymał w lutym normalną działalność podczas sezonu narciarskiego, przez co naraził zarówno swoich obywateli, jak i turystów na zwiększone ryzyko zachorowania. Łączna liczba zmarłych we Włoszech przekroczyła już 3 tys. Zakażonych jest zaś ponad 35 tys. osób. Z bardzo poważnym kryzysem próbują również radzić sobie Hiszpanie, Francuzi oraz Niemcy.

Wirus uziemił większość światowych samolotów. Tylko w Chinach liczba pasażerów spadła w lutym aż o 84,5 proc., co przekłada się na zmniejszenie przychodów o równowartość co najmniej 10 mld zł. Połączenia na kilka tygodni anulowały m.in. Austrian Airlines oraz Swiss. Od 18 marca irlandzki Ryanair odwołał 80 proc. maszyn ze swojego rozkładu. A od 24 marca uziemiona ma być zdecydowana większość lotów lub nawet wszystkie. Dużą część lotów anulowały także British Airways, EasyJet, Norwegian Air, Air France KLM, American Airlines czy

skandynawski SAS (który tymczasowo zwolnił z pracy 90 proc. załogi).

Przez dwa pierwsze tygodnie marca wielu przewoźników utrzymywało loty niemal pustych samolotów, aby nie stracić cennych lotniskowych slotów, czyli praw do startu i lądowania o określonej porze. W ramach absurdalnych w dobie wirusa przepisów, gdyby dana linia nie wykonywała co najmniej 80 proc. lotów na danej trasie, to mogłaby stracić do niej prawa. Tymczasem w niektórych miejscach, takie sloty warte są setki milionów złotych.

Komisja Europejska zdecydowała w końcu o zawieszeniu „lotów duchów”. Teoretycznie dobrą wiadomością dla lotniczych przewoźników powinien być także ogromny spadek cen paliwa, ale niższe koszty tego surowca na pewno nie pokryją utraconych zarobków i wydanych w błyskawicznym tempie rezerw gotówkowych.

Według stowarzyszenia IATA chiński koronawirus może kosztować w tym roku globalną branżę lotniczą aż 113 mld (!) dol. Notowania giełdowe największych przewoźników runęły więc o ponad 50 proc. Wartość akcji polskiej linii Enter Air spadła o ponad 65 proc. LOT cierpi zaś nie tylko z powodu zamknięcia ruchu międzynarodowego, lecz także w efekcie zawieszenia sprzedaży biletów na rejsy krajowe.

Szefowie linii Korean Air ostrzegali, że wirus może okazać się dla niej zabójczy. Nie oni jedni. Według analityków Centre for Aviation (CAPA) do końca maja 2020 r. większość linii lotniczych ogłosiła bankructwo. Ze stanu agonalnego zostaną zapewne wyprowadzeni tylko ci gracze, którzy mogą liczyć na wsparcie rządu. O rządową pomoc zaapelowały już również brytyjskie easyJet czy Virgin Atlantic. Na wsparcie mogą liczyć m.in. przewoźnicy z Chin, niektórych krajów Bliskiego Wschodu, Unii Europejskiej czy posiadające silne związki zawodowe (a co za tym idzie – duży wpływ lobbujący na władze w Waszyngtonie) linie amerykańskie.

Na biznesowe dreszcze cierpią też z powodu wirusa producenci samolotów. Notowania akcji Boeinga runęły w ubiegłym tygodniu do najniższego poziomu od ponad siedmiu lat. Wirus SARS-CoV-2 strasznie mocny cios zadał również właścicielom lotnisk, które w wielu krajach – podobnie jak w Polsce – zostały niemal zamknięte. Władze największych portów lotniczych, w tym brytyjskich Heathrow, Manchester oraz Gatwick, wystąpiły więc do premiera Borisa Johnsona z apelem o to, aby programy rządowego wsparcia dla przemysłu lotniczego

obejmowały także lotniska. W portach kotwicę zarzuciły najdroższe wycieczkowce. Firma Princess Cruises zawiesiła wszelką działalność na najbliższe 60 dni.

PODRÓŻE W CZASACH ZARAŻY

Straty liczą również właściciele pozamiejscowych kawiarni, restauracji oraz pubów. Koszty działalności do minimum starają się także redukować hotelarze. W Stanach Zjednoczonych akcją masowego wysyłania pracowników na bezpłatne urlopy ogłosiła m.in. sieć hotelarska Marriott.

W USA sytuacja nie była jeszcze najgorsza, bo wiele hoteli wciąż może działać, a Amerykanie w zeszłym tygodniu mogli swobodnie przemieszczać się po kraju. Gorzej było w takich krajach jak Polska, Francja czy Niemcy, w których zamknięcie granic i wprowadzenie zakazu wjazdu cudzoziemców sprawiły, że na kilka tygodni światła zgasiły w ponad połowie obiektów hotelowych. W niektórych miastach nad polskim morzem hotele i pensjonaty obserwują spadek liczby gości nawet o ponad 80 proc. Największym problemem jest jednak brak nowych rezerwacji: nie tylko na marzec czy kwiecień, lecz także na kolejne miesiące.

W związku z ogłoszonym w Polsce i w innych krajach stanem zagrożenia epidemicznego swoją działalność zawiesiły

szacowała, że przez epidemię koronawirusa branża turystyczna może stracić co najmniej 22 mld dol. Wówczas brała jednak głównie pod uwagę dochody utracone z powodu ograniczenia wyjazdów przez samych Chińczyków. Już w pierwszej połowie marca ten czarny scenariusz okazał się zbyt optymistyczny, a WTTC wydała komunikat, w którym ogłosiła, że jej eksperci spodziewają się, iż wirus może doprowadzić do likwidacji nawet 50 mln miejsc pracy i skurczenia się branży turystycznej aż o 25 proc.

Analitycy Oxford Economics szacują zaś, że przychody światowej turystyki mogą spaść nawet o 73 mld dol. Eksperci WTTC zaapelowali więc do światowych rządów o podjęcie działań mających ulżyć branży, w tym wprowadzenie ułatwień wizowych, zmniejszenie podatków turystycznych i zwiększenie – po opanowaniu zarazy – budżetów promujących podróże.

Kłopot w tym, że możliwości pomocy są ograniczone, bo ministrowie finansów Włoch, Hiszpanii czy Francji mają już niemal pewność, iż ich kraje będą musiały zmierzyć się z niespodziewaną recesją i że o państwową pomoc zwrócą się podmioty z bardzo wielu branż. Niewiele lepiej może być w innych krajach świata. Ekonomisci Morgan Stanley ogłosili bowiem, że globalna recesja jest już ich podstawowym scenariuszem rozwoju sytuacji w najbliższych miesiącach.

**Eksperci Światowej Rady
Podróży i Turystyki
szacują, że wirus może
doprowadzić do likwidacji
50 mln miejsc pracy**

uzdrowiska i sanatoria. Kwarantannę mocno odczuwa także branża gastronomiczna.

W Polsce ruszyła akcja „Zmień termin, nie odwołuj” – wspierana przez Ministerstwo Rozwoju oraz Polską Organizację Turystyczną – która ma wesprzeć sektor turystyczny, a także całą gospodarkę. Polscy hotelarze liczą, że gdy epidemia nad Wisłą wreszcie minie, Polacy chętniej będą rezerwować wakacje w Polsce niż we Włoszech czy w innych krajach basenu Morza Śródziemnego. O pomoc finansową proszą rząd przedstawiciele biur podróży, które zgodnie z prawem musiały dokonać podróżnym zwrotu wpłat z tytułu imprezy turystycznej.

Na ratowanie branży potrzeba ogromnych pieniędzy. Światowa Rada Podróży i Turystyki (WTTC) już pod koniec lutego

WIRUS GORSZY NIŻ TSUNAMI

Na szybki wzrost liczby podróżujących po zakończeniu pandemii liczą władze Tajlandii, której gospodarka w 20 proc. oparta jest na turystyce. Tylko w lutym kraj ten zaobserwował spadek liczby turystów z 3,8 mln do ok. 2 mln. W marcu ów spadek przekroczył już 55 proc., a obłożenie w większości hoteli nie przekracza 10 proc. Doświadczenie z walki z epidemią SARS wykorzystał rząd Singapuru, który opracowuje już plan dochodzenia do zdrowia sektora turystycznego i powołał specjalną komisję, której zadaniem jest przywrócenie wiary w bezpieczeństwo podróżowania do tego kraju wśród lokalnych i zagranicznych turystów. Trudno obecnie cokolwiek przewidywać, bo nie wiemy, czy mamy już do czynienia z recesją czy tylko z ostrym hamowaniem gospodarki. Nie wiadomo też, czy przypadkiem druga faza ataku nie okaże się niebezpieczniejsza od pierwszej. Czaszy wielkiej kwarantanny mogą doprowadzić do powtórki z wielkiego kryzysu i upadku wielu podmiotów z branży turystycznej i nie tylko turystycznej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska na kwarantannie

Na jak długą kwarantannę stać Polskę? Na jak długie pozostawanie w tym swego rodzaju „stanie kwarantanny narodowej”? Pierwsza odpowiedź, która ciśnie się na język, jest prosta: na tak długo, jak potrzeba, bo przecież zdrowie – a tym bardziej życie – ludzi jest najważniejsze.

No dobrze, ale jeśli Polska na kwarantannie – kwarantannie przeciągającej się dla dobra zdrowia obywateli – zacznie podupadać gospodarczo? Co wtedy?

Przecież już dziś słychać głosy przedsiębiorców, coraz bardziej przestraszonych, że wkrótce – jedni za kilka miesięcy, inni już za kilka tygodni albo i dni – nie będą w stanie utrzymać w ruchu swych firm, a więc także spłacać kredytów i płacić pensji swoim pracownikom. Już dziś przecież padła z ust minister rozwoju Jadwigi Emilewicz oficjalna deklaracja o spodziewanym, w związku z pandemią, spowolnieniu tegorocznego tempa wzrostu – ale wciąż jeszcze wzrostu – polskiej gospodarki o 0,5 do 1,3 punktu procentowego. A co będzie, jeśli to załamanie będzie głębsze i wpadniemy w recesję? Co będzie, jeśli zaczną spadać pensje? Jeśli ludzie zaczną tracić pracę, czyli źródło utrzymania? Jeśli ruszy fala bankructw firm, a w rezultacie także gospodarstw domowych?

Wiele się mówi o przygotowanym przez rząd pakiecie pomocowym dla firm, ale przecież rząd nie wytwarza

dotychczasowych pieniędzy, bo nigdy nie miał, nie ma i nie będzie miał żadnych swoich pieniędzy. Rząd „ma” do dyspozycji jedynie te pieniądze, które wcześniej pobrał od podatników w postaci podatków, a tych w czasach dekonunktury będzie wpływało do kasy państwa mniej, może nawet zdecydowanie mniej. A więc będzie ich też mniej – a nie więcej – na pomoc dla wpadających w tarapaty przedsiębiorstw. Poza tym przydałoby się mieć teraz, po latach takiej koniunktury solidną nadwyżkę w finansach publicznych i pokątną sumkę odłożoną „na czarną godzinę” w Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Czyli zasoby, które można byłoby dziś przeznaczyć na – choćby przejściowe – obniżenie podatków czy obowiązkowych składek, np. do ZUS. Niestety, pieniędzy tych jest stanowczo za mało.

Sąd właśnie biorą się te dręczące mnie pytania: Kiedy zostanie odwołany „stan kwarantanny”? Kiedy i kto ogłosi, że już czas – zachowując jak najdalej posunięte środki ostrożności – wrócić do codziennej aktywności zawodowej czy szkolnej? I czy uda się nam wrócić do normalności (zmieniając swe zachowania na prozdrowotne, lecz nie poddając się psychozie), zanim nasza gospodarka – źródło utrzymania nas wszystkich – się zachwieje? Albo – nie daj Boże... – zachwieje się jeszcze bardziej? I wreszcie co się stanie, jeśli miałyby się to nam nie udać? ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Świat w areszcie domowym

Z powodu pandemii w wielu krajach są zamknięte szkoły, uczelnie, restauracje, większość sklepów, urzędy. Zakazano imprez masowych, a nawet kameralnych koncertów. W niektórych krajach jest wprowadzony nakaz przebywania w domu. Są też zamknięte granice.

Przez lata będą powstawały prace naukowe studiujące skutki takiego szoku dla gospodarki i społeczeństwa. Jakie mogą być niektóre z nich? To oczywiście zależy od czasu – jeżeli taka sytuacja potrwa długo, np. kilka miesięcy, to wiele firm zbankrutuje. Na przykład restauracja (lub ich sieć) traci 90 proc. przychodów przez kilka miesięcy (pozostają tylko zamówienia z dostawą), ale przez jakiś czas płaci pensje pracownikom, potem ich zwalnia, ale musi płacić czynsz właścicielowi nieruchomości. Oczywiście właściciel nieruchomości może zaniechać pobierania części czynszu, żeby nie stracić najemcy. Ale jeżeli restauracja finansuje swoją działalność kredytem, to może mieć problemy z jego spłatą. A tu z kolei ważne jest stanowisko banku, który zresztą mógł też udzielić kredytu wspomnianemu właścicielowi nieruchomości, a kredyt może nie być spłacany, jeżeli zaniecha się pobierania czynszu.

A bank nie może sobie pozwolić na zbyt duże straty z powodu niespłacanych kredytów, wtedy przejmie nieruchomość i ją zlicytuje. Na końcu tego łańcuszka jest rząd, który może pomóc restauracji, kamienicznikowi

wi i bankowi. Rząd wydaje pieniądze podatnika, zatem na koniec dnia koszty i tak rozłożą się na całe społeczeństwo. Oczywiście każdy rząd wybierze przerzucenie kosztów na przyszłego podatnika, bo to nie wpłynie negatywnie na jego popularność, w przeciwieństwie do podwyżki podatków teraz.

Ale nawet jak rząd pomoże, to powstaje pytanie, czy zachowania ludzi wrócą do wzorców sprzed kryzysu, czy się zmienią. Na przykład czy ludzie będą latać mniej niż kiedyś? Jeżeli tak, to stracą linie lotnicze, biura podróży i globalne kierunki turystyczne, a zyskają właściciele krajowych domów wczasowych, gospodarstw agroturystycznych i hoteli.

Pytanie, czy pozostanie jakaś forma kontroli granic wewnątrz, w obawie przed powrotem epidemii „z importu”. Być może wiele krajów na świecie ponownie wprowadzi wizy lub obowiązek przedstawienia na granicy dokumentu potwierdzającego dobry stan zdrowia, który trzeba będzie sprawdzić każdorazowo przed podróżą zagraniczną. Albo modele sztucznej inteligencji przeprowadzą automatycznie takie badanie przed wejściem do samolotu.

Wkrótce zobaczymy, czy świat po pandemii się zmieni. W każdym razie setki milionów ludzi przebywających w „areszcie domowym” mają kilka tygodni, żeby się nad tym zastanowić. ©

Autor pełni funkcję Chief Ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI P30 PRO

Fantastyczny aparat fotograficzny, elegancki design, wydajna bateria oraz duży zapas mocy – to największe zalety najpotężniejszego smartfona chińskiej firmy Huawei.

Design jest minimalistyczny i elegancki. Smartfon jest dość duży (158 x 73,4 x 8,4 mm), więc do jego wielkości będą się musiały przyzwyczaić nawet osoby o większych dłoniach. Obudowa jest wodoodporna (zgodna z normą IP68), a w jej środku znajdziemy podwójny slot na dwie karty nanoSIM lub jedną nanoSIM i jedną nanoSD. Drobna wada jest wystający ponad obudowę moduł aparatu, ale na szczęście dołączane w zestawie etui jest tak spasowane, aby chronić również obiektyw. A jest o co dbać. System poczwórny aparat Leica obejmuje podstawowy aparat o rozdzielczości 40 MP, aparat 20 MP z obiektywem ultraszerokokątnym, aparat 8 MP z teleobiektywem SuperZoom oraz specjalny aparat ToF (time-of-flight). Dobra optyka połączona jest ze stabilizacją obrazu w technologii OIS i AIS. Efekt? Rewelacyjna jakość smartfonowych fotografii. Huawei P30 Pro świetnie radzi sobie również w złych warunkach oświetleniowych.

Wyświetlacz OLED o przekątnej 6,47 cala ma rozdzielczość 2340 x 1080 pikseli. Jest to więc „tylko” full HD+. Zagęszczenie pikseli na cal wynosi jednak ok. 400 pkt, co oznacza, że

obraz jest bardzo ostry i czytelny. Trzeba być jednak przygotowanym na to, iż koledzy z pracy wytkną nam, że we flagowcach innych dużych producentów ekran ma wyższą rozdzielczość (QHD+, czyli 3040 x 1440 pikseli). W praktyce



zauważalne może to być głównie wówczas, gdy regularnie chcemy oglądać na smartfonie filmy w rozdzielczości 4K. Na pochwałę zasługuje za to wysoka jasność maksymalna, która ułatwia korzystanie ze smartfona nawet w ostrym słońcu.

Szybki procesor Kirin 980 oraz 8 GB pamięci RAM ułatwiają życie zagorzałym graczom. Spodobać się mogą również niezłe działający czynniki linii papilarnych oraz opcja odblokowywania telefonu za pomocą systemu rozpoznawania twarzy użytkownika. Po stronie plusów trzeba też wpisać wydajną baterię o pojemności 4200 mAh z opcją ładowania bezprzewodowego. Zasób energii pozwala bez potrzeby doładowywania intensywnie korzystać ze smartfona przez cały dzień lub nawet dwa dni, jeśli rzadziej sięgamy po telefon.

Mimo wielu zalet testowany model wciąż nie jest smartfonem idealnym. Nadal nie wiadomo bowiem, jak ostatecznie zakończy się spór między amerykańskim rządem a chińskim producentem, który – w wersji pesymistycznej – może pozbawić użytkowników smartfonów Huawei dostępu do sklepu Android Play i przyszłych aktualizacji. Dla niektórych minusem może być stosunkowo wysoka cena, która wynosi obecnie ok. 2,5 tys. zł. ©

Jacek Przybylski

Z TYGRYSEM W USZACH

Słuchawki douszne zawsze w modzie i właśnie nowej modzie mają odpowiadać słuchawki Tiger & Rose.

Czym te bezprzewodowe słuchaweczki różnią się od dostępnych na rynku? Przede wszystkim wyróżniają się wizualnie. Przypominają bowiem trójkątny pysk tygrysa, „jego” oczy zaś błyszczą i migają w momencie połączenia słuchawek ze źródłem dźwięku. Stabilne chipy Tiger & Rose umożliwiają obu słuchawkom pracę w trybie Master, co oznacza, że każda ze słuchawek może odbierać i przysyłać sygnały audio indywidualnie, dzięki czemu można płynnie przechodzić od dwóch do jednej i swobodnie przełączać się między nimi.

Producent chwali się też stabilnym połączeniem ze smartfonem, a to dzięki wykorzystaniu Bluetooth 5.0 i energooszczędnej technologii EDR 2.4 GHz. Są też odporne na pot i deszcz, można w nich zatem bez obaw stawić czoła niesprzyjającym warunkom pogodowym.

Wyposażone w głośnik o średnicy 10 mm i głośnik grafenowy, zapewniają dynamiczny dźwięk stereo.



Cena za zestaw to ok. 400 zł, można zamawiać na portalu Indiegogo. Dostawa w marcu.

ANTYZEGAREK

Ciekawa sprawa. Czym jest Prompt? Otóż mamy do czynienia z zegarkiem bez oznaczenia godzin, minut, sekund i bez wskazówek. Godzinę oznaczają tylko niewielkie rowki na obrzeżu zegarka. Nie ma ekranu LED, nie łączy się z wi-fi, nie analizuje stref czasowych. Jest za to niewielki, z ciekawym designem, a aktualny czas pokazuje dopiero wtedy, gdy delikatnie uderzysz w tarczę zegarka. Został wykonany z wysokiej jakości stali nierdzewnej i polerowanego szkła. Jak działa? I tu jest jeszcze ciekawiej. Dotknięcie gładkiej, wklęsłej soczewki szklanej wyzwala od jednej do czterech podświetlanych wibracji, które reprezentują „cztery momenty w czasie” pokazywane w odniesieniu do „godzinowego rowka”, gdzie jedna wibracja oznacza, że minął kwadrans danej godziny, dwie wibracje oznaczają pół godziny, trzy wibracje trzeci kwadrans i cztery wibracje ostatnie 15 minut w godzinie. Skomplikowane, ale niewątpliwie gadżeciarskie.

Cena ok. 800 zł, zamawiać można na Kickstarterze, dostawa w marcu. ©



Wojciech Wybranowski



Majtki opadły



Joanna Bojańczyk

Doroczny pokaz mody bieliznianej Victoria's Secret przez 23 lata był jednym z największych widowisk na świecie. Jednak w pewnym momencie firma rozminęła się z rzeczywistością. I została sprzedana

Sprzedaż najsłynniejszej marki bielizny to nie tylko news z rubryki „biznes”. To także oznaka zmian społecznych, które dokonały się w ciągu ostatnich kilku lat. 20 lutego właściciel marki Victoria's Secret, firma L Brands, sprzedał ją za 1,1 mld dol. funduszowi Sycamore Partners. Umowa przewiduje, że 82-letni Leslie Wexner, długoletni właściciel, nie będzie już prezesem, ale pozostanie w funkcji administratora. To nagroda pocieszenia, przyznana z dala od reflektorów. Znamienna, zważywszy na oskarżenia molestowania seksualnego w czasie jego prezesury. Dziennik „The

New York Times” ujawnił, że Wexner zamieszany był w pedofilską działalność Jeffreya Epsteina, który jesienią popełnił samobójstwo w nowojorskim więzieniu. Według gazety Epstein miał być nie tylko doradcą finansowym prezesa Wexnera, lecz także pomagał mu rekrutować modelki do pokazu.

Ujawniono to teraz, ale czarne chmury zaczęły się zbierać nad Victoria's Secret już wcześniej – od czasu, kiedy odwołany został zeszłoroczny pokaz. Błędy powoli kładły się cieniem na bieliznianego giganta. Jeszcze do 2018 r. marka była liderem na rynku bielizny. Jednak wyniki stawały się

coraz bardziej niepokojące. Sprzedaż spadała, akcje na giełdzie w roku 2018 straciły 40 proc. W badaniu konsumenckim wykonanym przez bank US Wells Fargo 68 proc. pytanym osób przyznało, że już nie cenią marki tak jak wcześniej. Czyżby królestwo „Aniołków” chyliło się ku upadkowi?

Ostatni show odbył się 8 listopada 2018 r. Na scenie panie w piórach i cekinach wysyłały całusy publiczności. Jednak w roku 2019 zamknięto 53 sklepy, a pokaz odwołano. Co się więc stało? Przez lata działalność VS była nieustającym pasmem sukcesów. Czyżby w staraniach o to, jak podbić sprzedaż stringów z czerwonej koronki, firma przegapiła, co się dzieje na świecie?

A stało się po prostu to, że założona na mieście kobiety o nieskazitelnym ciele firma przestała pasować do rzeczywistości i nadążać za zmianami. Te przesunęły wizerunek współczesnej kobiety od nierealnego ideału chudziela bez skazy w stronę większej różnorodności. Wszystko zmienił Internet.

MILIARDY NA BIELIŹNIE

Victoria's Secret założyło w 1977 r. małżeństwo Raymondów w San Francisco. Roy Raymond, czujny obserwator rynku, wyczuł lukę między luksusową bielizną z Europy i tanią masówką amerykańską. Widział, że młode pokolenie jest mniej pruderne, seks przestał być tabu. Przewidział, że swoboda obyczajowa spowoduje zapotrzebowanie na atrakcyjną bieliznę. Chciał stworzyć coś eleganckiego, niewulgarnego i w przystępnej cenie. Nazwa miała kojarzyć się z estetyką epoki wiktoriańskiej – przywoływać jej lekko perwersyjną, ale i kobiecą, delikatną aurę. Już w roku otwarcia pierwszy sklep zarobił dla właścicieli pół miliona dolarów. Później było tylko lepiej. Raymondowie szybko otworzyli następne i wydrukowali katalogi sprzedające wysyłkowo. W 1982 r. Raymond odsprzedał swoją firmę przedsiębiorcy o nazwisku Leslie Wexner. Ten w krótkim czasie zrobił z niej najpopularniejszą markę bieliznianą na świecie.

Wydaje się, że trudno wycisnąć wiele z najbardziej nawet seksownych majtek i stanika. Jednak Wexnerowi się udało: nie znudzić, zaprezentować, zareklamować i oczywiście sprzedać.

W tym celu bieliznę obudowano potężnym spektaklem. Przez 23 lata Victoria's Secret Fashion Show był jednym z największych widowisk mody na świecie. Superprodukcja modowo-muzyczna,

najdroższa na planecie, mistrzostwo świata w marketingu. Muzami marki były top modelki lat 90.: Helena Christensen, Karen Mulder, Claudia Schiffer, Naomi Campbell. Pokazy początkowo odbywały się tylko w Stanach, w roku 2014 show VS odbył się w Londynie, dwa lata później – w paryskim Grand Palais. To był zenit powodzenia.

Najlepiej opłacanymi „Aniołkami” i „ambasadorkami” marki były Adriana Lima, Taylor Hill, Stella Maxwell, Sara Sampaio, Gigi Hadid, Kendall Jenner. Najlepsze z najlepszych, wybrane w ścisłej selekcji, w której kandydatkę eliminuje najmniejszy defekt ciała lub zbędny milimetr obwodu bioder. „Aniołki” przechodziły kilkutygodniową kwarantannę w postaci siłowni, ćwiczeń oraz restrykcyjnej diety. Wszystko transmitowano na Instagramie. Cel: amerykańskie ciało, zdrowe, opalone, szczupłe, bez jednej skazy. Ciało doskonałe. „Aniołki” defilują w stringach, cekinach, piórach, brokatkach, futrzanych figach, przezroczystych peniuarkach. Do ramion przypięte skrzydła wymagające wielu godzin pracy. Spektaklowi towarzyszyła muzyka – to, co na rynku muzycznym aktualnie najmodniejsze i najdroższe. Spice Girls, Rihanna, Destiny's Child, Lady Gaga, Taylor Swift, Rita Ora... Zaprojektowanie majtek nie wymaga może wielkich umiejętności, ale wymaga znanego nazwiska. W każdym razie znane nazwisko pomaga w sprzedaży. Dla VS pracowała zatem Mary Katrantzou, gwiazda francuskiego domu mody Balmain.

Cała doroczna „msza” rozrywki, mody, muzyki i frywolności celebrowana była przez telewizję ABC, oglądana także na YouTube – w sumie przez 1,6 mld widzów na całym świecie, wliczwszy w to internautów.

Lata 90. były czasem staników push-up i top modelek. Wyfotoszopowane „barbie” pokazywały na okładkach swoje perfekcyjne ciała, a nastolatki na całym świecie popadały w anoreksję, chcąc upodobnić się do nich. To wszystko było sztuczne. Jak rozdmuchano przepych, świadczy pokazany w roku 2016 obiekt pożądania czy raczej podziwu – Fantasy Bra, biustonosz z 2 tys. diamentów, szafirów i topazów o wadze 71 karatów wyceniany na 2 mln dol. W Grand Palais prezentowała go Szwedka Elsa Hosk.

JAK RUNĄŁ SZTUCZNY ŚWIAT

Jeszcze zanim pojawił się Internet, odzywały się głosy domagające się urealnienia

nieprawdziwego pseudoideału kobiecej urody, który lansował VS. Kampanie Dove pokazujące kobiety o różnych kształtach mówiły: „Wy też jesteście piękne, chociaż nie macie rozmiaru 36”. Na pokazach i w katalogach zaczęły pojawiać się kobiety tęższe, z defektami urody. Jednak dopiero otwarcie mediów na Internet przyniosło przełom. Zmienił się obraz kobiety. Amerykanka Erin Heatherton, modelka VS od 2008 do 2013 r., odważyła się ujawnić, jakimi metodami odbywa się przygotowanie do pokazu. Zmuszana do schudnięcia, katorzniczo ćwiczyła i głodziła się, aż w końcu wpadła w depresję.

Uderzyły także organizacje lewicowe i feministyczne, które zaczęły domagać się od szefów marki, aby w pokazach uwzględniono także modelki transpłciowe i w rozmiarze plus. Dyrekcja wyśmiała te propozycje, a to rozwścieczyło oponentów. Dyrektor Ed Razek musiał pożegnać się ze stanowiskiem, na pokazie w roku 2018 wystąpiła modelka trans – Valentina Sampaio.

A kiedy już się wydawało, że kryzys z modelkami zażegnano, wypłynęła sprawa molestowania. Dziennik „The New York Times” zebrał 30 oskarżeń w tej sprawie. Z kręgu modelek, a także personelu i kierownictwa firmy.

O niewłaściwe zachowania oskarżony jest Ed Razek, były szef marketingu, szef wszystkich pokazów, człowiek, od którego zależała kariera modelek, podobnie jak od Weinsteina zależała kariera aktorek w Hollywood. Wśród przypuszczalnych ofiar Razka jest Kanadyjka Andi Mui, emblematiczna postać pokazów z lat 2005, 2006 i 2007. Gdy modelka odmówiła licznym zaproszeniom szefa na kolację, na randkę, do jego domu, dowiedziała się, że Razek nie zaangażował jej do pokazu w roku 2008.

Do oskarżeń przyłączyła się także gwiazda modelingu Bella Hadid. Opowiedziała, że w czasie prób w roku 2018 Razek miał powiedzieć jej: „Zapomnij o majtkach”. Miał się również dopuszczać obscenicznych zachowań wobec dziewczyny. Dyrekcja firmy nie reagowała na skargi personelu. Kobietom mówiono, że mogą się zwolnić, jeśli nie są zadowolone.

Na początku roku 2019 Razek podał się do dymisji. W tym samym czasie na horyzoncie pojawiła się też konkurencja – marka bielizny Savage X Fenty Rihanny – i od razu zdobyła rzesze fanek.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

„Ślepe oczko” Prażmowski



FOT. WIKIPEDIA

Jednym z najbardziej znienawidzonych polityków dawnej Rzeczypospolitej był Mikołaj Jan Prażmowski, herbu Belina, kanclerz koronny i prymas. W młodości stracił oko, zwano go więc „ślepyr oczkiem”, „księdzem z Prażmowa”, „ślepyr konsyliarzem” i „kreaturą królowej”; wiele staropolskiego hejtu przelał na niego wybitny pamiętnikarz – Jan Chryzostom Pasek.

Za co go nienawidzono? Otóż był po abdykacji Jana Kazimierza głównym filarem stronnictwa profrancuskich malkontentów i wrogiem uwielbianego przez szlachtę króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Prażmowski, urodzony w 1617 r., dzięki protekcji podkanclerzego Jerzego Ossolińskiego został sekretarzem króla Władysława IV. Dalszą karierę związał z dworem Jana Kazimierza i niezależnie od tego, jakie psy wieszała na nim opozycja, był jednym z nielicznych, którzy w czasie potopu szwedzkiego nie opuścili króla. Towarzyszył mu w ucieczce do Krakowa, a potem na wygnaniu w Głogówku. Wrócił z nim zimą do kraju, posłował do księcia siedmiogrodzkiego, a w 1657 r. uczestniczył w rokowaniach welawsko-bydgoskich.

Za zasługi otrzymał rok później najpierw podkanclerstwo, a potem wielką pieczęć kanclerza. Brał udział zarówno w negocjowaniu z Kozakami ugody hadziackiej, jak i w zawarciu ze Szwedami pokoju, kończącego wieloletnie wojny o dominację nad Bałtykiem. „Można stwierdzić, że traktat oliwski był w znacznym stopniu dziełem Prażmowskiego” – pisał o tym jego biograf, Adam Przyboś.

Kanclerz związany był mocno ze stronnictwem profrancuskim, z królową Marią Ludwiką; stając się zwolennikiem elekcji vivente rege, czyli za życia poprzedniego króla i kandydatury na króla księcia Henryka d'Enghien.

Dzisiaj nikt już nie pamięta, że był także autorem próby reformy sejmów: „Puncta ordynujące dobry sposób odprawowania sejmów”, w której proponował, by uchwały zapadały większością dwóch trzecich głosów, a sejm miał się zbierać co rok w stałym terminie. Projekt ten jednak został odrzucony przez szlachtę, oburzoną forsowaniem przez króla propozycji elekcji vivente rege. Przeciwko Prażmowskiemu obruszyła się wówczas opinia publiczna, powstały liczne paszkwile, zarzucające mu romans z Teofilą Rejową, żoną podskarbiego nadwornego Władysława IV Wazy. Prymas zaś dolewał oliwy do ognia, gdyż odpowiadał swoimi polemikami, czym doprowadzał szlachtę do furii. W dodatku zmarła królowa Ludwika, jego gorliwa protektorka, jak złośliwie pisał Pasek: „Znać, że to królowa [...] głowa tych wszystkich facyj kondeuszowskich, potrzebowała na wjazd swój do nieba asystencji, zaprosiła z sobą hetmanów, a potem niezadługo i ślepego konsyliarza, a najwierniejszego swoich frakcji koadiutora”.

Prażmowski siedł jednak dalej, stając się kimś w rodzaju polskiej wersji kardynała Jules'a z Mazariną. Doradzał królowi przeprowadzenie elekcji wbrew woli szlachty, nawet siłą – poprzez sprowadzenie sojuszników: Tatarów i Kozaków. Kanclerz, a od 1666 r. arcybiskup

gnieźnieński zaproponował Janowi Kazimierzowi abdykację, aby wprowadzić na tron Francuza. A kiedy król zrezygnował z tronu i niespodziewanie wybrano Michała Korybuta Wiśniowieckiego, prymas stał się głównym filarem stronnictwa profrancuskiego. „Ślepe oczko – pisał Pasek – nie przestaje swoich facyj, chcąc drugiego króla z tronu, na którym go sam P. Bóg posadził, strącić”. I trzeba przyznać, że plany arcybiskupa godziły w porządek prawny Rzeczypospolitej. W listopadzie 1669 r. stronnictwo malkontentów zawarło bowiem sprzysiężenie, w którym w oparciu o wojsko przeprowadzić miano detronizację króla Michała i elekcję kandydata francuskiego.

Bez wątpienia kanclerz był jednym ze sprawców chaosu, który doprowadził do utraty Kamieńca Podolskiego. W 1672 r., gdy Turcja wypowiedziała Rzeczypospolitej wojnę, wspólnie z Sobieskim wysłał list do Francji z prośbą o naznaczenie nowego kandydata do tronu polskiego, obiecując mu nawet dziedziczną władzę, byleby Francja przysłała im 25 tys. wojska. W odpowiedzi, zamiast ruszyć na Turków, pospolite ruszenie z królem założyli obóz i zawiązali konfederację pod Gołębkiem. Wojsko Sobieskiego zawiązało zaś konfederację w Szczepieszynie. Nienawisć uderzyła w prymasa ze zdwojoną siłą, oskarżano go o próbę wywołania wojny domowej, rozrywanie wolnej elekcji, pojawiały się pierwsze fake newsy, rozsyłane w ulotnych drukach: np. że Prażmowski sprzedał Francji Gdańsk. Schorowany arcybiskup zmarł 15 kwietnia 1673 r., w trakcie trwających prób pogodzenia obu stronnictw. Opinii dobrej nie zostawił. Jak pisał Pasek: „Sejm warszawski nastąpił, podczas którego arcybiskup Prażmowski snem śmiertelnym zawarł oko, bo nie miał, tylko jedno; ale siła widziała i siła złego robiło”. ©©

HAMSZUKA, CZYLI PALIWO NA POCZĄTEK DNIA

Podróżując, staram się poznać lokalne smaki i dania charakterystyczne dla danego regionu. Szczególnie ważne jest dla mnie śniadanie, gdyż to ono daje mi paliwo na dobry początek dnia, który zazwyczaj jest szalenie aktywny. Uwielbiam jajka i szukam różnych wariacji na urozmaicenie ich przygotowania. Świetnym pomysłem jest izraelska hamszuka, czyli jajka sadzone na duszonych w orientalnych przyprawach pomidorach z humusem.

Humus:

- 1 puszka ciecierzycy
- 1 łyżeczka soku z cytryny
- 1 ząbek czosnku
- 5 łyżek pasty tahini
- 1 łyżeczka mielonego kminu rzymskiego
- sól i pieprz
- 1 łyżka oleju sezamowego lub oliwy z pierwszego tłoczenia

Odsączyć ciecierzycę i wrzucić do blendera lub innego rozdrabniacza. Dodać kilka łyżek zalewy i miksować na pastę. Stopniowo dodawać resztę składników: sok z cytryny, czosnek, pastę tahini, dwie szczypty soli, szczyptę pieprzu, olej

sezamowy lub oliwę oraz kmin rzymski. Miksując, stopniowo dodawać zalewę, aby uzyskać konsystencję pasty.

Szakszuka:

- 2 pomidory (lub pomidory krojone z puszek)
- 1/2 łyżki masła lub oliwy
- 1/2 ząbka czosnku
- przyprawy: sól i świeżo zmielony pieprz, szczypta oregano oraz opcjonalnie chili i kminu rzymskiego
- 2 jajka

Świeże pomidory obrać ze skórki, pokroić na ćwiartki, wykroić szypułki, mięsz pokroić w kosteczkę. Na małej patelni rozpuścić masło lub rozgrzać oliwę, a następnie podsmażyć starty czosnek. Pomidory włożyć na patelnię, doprawić solą, pieprzem i przyprawami. Wymieszać i intensywnie smażyć przez ok. 4 minuty, już bez mieszania. Wbić jajka, doprawić solą. Przykryć i gotować do czasu, aż białka jajek się zetną.

Danie można podawać z kleksem hummusu lub wysmarować talerz humusem i na niego przełożyć danie tak, aby jajka pozostały całe. Świetnie smakuje ze świeżą bagietką lub klasycznie z pieczywem pita. ☺☺

*oprac. raw
Ewa
Chojnowska-
-Lesiak jest
podróżniczką
i modelką,
autorką bloga
szpilkiwpleca-
ku.pl.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bez paniki

Bylałam wtedy mała, ale pamiętam to dobrze. Idąc ze szkoły, spotkałam tatę wracającego wcześniej z pracy, obładowanego zakupami. – Co tam masz? – spytałam. – Trzeba mieć zapas mąki i cukru, może być wojna, wyjaśnił ojciec. Wiadomości pochodziły oczywiście nie z radia reżimowego, ale z Wolnej Europy i Londynu, do których rodzice byli co wieczór przyklejeni. Londyn nazywaliśmy „bum-bum”, od charakterystycznego głosu sygnалу.

Był rok 1961 i wojska amerykańskie zaatakowały Kuba. Spodziewano się odwetu sowieckiego.

W powietrzu wisiła wojna. W sklepach zapanowała panika. Wykupowano przede wszystkim mąkę i – co charakterystyczne, a dziś wydaje się nieracjonalne – cukier. O ile bowiem bez chleba trudno żyć, o tyle bez cukru można jak najbardziej. A nawet trzeba. Wtedy jednak, jak widać, myślano inaczej.

Wojna – jak wiadomo – nie wybuchła, sytuacja się uspokoiła i wróciła do gomułkowskiej normy.

Tak było aż do roku 1970, kiedy ogarnęła nas następna panika, bo biuro polityczne jedynie słusznej partii zapowiedziało podwyżkę cen większo-

ści artykułów żywnościowych. Wybuchły protesty, znowu wykupywano cukier. Jedynie słuszna partia postanowiła wprowadzić kartki, ale krwawo stłumione protesty zmusiły Gomułkę do ustąpienia.

Potem, już z osobistego doświadczenia jako gospodyni na własnym gospodarstwie, pamiętam początek lat 80. Puste

półki, kolejki, kartki. Paczki z zagranicy z takimi przysmakami jak szynka w puszcze i kawa rozpuszczalna. Pracowałam w Instytucie Francuskim i mieliśmy możliwość

zamówienia – po oficjalnym kursie franka – francuskich towarów żywnościowych i chemii gospodarczej. Przyjeżdżał TIR z Francji i po cichutku rozładowywano go, żeby nie denerwować mieszkańców ulicy Świętokrzyskiej, przy której znajdował się Instytut. Nutella i proszek Ariel wydawały się ósmym cudem świata. Delektowaliśmy się kawą neską.

Dzisiaj w sklepie Auchan nie było jajek, ale w ogóle nie zmąciło to mojego dobrego nastroju, mimo widma zarazy unoszącego się wokół. Lekko opróżnione półki w supermarkecie wydają mi się zabawą w porównaniu z tamtymi naprawdę ciężkimi czasami. Są kartofle, cebula, czosnek, mąkę kupuję w gospodarstwie Babalskich i sama piekę chleb. Czegoż więcej trzeba? ☺☺



FOT. ANDRZEJ STOK

POŻEGNANIE Z I8 – BMW ODŁĄCZA ZASILANIE



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sześć lat po premierze niemiecki producent samochodów zdecydował o zakończeniu produkcji sportowego i8. Była to pierwsza taka hybryda produkowana przez BMW. W 2018 r. europejska sprzedaż futurystycznie wyglądającego i8 spadła jednak o 32 proc. do nieco ponad 1 tys. sztuk. Jednocześnie niemiecki producent

planuje premiery aż 25 nowych modeli elektrycznych lub hybrydowych. W połowie przyszłego roku ma ruszyć produkcja modelu iNext.

Za model i8 w Polsce trzeba zapłacić 627 tys. zł. Auto od zera do pierwszej setki rozpędza się w nieco ponad 4 s (dokładne osiągi zależą od wersji nadwozia), a jego prędkość

maksymalna została elektronicznie ograniczona do 250 km/h.

Ostatnie egzemplarze obłędnie wyglądającego modelu i8 mają zostać wyprodukowane w kwietniu obecnego roku. Na zakończenie bawarski producent wprowadził limitowaną do zaledwie 200 egzemplarzy wersję Ultimo.

WIRUS ZATRZYMAŁ MOTORYZACJĘ



FOT. FABIAN BINKER/REUTERS/FORUM

Pierwszy raz w swojej historii włoskie Ferrari zdecydowało się na co najmniej dwutygodniowe wstrzymanie produkcji. Z powodu epidemii wirusa SARS-CoV-19 z europejskich taśm montażowych nie zjeżdżają w ogóle lub zjeżdżają w mocno ograniczonym stopniu nowe auta z grupy Volkswagen (producenta m.in. takich marek jak Bugatti, Lamborghini, Porsche, Audi, Seat czy Skoda). Czasowe przestoje ogłosiły również zakłady należące do koncernu Fiat Chrysler Automobiles oraz francuskiej grupy PSA (producenta takich marek jak Peugeot, Citroën i Opel). Swoich pracowników kwaran-

tannie poddały też niemieckie centrale BMW oraz Forda.

Wirus zatrzymał nie tylko produkcję aut, lecz także sprzedaż nowiutkich sztuk, które już czekają na właścicieli. W wielu miastach Europy zamknięte zostały bowiem salony dealerskie, a w tych, które pozostały otwarte, i tak kupujących jest jak na lekarstwo. Szacuje się, że we Włoszech, liczba nowych rejestracji w marcu może spaść nawet o 85–90 proc. w porównaniu z marcem 2019 r. Wcześniej podobne statystyki dotyczyły Chin, w których w lutym zarejestrowano o 80 proc. samochodów mniej niż przed rokiem. ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Olśnienia kwarantannowe

Ze niby żarty, ale to wcale nie takie śmieszne. Po Internetach krążą teraz takie olśnienia związane z przymusowymi pobytami w domu.

Koronawirus, nawet jeśli nie spowodował konieczności kwarantanny, to na większości z nas wymusił różne hołmofisy, czyli nakazy pracowania pod okiem rodziny. Po pierwsze, to bardzo niewygodne, bo rodzina może się wreszcie dowiedzieć, że tak naprawdę to my nic nie robimy, a nam płacą, co może skutkować utratą latami budowanego autorytetu, jak to się na przykład głowa lub szyja stada poświęca, harując w znoju i ukropie, żeby najbliżsi mieli co jeść i za co podróżować do, weźmy na to, egzotyki. A jak rodzina doniesie nawet przez przypadek szefostwu jakoś, że my to raczej bardziej lans niż robota? Niebezpieczne.

Po drugie i ważniejsze, to jednak te odkrycia! Mężowie przebywając w domu, dowiadują się, że ich na przykład starsze dziecko, z którym taki ojciec mieszka od zawsze, to na przykład jest na drugim roku studiów. No tyle się można dowiedzieć! A co studiuje? A dlaczego? A co zamierza robić w przyszłości?

Na początku trochę krępująca jest sytuacja zadawania prostych pytań, trzeba jakoś tak umiejętnie, ale nie wiem jak. Trzeba wypracować empatycznie po prostu. Gorzej jest z córkami w wieku nastoletnim. Z reguły są na starych naburmuszone, więc pytania mogą być tylko

żartobliwe. Na przykład: „Czy lubisz Beatlesów?”. Na co przewracająca oczami córka może nam odpowiedzieć: „Tato, przecież nie jem mięsa”. I trzeba to wykorzystać jako temat do dyskusji, nie mówię, że od razu do polubienia się, ale można nawiązać znajomość. Jeżeli sytuacja kwarantanna potrwa dłużej, to wieloletnie małżeństwa mogą się poznać niejako po raz drugi. Może się nawet zaakceptują, no bo w końcu mieszkają razem pod jednym dachem tyle lat i niespecjalnie sobie wadzą. Może nawet narodzą się między małżonkami miłości. Kto wie, kto wie?

Trzeba myśleć pozytywnie jak ten niestrudzony bękart i fiu-bżdziu poeta Florentino Ariza z „Miłości w czasach zarazy”, który tak sobie praktyczną Ferminę Dazę w młodości wkładował do serca, że na starość zdobył. Po drodze były moc przygód, trochę kwarantanny i sporo lenistwa. Ale czulego, czule lenistwo jest cnotą, co warto pamiętać.

W ogóle te czasy to takie jakieś nietypowe, raz, że rodzinę można poznać, a dwa, że coś, co było uznawane za grzech główny siódmy, lenistwo, łąsi się do nas w tych domach, jak siedzimy i mówimy: „To co? Może sobie tak trochę ponicnierobimy dla dobra ogólnego?”. Niebezpieczne. Niebezpieczne. Dlatego zachęcam do ruchu, do działania. Ja na przykład idę się położyć. Poleżę chwilę. Może ktoś z rodziny dołączy. Ciekawe kto? ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIĄŁ

Media w czasach pandemii

W epoce koronawirusa, kwarantanny, ograniczania mobilności i globalnego chaosu gospodarczego jest pewna branża, która – paradoksalnie – może po wszystkim wrócić silniejsza. A przynajmniej bogatsza o doświadczenia umożliwiające zmianę dotychczasowego sposobu postrzegania rzeczywistości. Mowa o mediach, które z dnia na dzień musiały wyjść z warszawocentrycznej strefy komfortu, przechodząc na połączenia zdalne, zapraszając gości spoza stolicy czy łączenia przez Skype'a. Ze względu na oczywiste środki ostrożności pozamykano studia, do domów przeniesiono redakcje, klasyczne programy komentatorskie oraz weekendowe rozmowy z politykami przeszły rewolucję kopernikańską. Brak bezpośredniej interakcji uczestników dyskusji, choć uciążliwy i pozbawiający naturalnej dynamiki, zastąpiło mówienie jednego gościa po drugim. Bez przerywania, karczemnych awantur i nadmiernego populizmu. Nagle okazało się, że rzeczy, które nie wydawały się możliwe, są na wyciągnięcie ręki, bo technologia streamingów wideo i głosu jest z nami od kilkudziesięciu lat. Do tej pory jednak – nieużywana i traktowana jako niegodny substytut „prawdziwej” debaty publicznej – leżała w powijakach.

Będąc z państwem szczerzy, muszę przyznać, że jest w tej historii odrobina prywaty. Jako dziennikarz,

który od początku próbuje łączyć życie w Krakowie z pracą dla mediów z Warszawy, starałem się przebić logistyczne ograniczenia, które dzieliły nasze miasta. Pamiętam, jak trudno było wywalczyć możliwość połączenia ze studia regionalnego ogólnopolskich telewizji, jak dziwnie traktowano prośby o możliwość odbycia debaty radiowej przez telefon. A przecież nie chodzi tutaj o kwestię osobistej wygody, ale o coś w szerszej perspektywie znacznie ważniejszego.

Jeśli uznamy, że rynek medialny w niespełna 40-milionowym państwie powinien być zawężony do grona tych samych kilkudziesięciu publicystów i polityków, przyznamy równocześnie, że spora część Polski nie będzie miała swojego głosu. Nie da się bowiem opowiedzieć o problemach Poznania, Trójmiasta, Wrocławia, Szczecina czy Radomia z perspektywy mieszkańców, jeśli nie umożliwimy im grania na równych zasadach. A w tym może pomóc wymuszona, ale realna zmiana paradygmatów tworzenia telewizji oraz radia. Być może marzenia o policentryzacji naszej branży są naiwne, a tak szybko, jak zażegnaliśmy problem pandemii, wszystko wróci na stare koleiny, ale nawet jeśli – to warto przez ten czas zastanowić się, czy nie szliśmy do tej pory zbyt często na łatwiznę. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Skąd się biorą sędziowie?

Pytanie to ma nie tylko doraźny, polski kontekst. Dotyka bowiem fundamentalnej kwestii: jaka jest rola sądów we współczesnej cywilizacji zachodniej. W demokratycznym państwie prawa obowiązują oczywiście przepisy prawa, jednak kluczową rolę w wymierzaniu sprawiedliwości odgrywają sędziowie. To oni interpretują przepisy i oni decydują, jak ocenić postępowanie obywateli. Co więcej, ocena ta ma najczęściej wymiar bardzo konkretny, skutkuje dotkliwymi nieraz karami, a nierazko dotyczy czyjegoś życia. Mimo zniesienia kary śmierci w większości państw zachodnich coraz częściej dowiadujemy się, że decyzją sądu pozbawiono życia jakieś ciężko chore dziecko lub cierpiącego dorosłego. Jest więc oczywiste, jak wielka jest rola sędziów w utrzymaniu porządku społecznego.

Różne szczeble wymiaru sprawiedliwości są w różnych krajach obsadzane ludźmi z wyboru lub mianowania, tak by mogli orzekać w sposób jak najbardziej niezawisły. Istotą niezawisłości sędziowskiej nie jest jednak niezależność od jakiejkolwiek innej władzy. Przeciwnie, w dobrze skonstruowanym systemie demokratycznym władze ustawodawcze, wykonawcze i sądownicze nawza-

jem się kontrolują wedle zasady „checks and balances”. Kontrola ta nie powinna polegać na bieżących ocenach orzeczeń, gdyż sędziowie winni być niezawisli w orzekaniu, ale w ogólnej ocenie kwalifikacji sędziów z punktu widzenia intelektualnego i moralnego oraz w takim konstruowaniu organizacji sądownictwa, by umożliwić pozytywną selekcję kadr sędziowskich. Jak odróżnić taką ogólną ocenę od ocen politycznych? Nie da się tego zrobić, jeśli w społeczeństwie, wśród polityków i wśród samych sędziów nie ma odpowiednio wysokiej kultury prawnej oraz politycznej. Jeśli w kręgach decydentów dominuje materialistyczna koncepcja władzy i prawa jako narzędzi jakiejś grupy panującej, a nie instrumentów wymierzania sprawiedliwości, to o spełnieniu tego warunku można zapomnieć.

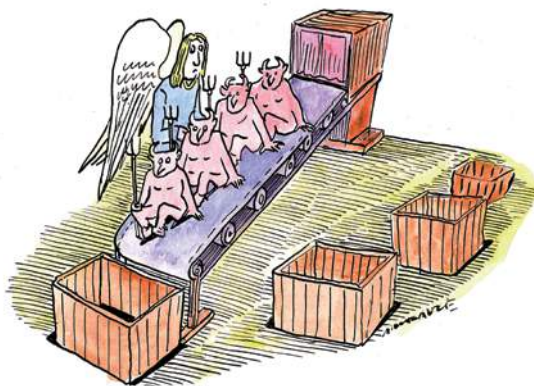
Wczasach, gdy współczesne elity intelektualne nie przeprowadziły się jeszcze do Nietzscheańskiego rajy „poza dobrem i złem”, sędziowie kierowali się na ogół zasadą sprawiedliwości. Obecnie coraz trudniej powiedzieć, czym kierują się sędziowie i dlaczego ich decyzje tak trudno jest obalić. Jak powiada Éric Zemmour, „sędziowie już na studiach przeciągnięci na stronę ideologii lewicowej stają się łącznikami, a często współnikami rozmaitych stowarzyszeń, służąc im za zbrojne ramię, mające za zadanie karcić niepokornych i terroryzować niegdyś milczącą, a dziś sparaliżowaną większość”.

Zapytać można, na jakiej zasadzie sąd brytyjski pozbawił rodziców Alfiego Evansa prawa do decydowania o jego życiu lub dlaczego uznał wyrzucenie przez pewnego mężczyznę chorej na demencję matki z czwartego piętra za „zabójstwo z litości”. Usłyszeliśmy zapewne dwie odpowiedzi:

że tak było lepiej dla zgłodzonych ludzi oraz że – jak to ujęła pewna sędzia polska – sędziowie to „zupełnie nadzwyczajna kasta” ludzi. Jej samoocena nie dziwi, skoro w polskiej konstytucji z 1997 r. nie określono trybu doboru sędziów Sądu Najwyższego. Owa sędzia mogła więc sądzić, że kasta ta odradza się wraz z przyjściem nowych jej potomków na świat. Żadna ze wspomnianych odpowiedzi nie może satysfakcjonować. Chociaż śmiertelne choroby stanowią ogromne wyzwanie dla sumienia, to uśmiercanie nie może być rozwiązaniem oczywistym. Co więcej, rodzi się pytanie, czy tak dramatyczne decyzje mamy powierzać ludziom o czasem wątpliwych kwalifikacjach moralnych? Jak więc kontrolować decyzje „niezawisłych” sędziów? Skoro bowiem coraz częściej wątpimy w kompetencje moralne sędziów, kto ma ich wyznaczać i kto ma oceniać ich decyzje? Pytania te brzmią jak kwadratura koła. Jeśli bowiem sędziowie wybierają się sami, to umacnia to w nich poczucie bezkarności i dowolności orzekania, a są przecież tylko ludźmi. Jeśli wybór sędziów powierzmy opinii publicznej, to problemów z tym związanych także możemy nie uniknąć. W dobie obecnych kampanii wyborczych oraz ruchów równouprawnienia ssaków naczelnych bliska może okazać się chwila, że jakaś przypadkowa większość wybierze na posta małą człekokształtną.

Jak widać, mnożenie podobnych wątpliwości wskazuje na jedno. Gdy w społeczeństwie zanika wrażliwość moralna, coraz trudniej o sprawiedliwość. „Jeśli sól zwietrzeje, czym ją posolą?” – pytał Chrystus. Nie ma ratunku dla żadnej cywilizacji bez silnej podstawy moralnej i intelektualnej w społeczeństwie. W tym jedyna nadzieja. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





Poprzedni odcinek zakończyłem gawędząc o „kiblach”, niniejszy więc — dla kontynuacji — zaczynam od anegdoty związanej z toaletową skatologią (tę anegdotę, dowodzącą, że „kibel” może być świetnym GPS-em, wziąłem z biografii wybitnego neurobiologa, prof. Jerzego Vetulaniego, autorstwa Julii Kalęby). Pewnego razu prof. Jacek Sławiński, kolega Vetulaniego z krakowskiego Instytutu Farmakologii, miał dość pilną sprawę, lecz Vetulani tkwił akurat na wakacjach w Łopusznej. Z telefonami było za wczesnego PRL-u bardzo kruch, więc Sławiński pojechał do Łopusznej i rozpytywał o kolegę, lecz miejscowi nie znali takowego (turystów i „letników” przewijało się tam co niemiara). Zrezygnowany wrócił na dworzec autobusowy, by odjechać, gdy raptownie sobie przypomniał, że Vetulani ciągle kłnie fakt, iż sąsiad gospodarza, u którego wynajmuje w Łopusznej „kwatery letniskową”, pobił go, „wygódkę” blisko okna tejże „kwatery”. Starczyło teraz spytać górali już rozpytywanych wcześniej:

— Słuchajta, chłopcy, a gdzie tu jest taka chałupa, co ma sracz pod samiuteńkim oknem?

— To trzeba było tak od razu godoć, panocku!

I Vetulani się znalazł.

W tamtych groźnych czasach „zimnej wojny” szpieczy obydwo stron starali się zdobyć (choćby podczas międzynarodowych konferencji czy bilateralnych „szczytów”) kał cudzoziemskich przywódców, dyplomatów, mężów stanu, żeby później badaniami laboratoryjnymi odkrywać wstydliwe sekrety „wrogów” (to dlatego Kim Dzong Un zabrał własny „kibel” na spotkanie z Trumpem). Z kolei w czasach późnego PRL-u (lata 80–e XX stulecia) „Solidarność” użyła wizualnie (obrazkowo) kału, by dopieć Jerzemu Urbanowi. Był on wówczas czołowym rozgrywającym „junty Jaruzelskiej”, rzecznikiem rządu (nawołującym m. in. do porachowania kości księdzu Popiełuszcze), dużą figurą, jedną spośród tych „ekscelen-

Skatologia (2)

cji”, które wzmiankował Jan Sztaudynger fraszką:

„Ekscelencjo, pozwolisz,
że ci zejdzem z drogi.
Tak do gówna przy drodze
powiedziały nogi”.

Wydrukowano „podziemnie” i „bezdebitowo” plakaty z nocnikiem pełnym żółtego kału i ozdobionym facjatą Urbana. Wkrótce przyszedł wieńczący dobę PRL-owską rok 1989 i Urban na własnej politycznej skórze zaznał trafności parafrazowego epigramatu Hemara:

„Jak przysłowie uczy —
Fortuna kałem się tuczy”.

Ale Urbanowska skóra ekonomiczna napęczniała jeszcze bardziej (założył iście skatologiczny tygodnik „NIE”, rozchwytywany przez postesbeków). Notabene czymś naturalnym jest skatologia ekonomiczna związana z codzienną roślinnością — istnieje zasadniczy związek między dochodami a odchodami (mianownikiem jest tu zawartość talerza). Lecz wróćmy do polityki, tej po 1989 roku. W dzielącej III RP „wojnie polsko-polskiej” nieustannie furkoczą na scenie międzypartyjnej porzekadłowe ekskrementy. Miotane z obu stron (vide proPiSowski wpis internetowy, że Biedroń i jego konkubent Śmiszek już dziesięć lat starają się codziennie o dziecko, a tu zamiast noworodka ciągle wychodzi gówno), jednak chyba większe skatologiczne upodobanie wojenne ma strona opozycyjna. Komediantka Krystyna Janda kłnie erę PiS-owskiej „dobrej zmiany”: „— Czuję się tak jakby ktoś na mnie srał cały czas!”. Wtórą jej komediant Lech Wałęsa: „— To są takie łajniaki, które zawsze wrócą do łajna!”. Reżyser Andrzej Saramonowicz publicznie nazywa Świętą Rodzinę przy Bożonarodzeniowym żłóbku i Gwiazdę Betlejemską „szeroko rozumianym gównem”. Itp., itd. Gdy tak skatologizują sferę światopoglądową politycy i artyści — trudno się dziwić, że rozlewa się to na sfery wszystkie, sportowej nie wyłączając. Niedawne zalenie Wisły fekaliami sprawiło, iż „gówna Trzaskowskiego” runęły od Warszawy ku Płockowi, więc przed ligowym meczem Wisły Płock z Legią Warszawa stoleczni „kibole” śpiewali:

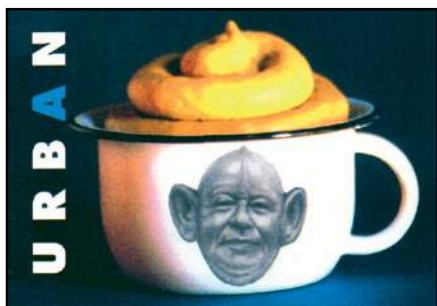
„Gdy w Warszawie stawiam klocka,
gówno żrą mieszkańcy Płocka!”.

A sfera sztuk plastycznych? Ta jest cała ubabrana stolecem postmodernizmu. Ostatnie dekady zademonstrowały, że artyści chcą epatować publikę nie tylko dziełami modelowanymi z farb i werniksów, czy z marmuru, gipsu albo brązu, lecz też „de stercore” (łac. z gówna). Pionierem był tu Włoch Piero Manzoni, który w roku 1961 wypuścił „limitowaną kolekcję” 90 konserw z wła-

snymi odchodami (każda puszka zawierała 30 gramów i została opatrzona nazwą: „Artist’s Shit, freshly preserved”). Starczyło kilka lat, by te stolce Włocha, które przetrwały (część puszek eksplodowała), zyskały rynkową cenę 75 tys. dolarów za sztukę (londyńska Tate Gallery chwaliła się „okazyjnym” kupnem za 30 tys. dol.), a później cena rosła wciąż. No i popłynął szeroki strumień „artystycznego kału” (często bluźnierczego vel profanacyjnego, jak fekalizowanie krucyfiksów), istnie „fekalne orgie sztuki” O. Muehla, A. Todda, D. Hirsta, Ch. Offilię, G. Gasiorowskiego, F. Westa, A. Serana czy D. Nebredy. Serrano miał wystawę fotografii odchodów w nowojorskiej Lambert Gallery (konkurencyjną ekspozycję, pod takim samym tytułem „Shit”, zorganizowała nowojorska galeria Feature Inc.). Zaczęto drukować całe monografie tej pseudotwórczości z odchodów (exemplum rozprawa D. Rotha), reklamowano szumne manifesty „sztuki defekacyjnej”. Nebreda perorował: „— Jak wytłumaczyć doznania, które budzą we mnie moje odchody? Pierwotnie było to uczucie wdzięczności, później uczucie pełni, radość, czułość, miłość, erotyka. Brałem je, miętosilem, ugniatałem, lepiałem, smarowałem nimi twarz i ciało, wkładałem sobie do ust. Czysty seks!” (2000). „Czysty” kał dookoła, fekalia jako absolut! Norweski „artysta” Vegard Vinge sika na estradzie i rzuca ekskrementami w publiczność. Nawet własne rodziny nie są zbyt szanowane przez „gównianą” pseudoawangardę: pewna krakowska „plastyczka” oddała kał na zdjęcie swoich rodziców.

Czy są jeszcze jakieś sfery życia bez skatologii? W katolickich zwyczajach świątecznych mamy hiszpańską szopkę Bożonarodzeniową, gdzie nieodzownym elementem jest figurka „El Caganera” — pana robiącego kupę. W indonezyjskim szariatowym wymiarze sprawiedliwości jest obławianie fekaliami flirtujących par i cudzołożników. W kinematografii symbolem stała się gwiazdorska skatologiczna parodia westernu „Milion sposobów jak zginąć na Dzikiem Zachodzie” (2014), pełna puszcanych „bąków” i prezentacji wydalanych kup. Nic tylko zatykać nos i wzrok. ©©

Waldemar Łysiak



Puszka ze stolecem Manzoni i głowa Nebredy oblepiona jego własnym kałem



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



VEDYCJA NAGRODY

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:

